tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 36 (1135) ROK XXII 9 WRZEŚNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Nauczyć się być starym...

— Zwykło się mawiać o emeryturze jako o zasłużonym odpoczynku. Doc. Kinga Roszkowska uważa, że jest to fatalne określenie. Czyż można wyobrazić sobie człowieka nieustannie odpoczywającego? Aktywność i wysiłek są przecież dla organizmu niezbędne.

(MAŁGORZATA GOLICKA)

Gangster

Droga była wolna. Uciekinier rzucił się do wyjścia. W tej samej jednak chwili, gdzieś z boku wystrzelił bury pocisk. Błysnęły żółtawo ogromne kły, zajarzyły się wilcze ślepia. Mężczyzna obronnym ruchem ramion osłonił głowę, szarpnął się w tył, próbując umknąć jakoś przed niespodziewanym atakiem wilczura.

(ZBIGNIEW S. NOWAK)

Trzeba dodać własnej krwi

Mimo kalectwa został zmobilizowany do Straży Korpusu Granicznego w Zakopanem. Cofali się. Dostał się do niewoli pod Lublinem, a potem Niemcy wywieźli go w głąb Rzeszy.

(KONRAD FREJDLICH)

Udoskonalony „system" terroru

Stroessner doszedł do władzy w 1954 r. po dokonaniu przewrotu wojskowego i odtąd nieprzerwanie rządzi krajem wciąż doskonaląc przemyślną kombinację korupcji i brutalnej siły.

(JERZY CZECH)

POZA TYM:

A na budowie — bez zmian.

Biedne kino, zła telewizja i dobra wróżka Hollywood.

Proza.

Recenzje, felietony.

„Załącznik".

Foto: A. Wach

RYSZARD BINKOWSKI

GODNIE I PO GOSPODARSKU

O przygotowaniach do Centralnych Dożynek czytaj na stronie 2

EUGENIUSZ IWANICKI

MIASTO NA SZLAKU

Kiedy z trudem przebrnąłem przez wykopy i stosy rur zalegających ulicę Warszawską i dotarłem do Placu 15 Grudnia, natknąłem się na swego starego kumpla, wiecznie pijanego Kazika opartego o ścianę miejscowej mordowni. Na mój widok wykonał ruch przyjaznego powitania wyrażony rozłożeniem rąk, lecz straciwszy kontakt ze ścianą, runął w pryzmę brudnego piachu.

Pomogłem Kazikowi wstać.

— *Jesteś łaskowiakiem czy nie?* — dyszał mi w twarz wieloletnim kacem — *No, powiedz Gienek, jesteś łaskowiakiem?*

— *Przecież wiesz.*

— *No to opisz tych przybłędów, co to wykończyli miasto. Widzisz* — ponownie poruszył rękami i na powrót runął na piach. — *Czy Łask kiedy tak wyglądał?*

Kazik zapłakał rzewnie i serdecznie tuląc zarośniętą twarz do tłustej mazi pozostałej po pompie czerpiącej wodę zaskórną.

— *Widzisz...* — Usiłował coś dodać, lecz zmorzony bezwładem, snem i błogością miękkiego posłania znieruchomiał.

Ruszyłem dalej ostrożnie omijając wykopy, pryzmy piachu, zwoje drutów, rury wodociągowe i betonowe dreny kanalizacyjne. Istotnie, moje miasto nie wyglądało najlepiej. A przecież pamiętam go jeszcze z lat czterdziestych, śledziłem jego rozwój, wzrost jego znaczenia, podziwiałem piękno jego zabytków i urok nowoczesności, która zjawiła się tu dość późno, bo pod koniec lat pięćdziesiątych. Mieszkałem w tym mieście ponad ćwierć wieku i byłem świadkiem jego rozwoju, a także skromnym uczestnikiem zachodzących w nim przemian.

ŁASK — stare miasto leżące na dawnych terenach królewskich, prawa miejskie otrzymał we wrześniu 1422 roku z rąk Władysława Jagiełły. Po różnych, mniej lub bardziej świetnych okresach, w 1867 r. awansował do rangi miasta powiatowego, by po stu paru latach, w wyniku podziału administracyjnego, stać się miastem i gminą.

Dziś, na obszarze ponad piętnastu kilometrów kwadratowych mieszka około 15 tys. osób, z czego jedna trzecia przypada na młodzież szkolną. Nowy podział administracyjny kraju nie wszędzie okazał się czynnikiem dynamizującym. Sporo byłych powiatów popadło w marazm, uległo zastojowi gospodarczemu. Historia Łasku potoczyła się zupełnie inaczej.

NIECO WYLICZANKI

Mój nietrzeźwiejący od lat kumpel Kazik nie miał racji: Łask zmienił się tak gruntownie, że jedynie zatwardziały abnegat lub człowiek świadomie nie przyjmujący do wiadomości tego co się dokonuje z dnia na dzień nie przyzna, iż miasto dzisiejsze niewiele ma wspólnego z tamtym sprzed lat trzydziestu. Co

Dalszy ciąg na str. 4–5

W Sofii pogoda była wiosenna. Niebo bezchmurne, świeciło słońce. W Warszawie szalała zamieć. Pasażerowie śpieszący na samolot LOT, odlatujący z Sofii do Warszawy o godzinie 12, nic o tym nie wiedzieli. Przyjechali wcześniej do portu lotniczego, załatwili formalności i weszli do poczekalni.

Piłem spokojnie piwo, gdy nagle wydało mi się, że widzę wśród pasażerów oczekujących na samolot do Warszawy kogoś znajomego. Nie myliłem się. Był to profesor Jerzy Kortan. Dopiłem piwo i ruszyłem w jego stronę.

— Dzień dobry — odpowiedział profesor na moje powitanie i dodał — Słyszał pan, samolot z Warszawy jeszcze nie przyleciał.

— Niemożliwe.

— Tak mówią.

Podeszliśmy do szklanej ściany poczekalni i wyjrzeliśmy na płytę lotniska. Do samolotu „Aeroflotu" wsiadali pasażerowie. Nigdzie nie było widać maszyny ze znakami LOT.

— Musimy czekać. Nie ma rady.

Z profesorem Kortanem zetknąłem się w łódzkim oddziale Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Był chyba rok 1964. Profesor był wówczas prezesem TNOiK w Łodzi. Pisywałem o sprawach organizacji w przemyśle i często spotykałem się z Jerzym Kortanem. Miałem więc okazję poznać go bliżej.

Kiedy pod koniec stycznia 1945 roku przyjechała do Łodzi ekipa ZWM z Janiną Balcerzak na czele wśród młodzieży, która ich witała był też Jerzy Kortan. Był również na spotkaniu przedstawicieli ZWM w gmachu YMCA. Był wśród tych, którzy ZWM w Łodzi zakładali. Był wśród aktywistów tej organizacji. Został przewodniczącym ZM ZWM w Łodzi. Na któreś spotkanie z Kazimierzem Maciejewskim — pierwszym przewodniczącym ZW ZWM w Łodzi i Henrykiem Kisielem przyniósł książkę Władysława Spasowskiego „ZSRR — budowa nowego ustroju" i zaproponował, aby zainicjować ruch współzawodnictwa, podobny do stachanowskiego. Długo nad tym dyskutowali, rozważali, liczyli kombinowali aż narodziła się idea Młodzieżowego Wyścigu Pracy.

W Związku Walki Młodych Jerzy Kortan pracował do stycznia 1946 roku. Jednocześnie uczył się wieczorami w Gimnazjum im. G. Narutowicza przy ul. Targowej. Wieczorami trzeba było chodzić na zebrania, wyjeżdżać w teren. Od stycznia zaczynał się ostatni, maturalny semestr. Trzeba było czasu na naukę. Tak więc rozstał się z organizacją młodzieżową i podjął pracę jako kontroler w Dyrekcji Przemysłu Miejscowego.

Po maturze Jerzy Kortan zapisał się do łódzkiego oddziału Szkoły Głównej Handlowej. Od razu wybrał seminarium magisterskie. Postanowił, że będzie się specjalizował w organizacji i administracji przedsiębiorstw. Jego mistrzem był profesor Brunon Keler. W 1949 roku, studentowi Kortanowi profesor Keler zaproponował asystenturę. I tak zaczęła się Jerzego Kortana przygoda z nauką, która przerodziła się w pasję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZEKAJĄC NA SAMOLOT

Siedzimy wygodnie w fotelach poczekalni sofijskiego dworca lotniczego i wiemy, że do Warszawy jednak polecimy. Przedstawicielka LOT w Sofii poinformowała nas właśnie, że ze względu na złą pogodę w Warszawie samolot do Sofii dopiero wystartował. Musimy spokojnie czekać. Potrwa to jeszcze kilka godzin.

— *Spieszę się już do domu* — mówi profesor — *czeka mnie sporo pracy. Taki wyjazd zawsze przerywa normalny rytm, powstają zaległości, z którymi trudno się później uporać.*

— Często pan wyjeżdża?

— *Zdarza się. Chociaż staram się ograniczać ilość wyjazdów. Niedawno byłem przez pięć tygodni w RFN. Miałem tam wykłady. Przez ten czas powstały ogromne zaległości. Jesienią miałem na siedem miesięcy jechać do Belgii, ale chyba z tego zrezygnuję.*

— Dlaczego?

Dalszy ciąg na str. 5

ŚWIĘTO PLONÓW

GODNIE I PO GOSPODARSKU

Na ulicach Piotrkowa jeszcze gdzieniegdzie widać wykopki, zwały gliniastej ziemi zalegają chodniki, pryzmy gruzu i betonowych płyt, z rusztowań zwisają haki na linach, wiadra z farbą, na drabinach ludzie w zachlapanych drelichach machają pędzlami, ale większość domów błyszczy już w słońcu mieniąc się barwami kolorowych tynków, inne ściany, jeszcze zakryte rusztowaniami, schną po renowacji. Na ulicach widać także wielu milicjantów, którzy nie tylko wprawiają się w kierowanie ruchem, żeby należycie wywiązać się z zadania, gdy 7 września zwalą się na miasto pierwsze kawalkady samochodów, ale pomagają w rozładowywaniu korków, albowiem ze względu na budowę nowych ciągów komunikacyjnych ruch pojazdów został skierowany na inne ulice, wąskie i trudno przejezdne. W mieście i poza rogatkami pracują ludzie z całego kraju, widać junaków z CHP, błękitne mundury są wszędzie, w parkach, zieleńcach, na obiektach dożynkowych, w placówkach WSS i w różnych zakładach pracy. Z kolorem junackich mundurów mieszają się zielone drelichy żołnierzy do Piotrkowa przyjechał dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gen. dyw. Włodzimierz Oliwa, który omówił z wojewodą Leszkiem Wysłockim sprawę udziału żołnierzy na budowach dożynkowych.

Wszędzie wre praca, unosi się zapach kurzu, wapna, smoły brzmi szczęk żelaza i warkot silników maszyn drogowych. Ekipy Oddziału Robót Budowlanych PKP i Spółdzielni Rzemieślniczo-Budowlanej w Łodzi wykonują w szybkim tempie modernizację dworca kolejowego Zamknięto przejazd kolejowy na ul. Słowackiego, co początkowo bardzo denerwowało przechodniów ale kiedy ten numer „Odgłosów" ukaże się w druku, będą oni mogli już korzystać z kładki, wzniesionej przez montażystów z Przedsiębiorstwa Budowlano-Montażowego Huty nr 2 w Częstochowie, która przyszła Piotrkowowi z pomocą.

Równolegle z pracami budowlanymi, remontowymi, modernizacyjnymi i renowacyjnymi trwają przygotowania imprez towarzyszących Centralnym Dożynkom Gotowy jest scenariusz widowiska, na które złożą się tradycyjne obrzędy dożynkowe, suita tańców polskich oraz pokazy artystyczno-sportowe w wykonaniu młodzieży szkół rolniczych i przedszkolaków. Przygotowuje się wystawy o charakterze ogólnopolskim: wystawa maszyn i sprzętu rolniczego, łowiectwa i myślistwa oraz wystawa przemysłu rolno-spożywczego i drzewnego.

Od 6 lipca trwa wspólny, roboczy rajd dziennikarzy z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i „Tygodnika Piotrkowskiego" po województwie, prezentujący na antenie dorobek gospodarczy poszczególnych gmin. W dniach 1 i 2 września odbędą się w Wolborzu tzw. małe dożynki, podczas których dla uczczenia pamięci 40 rocznicy Września dojdzie do „Spotkania pokoleń". W czasie Centralnych Dożynek odbędzie się m.in. przegląd orkiestr dętych, jarmark folkloru i sztuki ludowej, zorganizowane zostaną wystawy regionalne i szereg imprez sportowo-rekreacyjnych, takich jak ogólnopolskie zawody kartingowe, festyn jeździecki w Bogusławicach czy nocne kryterium kolarskie.

Myśl o przyszłej zabawie nie przesłania faktu, że miasto żyje gorączką wytężonej pracy, w nastroju podniecenia i pośpiechu. Plenum KW PZPR w dniu 23 sierpnia stwierdziło, że ograniczenia energetyczne, transportowe i surowcowe w I kwartale spowodowały, że mimo znacznego postępu w wielu dziedzinach gospodarki nie odrobiono jeszcze wszystkich zaległości i obecny niedobór produkcji w stosunku do planu stanowi wartość 480 milionów złotych. Czy to zjawisko nie rzutowało ujemnie na prace przygotowawcze do święta plonów? Czy zdążą na czas?

W Wojewódzkim Sztabie Dożynkowym, którego szefem jest dr Wacław Musiał, nie ukrywa się, że istnieją pewne trudności, ale też wszyscy są dobrej myśli. Nie ma mowy o niewykonaniu zadań na czas. Gdyby Piotrkowskie pozostało samo w zmaganiach, byłoby gorzej, ale z pomocą przyszły województwa z całego kraju. Są liczni fachowcy, są maszyny i surowce, jest 2.000 junaków i wojsko, jest wreszcie pomoc zaangażowanego społeczeństwa. Drobny, ale jakże znaczący przykład: Zarząd Miejski Ligi Kobiet rozprowadził wśród mieszkańców kilka tysięcy sadzonek kwiatów, bo ambicją kobiet jest, aby w czasie dożynek wszystkie balkony w mieście były ukwiecone.

Jednym z naczelnych zadań było przystosowanie stadionu „Piotrcovii" do przeprowadzenia imprezy centralnej. W tym celu należało m.in. zwiększyć jego pojemność z 6 do 17 tys. miejsc. W tej chwili zlikwidowano już tam park maszynowy i dokonuje się ostatnich zabiegów „kosmetycznych". Kierownik budowy, Tadeusz Król, i jego 250 ludzi z łaskiego „Montoprzemu" mogą być z siebie dumni, albowiem w ciągu 6 miesięcy wykonali robotę, która w normalnych warunkach trwa 3 lata. Zrobili nawet więcej niż planowano. Dach nad trybuną główną miał mieć 33 metry długości, a ma 99 metrów, zamiast 17 tys. widzów stadion pomieści 19 tys. Powstała hala o powierzchni 1.800 metrów kw., w której najpierw odbędzie się wystawa, a później przejmą ją sportowcy. Zamontowano wszystkie ławki, gotowe są trzy tunele, wjazdowy i dwa w trybunie zachodniej, gdzie na koronie i w podziemiach zainstalowano wyłożone glazurą i terakotą kabiny dla sprawozdawców, na boisku położono siatkę z tworzyw sztucznych, która zabezpieczy murawę przed zniszczeniem.

Na ukończeniu jest budowa węzła bełchatowskiego oraz trasy W-Z od węzła do ulicy Osiedlowej, w bezpośrednim sąsiedztwie stadionu dożynkowego. Stąd trasa łączy się poprzez przedłużenie ul. 22 Lipca z ulicą Łódzką. Poszerzono także jezdnię ulicy Nowej. Tak więc założona w planach częściowa przebudowa układu komunikacyjnego miasta jest na ukończeniu, zniknęły szpetne rudery, kładzie się nowe chodniki, powstają zieleńce. Nie było to zadanie łatwe, np. przy prowadzeniu trasy W-Z trzeba było zbudować 3 km kanału deszczowego, pompy pracowały bez przerwy, a i tak maszyny grzęzły w gliniastym błocie. Ale zarówno tutaj, jak i na stadionie pracowano na okrągło, na trzy zmiany.

Niewątpliwie ciężkie zadanie stoi przed piotrkowskim handlem i gastronomią, ta ostatnia bowiem przeżywa kłopoty już w czasie letniego napływu turystów. Dzięki dożynkom miasto wzbogaciło się o wiele obiektów, które pomogą w rozwiązaniu trudnej sytuacji. Najbardziej zaawansowane są roboty w pawilonie „Wszystko dla rolnika" i przy montażu pawilonu „Unitry". Natomiast budowa pawilonu „Hortexu" oraz restauracji przy ul. Osiedlowej, a także montaż kiosków przy miasteczku dożynkowym wymagają jeszcze sporo nakładu pracy i pośpiechu.

Piotrków stał się poligonem konserwatorskim. Na zabytkowych obiektach pracują przedstawiciele Pracowni Konserwacji Zabytków z Łodzi, Poznania i Wrocławia. Dzięki nim wszelkie gzymsy, fryzy, balustrady, maszkarony i odrzwia powróciły do dawnej świetności. Szczególnie okazale prezentuje się neobarokowy pałacyk o najbardziej bogato zdobionej elewacji w mieście, były klasztor Dominikanek i cerkiew o wspaniałej zielonej kopule.

W ramach rewaloryzacji i estetyzacji tysiąca dwustu budynków na odnowienie elewacji czeka tylko około 100 domów. To się da zrobić, ale są inne kłopoty. Bo jak na przykład blacharka jest źle wykonana, to farbę szlag trafi już po pierwszych deszczach. Plastyk miejski Piotrkowa, Jerzy Korczak-Ziółkowski, sam dobiera farby i wchodzi na rusztowania, bo kilka razy wystrzelił im tak jaskrawy kolor, że oko ludzkie nie może go znieść. A wszystko przez to, że w fabryce barwników w Woli Krzysztoporskiej zabrakło czerni, dzięki której można barwy stonować.

Tegoroczna zima, niskie temperatury wiosną i duża ilość opadów opóźniły średnio o dwa tygodnie rozpoczęcie prac polowych w województwie oraz wpłynęły niekorzystnie na wegetację roślin ozimych, a także zahamowały wegetację na użytkach zielonych. Mimo to, w I półroczu uzyskano dość pomyślne wyniki, przekroczono np. plan skupu żywca o 8,7 proc., zaś dzięki dobremu nawożeniu zebrano tylko o 2 tys. ton mniej traw z pierwszego pokosu, ale za to znacznie wyższej jakości. Plony zbóż są wprawdzie niższe, ale dzięki temu, że pogoda się ustabilizowała, zebrano znaczne ilości traw z drugiego pokosu i jest gwarancja, że jeszcze 15 tys. ton zbierze się z trzeciego pokosu. Aby wyrównać bilans paszowy, będzie się także wykaszać łąki śródleśne, rowy i lotniska. W chwili obecnej (23 sierpnia) skoszono już wszystko zboże w ilości 190 tys. hektarów, z czego na polach pozostały tylko znikome resztki późno dojrzewających: owsa i jęczmienia. Tak więc i rolnictwo piotrkowskie stanęło w obliczu dożynek na wysokości zadania.

Miasto jest jeszcze wielkim placem budowy i renowacji, ale do uroczystości dożynkowych pozostało dwa tygodnie. Czasu dużo i mało, wydaje się jednak, a w zasadzie jest pewne, iż na dzień 9 września Piotrków całkowicie zmieni oblicze, świeży, stary i nowoczesny zarazem, z wtopionymi w krajobraz nowymi obiektami, które tu pozostaną na zawsze i godnie przyjmie gości dożynkowych.

RYSZARD BINKOWSKI

TELEWIZJA

TAMTEN WRZESIEŃ

Czterdzieści lat, które właśnie mija nie zatarło wydarzeń tamtego Września. Są one wciąż żywą tradycją polskiej rodziny. Jest więc przełom sierpnia i września, nie tylko tego roku, okresem szczególnych dla naszego narodu zamyśleń i historycznie koniecznych powrotów w przeszłość. Telewizja stara się towarzyszyć tej świadomości, inspirować ją i poznawczo wzbogacać. Czy robi to w pełni wykorzystując swoje możliwości to już rzecz do dyskusji. Oto program ostatniego tygodnia, z którego wybierzmy pozycje dotyczące czterdziestej rocznicy wybuchu II wojny światowej. W piątek 31 sierpnia widowisko z 1969 roku „Jeszcze tamten wrzesień" w reżyserii Adama Hanuszkiewicza oraz film A. Chiczewskiego i M. Pisarskiego „Samotni w sojuszu". W sobotę transmisja manifestacji pokojowej z Gdańska, film Zbigniewa Chmielewskiego „Operacja Himmler", apendyks do tego filmu, czyli „Prowokacja gliwicka" i powtórkowy montaż pieśni i piosenek wojskowych w estradowym układzie Janusza Rzeszewskiego. W niedzielę łódzki program z cyklu „Polskie pieśni żołnierskie" zatytułowany „Virtuti Militari", a w poniedziałek widowisko Jerzego Korczaka „Armia Poznań" w reżyserii Henryka Kluby. Trzeba powiedzieć, że tym razem telewizja, na przekór dotychczasowym praktykom, zachowała ilościowy umiar. Ale jednocześnie, zaprezentowała program, który na tle interesujących i bogatych materiałów publicystyczno-dokumentalnych w tygodnikach (np. w „Życiu Literackim") wypadł blado i ubogo. Dokument Chiczewskiego (często gości na małym ekranie i zazwyczaj z dużym pożytkiem) poza ciekawym materiałem filmowym był banalnym streszczeniem tego wszystkiego co było poznawczym walorem serialu „Przed burzą" powtarzanego ostatnio. Staruteńkie widowisko Adama Hanuszkiewicza razi już dzisiaj swoją rapsodyczną konwencją, podobnie jak razi nachalną ilustracyjnością, też stara, układanka estradowa Rzeszewskiego pod tytułem „Idzie żołnierz". Zresztą gdzie sens przypominania tego montażu, gdy następnego dnia planowało się podobny w formule, ale bez porównania doskonalszy program Tadeusza Worontkiewicza, program już wielokrotnie sprawdzony i nagradzany (myślę o poprzednich odcinkach tego cyklu). Do łódzkiego widowiska można mieć jedno zastrzeżenie: inscenizowane sceny batalistyczne nie wypadły zbyt przekonująco. Przypominały mi one ćwiczenia poligonowe, w których uczestniczyłem, a podczas których Franciszek Trzeciak (tak!) z determinacją dowodził plutonem studentów wydziału aktorskiego.

Ewenementem rocznicowego programu był z całą pewnością film faktu „Operacja Himmler" zrealizowany przez Zbigniewa Chmielewskiego według scenariusza W. Kowalskiego i E. Kozłowskiego. Zrekonstruowane przez historyków wydarzenia starannie zainscenizowano w poetyce paradokumentalnej. Zbigniew Chmielewski znany dotąd z telewizji jako mistrz fabuł socjologiczno-publicystycznych („Dyrektorzy", „Daleko od szosy", „Ślad na ziemi") tym razem posłużył się chwytami filmu sensacyjnego, co spotęgowało funkcję perswazyjną „Operacji Himmler". Tak, ale taka poetyka wymaga żelaznej konsekwencji fabularnej z wyraźnie zaznaczonym zawiązaniem akcji (tu nie mam zastrzeżeń) jak i jej finałem. W filmie Chmielewskiego tej ramy początku i końca jakby zabrakło. Widz oczekiwał dalszego ciągu. Stąd wziął się ów apendyks nadany tuż po filmie, w którym prof. W. Kowalski dopowiedział to czego w obrazie nie było. W tym upatruję przyczyn, które sprawiły, iż sukces reżyserski jest niepełny. Scenariusz bowiem był rekonstrukcją fragmentu określonych wydarzeń, a film sensacyjny musi przekazać fabułę skończoną bez niedopowiedzeń.

O poniedziałkowym widowisku „Armia Poznań" już nie zdążyłem napisać. Znając nazwiska twórców tego spektaklu można spodziewać się, iż będzie on trzecim wspornikiem rocznicowego programu TVP. Choć obawiam się, że posądzi się mnie o regionalne partykularyzmy, jednak podzielę się taką oto obserwacją: wszystkie trzy programy, które zapiszą się w pamięci telewidzów powstały poza warszawską centralą. I tak „Operację Himmler" przygotowano w Katowicach, „Virtuti Militari" w Łodzi, a „Armię Poznań" w Poznaniu. Warszawa uraczyła nas dwiema powtórkami.

Tyle o telewizji od święta. A mamy przecież jeszcze codzienną rzeczywistość, która skrzeczy. Tym razem głosem Jana Ciszewskiego, który relacjonował mistrzostwa świata na żużlu. Tylu pomyłek w komentarzach do obrazu, tylu potknięć językowych dawno nie słyszeliśmy. A wszystko to w sosie emocjonująco-entuzjastycznych wykrzykneń: „straszliwe napięcie na trybunach", „wspaniałe wejście w wiraż", „szalenie ważna sprawa", „i ten ryk publiczności", „ta cudowna walka". Mimo dwóch wozów transmisyjnych i sześciu kamerzystów rzadko udawało się realizatorom zachować ciągłość poszczególnych wyścigów. Irytujące były także zapewnienia Jana Ciszewskiego, iż „jest to sport w którym układy należą do rzadkości". A Janusz Piehlak większość swoich wywiadów przedstartowych poświęcił na omówienie układów. Zresztą czemu w takim razie Słabonia już przed startem przeznaczono na straty, dając mu najgorzej przygotowany motocykl, o czym bez żenady mówił kierownik polskiej ekipy? Dlaczego Jancarz hamował aby nie wyprzedzić Plecha? Czemu ten ostatni tak gorliwie chwalił opony Pirelli — „tylko Pirelli" powtarzał, a inni obwieszeni są rozmaitymi reklamami? Po co idealizować to, czego konkrety można obliczyć w twardych walutach. Telewidzom oglądającym „Studio Sport" polecam lekturę powieści Andrzeja Makowieckiego „Kwadrans Śpiącej Królewny". Przestaną wówczas się dziewiczo dziwić rozmaitym sportowym „sensacjom".

GRZEGORZ GAZDA

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

„NAD ZALEWEM PRAWO NIE OBOWIĄZUJE"

Opublikowany w numerze 30 „Odgłosów" artykuł E. Iwanickiego pt. **„Nad Zalewem prawo nie obowiązuje?"** przyjęty został z uznaniem. Mnie podobała się ta część artykułu w której autor piętnuje w sposób daleki od klasycznych reguł dydaktyki społecznej te wzory zachowań, które tradycyjnie przywykliśmy utożsamiać z brakiem kultury osobistej. Kto wie może teraz zmieni się na lepsze. Insynuacje, jakoby pan Maniuś i jemu podobni nie czytywali „Odgłosów" są dość wątpliwe. W każdym razie nr 30 był rozchwytywany.

Dla wielu czytelników artykuł E. Iwanickiego jest być może jedynym źródłem informacji o Zalewie Sulejowskim. Opisane przez autora obserwacje, poczynione na najbardziej penetrowanym turystycznie skrawku obrzeża między zaporą a molem w Smardzewicach, zmierzają do uogólnienia, od którego wieje grozą.

„Wzbijana tysiącami nóg, perfumowana mydłem i szamponami woda zaczyna mętnieć i upodabniać się do odwaru kartofli w łupinach. Potężne pompy wysysają tę mikstur, tłoczą do rur, rurami posyłają do Łodzi, a my po odkręceniu u siebie w domu kranu pijemy ją jak zbawczy, życiodajny napój".

Ciekawe, co by miały do powiedzenia na ten temat psiągi, stanowiące jedną z najliczniejszych populacji wodnej fauny Zalewu, wymagające wody najwyższej jakości. Ale wiadomo, ryby... Poza tym prowadzone przez Wydział Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim systematyczne badania potwierdzają I klasę czystości wody, co nie znaczy, że nikt nigdy nie mył się w Zalewie mydłem.

Wysoko cenimy szlachetne intencje autora, ale mniej metodę. Metodę straszenia.

„Skoro jednak Zalew ma służyć za miejsce wypoczynku sobotnio-niedzielnego — pisze E. Iwanicki — **winny być wyznaczone i urządzone na jego brzegu kąpieliska z etatowymi pracownikami".**

Sprawa kąpielisk należy do żelaznego repertuaru wszystkich publikacji prasowych, była już wielokrotnie wyjaśniana, jak się okazało, o jeden raz za mało. Urządzenie kąpieliska związane jest z określonymi wymaganiami. Należą do nich: zaplecze sanitarne, dogodny dojazd i telekomunikacja. Nad Zalewem Sulejowskim szczególną wagę przywiązuje się do pierwszego z wymienionych warunków. Wiadomo, zbiornik wody pitnej. Aktualnie jedynym miejscem spełniającym te wymagania jest właśnie zatoczka między zaporą a molem, ale tutaj dno zbiornika wyłożone jest folią. Folia uszczelnia dno basenu przylegającego do zapory. Chroni zaporę. Ułożenie folii kosztowało grube miliony. Nikt nie podejmie ryzyka, żeby dając zgodę na urządzenie tu kąpieliska narazić folię na podziurawienie.

Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej odpowiada za czaszę zbiornika do rzędnej docelowego spiętrzenia, łącznie z zaporą, nie odpowiada natomiast za utrzymanie czystości i administrowanie cała strefa ochronną. Nie ma takiego administratora. Tereny leżące w granicach strefy należą do przeznaczeniejszych użytkowników m. in. do Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych, indywidualnych gospodarstw rolnych, Wojewódzkich Ośrodków Sportu i Rekreacji w Łodzi i Piotrkowie Trybunalskim jako inwestorów i generalnych użytkowników północnych i południowych terenów objętych zagospodarowaniem turystycznym, etc.

Wszystkich bez wyjątku obowiązują przepisy o strefie ochronnej. Docelowy plan zagospodarowania turystycznego obrzeży Zalewu przewiduje budowę 8 miasteczek rekreacyjnych, zwanych Jednostkami Osadniczo-Rekreacyjnymi (JOR). Zlokalizowane są w strefie ochronnej. Aktualnie zaawansowana jest budowa pierwszego z nich, JOR — BORKI. Zanim postawiono pierwsze pawilony hotelowe i domki rekreacyjne, zbudowany został potężny kolektor sanitarny z Borek do oczyszczalni ścieków w Tomaszowie Mazowieckim oraz infrastruktura wodno-kanalizacyjna. Do Zalewu nie spłynie nawet kropla ścieków. Budowa kąpieliska i plaży w tym rejonie wymaga podłączenia się do istniejących instalacji i wybudowania przepompowni ścieków, wymaga też ogromnej roboty w wodzie i na brzegu. Prace są już bardzo zaawansowane, wyprzedzają harmonogram zagospodarowania o 3 lata. Po zakończeniu robót znajdą się też etatowi ratownicy. Póki co, jest zatoczka w Smardzewicach, kąpielisko zorganizowane przez ludzi, którym gorąco.

Zagospodarowanie rejonu Smardzewic to temat dość odległy. Trzeba przejść z kolektorem przez Pilicę, a to trudna sprawa. Nie można w ogóle mówić dzisiaj o organizowaniu w tym rejonie **„wypoczynku nie tylko przyjemnego, ale i bezpiecznego".**

W gruncie rzeczy nie bardzo wiadomo, kogo ma autor na myśli, pisząc, iż **„ukarać należałoby tych, którzy nie zadbali o to, by wypoczynek tu, w Smardzewicach, był nie tylko przyjemny, ale i bezpieczny".** Instytucje wymienione w reportażu potraktowane zostały na ogół życzliwie. Pokazano i mozolny trud milicyjnej służby wodnej, i niewdzięczną pracę pracowników przystani, i bogaty plon pracy zatrudnianych przez WOSiR strażników strefy ochronnej. Dostało się co prawda gastronomii, ale trochę poniewczasie, bo od początku lipca w barze „Nad Zalewem" jest nowy ajent, który zna się na swojej robocie.

Jeszcze jedna sprawa. Chodzi o „dziką przystań w Starej Wsi, firmowaną przez ENERGOBLOK z Bełchatowa. W Starej Wsi obowiązują te same przepisy o strefie ochronnej, trudniej je tylko wyegzekwować. Interwencja E. Iwanickiego stanowi dla instytucji zainteresowanych egzekwowaniem obowiązujących przepisów nieocenioną pomoc. Dotychczasowe starania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule reportażu, to odpowiedziałbym, że nad Zalewem prawo obowiązuje, tyle że bywa łamane. Nie jest to prawdopodobnie pierwszy tego rodzaju przypadek w naszym życiu.

HIERONIM NAWROCKI

OD REDAKCJI

Z dużą satysfakcją przyjęliśmy list Hieronima Nawrockiego w sprawie Zalewu Sulejowskiego. Nie możemy tylko zrozumieć argumentacji autora, który wprawdzie nie zgadza się z Eugeniuszem Iwanickim, ale innymi słowami przyznaje mu rację. Zalew Sulejowski istnieje już kilka lat, wiele fabryk przez ten czas wybudowano w Łodzi, wiele fabryk w kraju, a turystyczne zagospodarowanie obrzeży Zalewu nadal daleko jest w lesie, mimo, a może dlatego, że zbyt wielu jest gospodarzy tego obrzeża. I H. Nawrocki tego nie kwestionuje, a jedynie potwierdza. O co więc chodzi?

W związku z ukazaniem się w Nr 30 „Odgłosów" artykułu pt. „Nad zalewem prawo nie obowiązuje?", uprzejmie informujemy, że do jego treści wkradł się błąd, mający istotne znaczenie dla czytelników, potencjalnych konsumentów naszej gastronomii.

W artykule podano, że w lipcu GS uruchomi bar, co niezupełnie odpowiada realiom. GS Tomaszów jest aktualnie w trakcie przejmowania od łódzkiego WOSiR budynku po byłej stołówce. Stan techniczny instalacji wodociągowo-kanalizacyjnej i samego budynku oraz rozwiązanie jego wnętrza nie spełniają niestety wymagań sanitarno-higienicznych. Instalacja elektryczna musi być wymieniona. Zewnętrzna instalacja kanalizacyjna jest całkowicie niesprawna i wymaga przebudowy. Zakres więc prac budowlano-instalacyjny jest tak duży, że GS może uporać się z nimi nie wcześniej, jak w końcu sierpnia. Ponadto jadłodajnia (a nie, jak mylnie podano bar) wymaga wyposażenia w niezbędne maszyny, urządzenia i sprzęt. Wszystko to, uwzględniając trudności w pozyskaniu wykonawców i w zakupie urządzeń (priorytet obecnie mają prace przygotowawcze do Centralnych Dożynek) pozwoli na uruchomienie lokalu dopiero od 1 września.

Pragniemy również wyjaśnić przyczyny ubogiego asortymentu potraw w barze „Nad Zalewem". Budynek, w którym prowadzona jest działalność baru stanowi własność Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej i GS wydzierżawiła go dla doraźnego urządzenia w nim najprostszego punktu żywienia. Umowa dzierżawna wygasa z dniem 31 grudnia br. Budynek, którego pierwotne przeznaczenie nie jest nam znane, nie jest przystosowany do działalności żywieniowej. Brak w nim pomieszczenia produkcyjnego (kuchnia), przygotowalni brudnej (obróbka warzyw i ziemniaków) oraz niezbędnych magazynów. Brak prądu 3-fazowego uniemożliwia zainstalowanie zamrażarek, szaf chłodniczych i urządzeń grzejnych. Stąd możliwe jest przygotowywanie potraw w zasadzie wyłącznie na bazie koncentratów i konserw i tylko na gazowej kuchence. W tej sytuacji obecnie oferowany asortyment stanowi optimum aktualnych możliwości kulinarnych lokalu.

GS wystąpiła do Okr. Dyr. Gosp. Wodn. z propozycją przedłużenia umowy dzierżawnej i w wypadku uzyskania zgody na to, dokona adaptacji wnętrza budynku w sposób, dający gwarancje prowadzenia pełnej działalności żywieniowej. Może to jednak nastąpić dopiero począwszy od sezonu letniego przyszłego roku.

Wytknięcie oferowania dużego wyboru win jest ze wszech miar słuszne i zaleciliśmy już zarządowi GS Tomaszów ograniczenie ekspozycji tego trunku do jedynie 1 butelki z każdego gatunku. Obecna wystawa wynikała z faktu braku magazynu i cały zapas składany był przez agenta w bufecie. Na marginesie jednak dodamy, że nie brakuje tam napojów chłodzących. W dniu 15 lipca np. (niedziela) zakład oferował 4 rodzaje tych napojów i zestaw taki utrzymany jest nadal.

Przekazując niniejsze informujemy, że intencją naszą nie było polemizowanie z autorem artykułu w części odnoszącej się do działalności zrzeszonej w naszym związku sp-ni, lecz wyjaśnienie stwierdzonego przez niego stanu rzeczy. Mamy nadzieję, że zostaniemy dobrze zrozumiani i ze swej strony zapewniamy, że dołożymy wszelkich starań, by korzystający z usług sieci handlowo-gastronomicznej naszego pionu nie mieli powodów do narzekań.

HENRYK BĄKOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

JAN KOPROWSKI

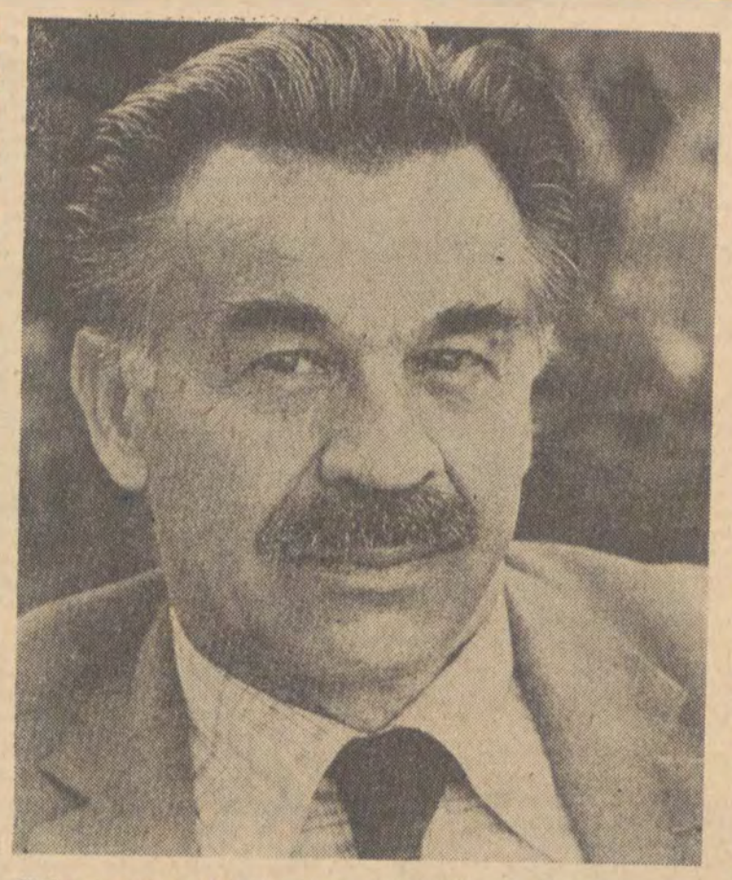

„Ważne są nasze książki i tak naprawdę tylko one się liczą"...

Trzydzieści pięć lat w dziejach narodu to niewiele, ale trzydzieści lat w życiu jednego człowieka to okres bardzo rozległy, więcej niż połowa żywota, jeśli zważyć, że statystycznie rzecz ujmując średnia wieku nie przekracza u nas sześćdziesiątki. Nie mam zamiaru opisywać tego, czego dokonano w tak niedługim czasie w skali kraju, bo co jest, każdy widzi — jak stwierdził w „Nowych Atenach" osławiony Benedykt Chmielowski. Nasze życie, zrośnięte z życiem Polski, podlegało i podlega przemianom epoki, ale ma też ono swój własny koloryt, bo każdy twórca, jak w ogóle każdy człowiek jest inny, inaczej widzi świat i opisuje go po swojemu.

Moje 35-lecie podzieliłbym na cztery okresy. Pierwszy, najkrótszy, to lata 1945-1947, spędzone na ziemi niemieckiej, najpierw w obozie repatrianckim, a później w Polskiej Misji Wojskowej na strefę brytyjską Niemiec i wreszcie w Konsulacie Polskim w Berlinie. Nie przetrwałem tego czasu bezczynnie. Pisałem i działałem, mając od początku świadomość, że miejsce moje i mnie podobnych powinno być w Polsce, a nie na emigracji. Wydałem broszurę pt. „DLACZEGO KAŻDY POLAK POWINIEN WRÓCIĆ DO KRAJU", w której polemizowałem z artykułami Cata-Mackiewicza, ogłaszanymi w Londynie, współredagowałem czasopismo „Na obczyźnie", a następnie „Wiadomości", pisałem także reportaże i wiersze do prasy krajowej, m. innymi do „REPATRIANTA", „ŻOŁNIERZA POLSKIEGO", „ŚWIATA I POLSKI" oraz do „WARSZAWY" i „TWÓRCZOŚCI". Kariera dyplomatyczna bynajmniej mnie nie nęciła. Wydawało mi się, że przebywając poza krajem odstaję od tego, co się tam dzieje, że oddalam się od życia literackiego, a to było dla mnie najistotniejsze. Chciałem być obecny w kraju i uczestniczyć w jego życiu.

Pewnego dnia poszedłem do konsula i powiedziałem, że rezygnuję z pracy w Konsulacie i chcę wracać do Polski. Konsul w pełni mnie zrozumiał i nie czynił przeszkód w realizacji moich zamiarów. I oto w letni dzień z żoną i synkiem wsiedliśmy do pociągu i z książkami, i maszyną do pisania wracaliśmy w ojczyste strony. Tak skończył się pierwszy okres mojego powojennego życia. Był on pouczający i dla moich późniejszych poczynań nie bez znaczenia. Poznałem Niemcy, ich język, historię i kulturę, widziałem kraj powalony, który podnosił się do życia po zniszczeniach spowodowanych przez jego brunatnych władców.

Zaraz po wojnie rodzice moi, bracia i siostry przenieśli się z Kieleckiego na Dolny Śląsk. Podążyliśmy do nich, aby się z nimi zobaczyć po latach rozłąki, odpocząć i zastanowić się na tym, co dalej. Teren karkonoski podbił nas swoją urodą. Urzeczeni krajobrazem, spokojem nie zniszczonymi miasteczkami i osadami postanowiliśmy, przy aktywnej namowie rodziców, pozostać w Szklarskiej Porębie Dolnej razem z nimi. Tak zaczął się okres drugi w moim powojennym życiu, lata 1948—50. W Szklarskiej Porębie mieszkali wówczas WLASTIMIL HOFMAN, JAN SZTAUDYNGER, LUDWIK ŚWIEŻAWSKI, w Przesiece — LUDOMIR RÓŻYCKI, a w Jeleniej Górze — ALINA i CZESŁAW CENTKIEWICZOWIE, EDWARD KOZIKOWSKI, NINA RYDZEWSKA, dojeżdżający z Wałbrzycha WACŁAW MROZOWSKI i jeszcze paru innych pisarzy. Wstąpiłem do ZLP, zostałem przedstawicielem API (Agencja Prasowo-Informacyjna) na Dolny Śląsk, bo przecież z samego pisania nie można się było utrzymać. Ten okres dolnośląski wspominam wciąż z rozrzewnieniem. Przyszło na świat dwóch naszych synów, napisałem pierwszą moją książkę prozą „Opowieść o moim ojcu", za którą dostałem nagrodę „Trybuny Wolności", zaprzyjaźniłem się z mieszkającymi tam pisarzami i artystami. Lata spędzone w Karkonoszach opisałem później w „Powrocie do kraju", a więc i pod względem inspiracyjnym okazały się one owocne. I pewnie pozostałbym na Dolnym Śląsku dłużej, gdyby nie moja gorączkowa ciekawość ludzi i chęć poznawania świata. Po pierwszym etapie entuzjazmu i zapału zrozumiałem (nie ja jeden zresztą), że na zamieszkiwanie w oddalonych ośrodkach może sobie pozwolić pisarz i artysta z dużym dorobkiem, powszechnie znany i uznany. Natomiast twórca początkujący, młody musi wpierw dać się poznać, a tego dokonać może w wielkim mieście, gdzie są pisma i wydawnictwa, prężne skupiska artystyczne, możliwości pracy, spotkań i dyskusji intelektualnych. Z lat przedwojennych znałem osobiście dwóch pisarzy: Stanisława Skonecznego i Stanisława Piętaka. Ten ostatni zamieszkał po wojnie w Łodzi i, jeśli mnie pamięć nie myli, piastował wówczas urząd prezesa zarządu oddziału Związku Literatów. Wybrałem się do niego, pamiętał mnie, powiedziałem, że chcemy się przenieść ze Szklarskiej Poręby. Akurat odbywał się exodus zespołu „Kuźnicy" do Warszawy, za kuźniczanami wywędrował Artur Sandauer i do mieszkania, które zwolnił w Domu Literatów, wprowadziłem się z żoną i trzema małymi synkami. Tak zaczął się mój trzeci okres życia po wojnie. Najdłuższy i najpłodniejszy.

W Łodzi przemieszkaliśmy dwadzieścia dwa lata (1950—1972), a więc okres życia jednego pokolenia. Mogę powiedzieć bez obawy popadnięcia w przesadę i nieskromność, że we wszystkim, co się wówczas w Łodzi działo, uczestniczyłem mniej lub bardziej aktywnie. Gdy powstała „ŁÓDŹ LITERACKA" zostałem jej redaktorem, pełniłem obowiązki red. naczelnego „KRONIKI", a później, po Wiesławie Jażdżyńskim i Wacławie Bilińskim, stanąłem na czele redakcji „ODGŁOSÓW", którymi teraz steruje Jerzy Wawrzak. Przez jedenaście lat byłem kierownikiem literackim Teatru Nowego (za dyrekcji Kazimierza Dejmka), wyjeżdżałem kilka razy za granicę, napisałem kilkanaście książek, wśród nich „DZIEŃ POWSZEDNI LITERATURY", „NA WSCHODZIE I NA ZACHODZIE", „ZIELONE DRZEWA", „Z POŁUDNIA I PÓŁNOCY", „BYŁO TO W MARCU", „DOM NA WZGÓRZU" i „LUDZIE I KSIĄŻKI". Doświadczenie, wyniesione z pracy w teatrze, stało się bodźcem do napisania powieści „POTOMKOWIE TESPISA". Wywołała ona wiele szumu, były nawet protesty u władz, co mnie bardzo dziwiło, gdyż powieść ta wyrosła z zafascynowania teatrem, a jej dosadność w porównaniu z tym, co już na ten temat napisano — to po prostu kaszka z mlekiem. Byłem członkiem zarządu ZLP, a następnie jego prezesem. Kiedy dokonuję tej wyliczanki, uświadamiam sobie zarazem, z jak wieloma zaprzyjaźniłem się wtedy ludźmi, ile im zawdzięczam i jak wpływali oni na kształtowanie się łódzkiego środowiska literackiego i artystycznego po latach posuchy, wywołanej wyniesieniem się do odbudowującej się stolicy instytucji, redakcji, wydawnictw i ludzi.

Nigdy nie mogłem, zrozumieć dlaczego Łódź cieszy się złą sławą i jest miastem nielubianym. Nam (mojej żonie, dzieciom i mnie) bardzo się Łódź podobała, zżyliśmy się z nią i byliśmy zadowoleni, z faktu, żeśmy się do niej przeprowadzili. Wydawały nam się przesadne psioczenia na to, że kultura nie znajduje tutaj zrozumienia i że wiele inicjatyw nie może się rozwinąć z tego właśnie powodu. Przeczytałem wtedy nie tylko „Złe miasto" Zygmunta Bartkiewicza, ale i dwie książki autorów cudzoziemskich: Józefa Rotha „Hotel Savoy" i Alfreda Döblina „Reise in Polen", w której dużo miejsca poświęca autor Łodzi. Obie te książki utwierdziły mnie w przekonaniu, że miasto ma swoją niepowtarzalną i niepodrabianą urodę, a to, co w niej brzydkiego, usuwa się, przerabia i przekształca. Kiedy dziś, po latach, przyjeżdżam do Łodzi, widzę jak bardzo się zmieniła na korzyść, ale przecież i wtedy, gdyśmy tutaj mieszkali, widzieliśmy stałe dążenie do tego, by „poprawić" urodę miasta i uczynić znośniejszym życie jej mieszkańców. A ile za mojej pamięci powstało nowych książek o Łodzi: wiersze i wspomnienia Mariana Piechala i Grzegorza Tomofiejewa, powieści i opowiadania Leona Gomolickiego, Antoniego Kasprowicza i Władysława Rymkiewicza, felietony i satyry Jana Czarnego, Jana Huszczy, Zygmunta Fijasa i Horacego Safrina. Z Łodzi nie tylko pisarze wyjeżdżali do innych miast. Również z innych miast przenosili się pisarze i artyści do Łodzi, na przykład Wanda Karczewska porzuciła dla niej Poznań, a Kazimierz Dejmek, po warszawskim popasie, powrócił znowu na łódzkie łono. Ze szczególnym sentymentem wspominam Stefana Wegnera, którego poznałem czasu okupacji w Starachowicach, a po wojnie, spotkawszy się w Łodzi, odnowiliśmy naszą starą znajomość, zawartą w tak trudnych dla kraju czasach. Do pejzażu miasta należeli Konstatny Mackiewicz, enfante terrible środowiska plastycznego, i Leopold Beck, znakomity dziennikarz i redaktor, pomysłodawca, lubownik Austrii, o której mogliśmy obaj rozprawiać godzinami przy kawiarnianym stoliku. Z Beckiem spotykamy się od czasu do czasu i dziś, ale to już nie to samo, gdyśmy mogli widywać się codziennie, opowiadać anegdoty i chodzić „na jednego", który przeradzał się (strach pomyśleć!) w pół litra, albo i więcej.

Lat tych nie da się wykreślić z mojego życia i zresztą wykreślać ich nie ma potrzeby. Odczuwam coś w rodzaju wdzięczności dla Łodzi, choć nie da się ukryć, że zalała mi ona i sadła za skórę. Ale to nie była Łódź, lecz ludzie w niej mieszkający, a ludzie wszędzie, a więc i tutaj są dobrzy i źli, uczynni i zawistni do niemożliwości.

Czwarty okres mojego życia po roku 1945 to obecny pobyt w Warszawie. Korzystam ze sposobności, aby powiedzieć na tym miejscu, że nie „zdradziłem Łodzi", jak mi to wyrzucają niektórzy łódzcy patrioci. Nigdy nie zabiegałem o to, aby przenieść się z Łodzi gdzie indziej. Zadecydowały o tym okoliczności, a mówiąc dokładnie — walny zjazd pisarzy w 1972 roku, kiedy wybrano mnie na przewodniczącego Komisji Zagranicznej Zarządu Głównego ZLP. Nie mogłem wykonywać tej funkcji, mieszkając w Łodzi. A że w tym samym czasie powstał tygodnik „Literatura", Jerzy Putrament zaproponował mi pracę w redakcji i w rezultacie, nie robiąc żadnych starań w tym kierunku, w owym 1972 roku zamieszkałem w Warszawie. Były to zapewne ostatnie przenosiny w moim życiu. W ciągu tych dziewięciu lat pobytu w stolicy napisałem sporo wierszy, opowiadań, szkiców literackich, ale za największy swój sukces uważam to, że już dziewięć lat bez przerwy publikuję raz w miesiącu nowelę na łamach „Życia Warszawy". Uzbierało się tego już dwa tomy („Wieczór w Café Raimund" i „Wieczory rodzinne"), a trzeci tom „Trou Madame", złożony w „Czytelniku", ukaże się w roku przyszłym. Więc nie narzekam. Wręcz przeciwnie: chwalę sobie ten pobyt, nowe przyjaźnie z pisarzami, nowe kontakty z tymi, którzy przyjeżdżają z zagranicy, nowe lektury i nowe idee. Człowiek sprawdza się w pracy, którą wykonuje, w układaniu sobie stosunków z ludźmi. Jeśli cię ludzie nie zaakceptują — najczęściej twoja w tym wina. Jeśli zaakceptują — twoja zasługa. Zawsze niczyja. To jest tak jak w przypowieści talmudycznej: pada kamień na dzbanek, biada dzbankowi; pada dzbanek na kamień, biada dzbankowi; tak czy siak — dzbankowi biada.

Nie wiem, ile mi jeszcze życia zostało: rok, dwa, czy dziesięć lat. Gdy się przekroczy sześćdziesiątkę, czasu przed nami coraz mniej. Chciałbym jeszcze wiele zrobić to znaczy przede wszystkim napisać. Bo pisarz liczy się tylko wtedy, gdy pisze. Nie urzędy, które piastujemy, są ważne, nie stolice redakcyjne, na których siedzimy. W a ż n e są nasze książki i tak naprawdę tylko one się liczą.

Młodość ma swoje wielkie walory, ale i starość nie jest ich pozbawiona. Co prawda Knut Hamsun napisał gdzieś, że „lata nie dają mądrości, prócz starości lata nic nie dają", ale to jest tylko paradoks, tylko bon mot. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Wydaje mi się, że więcej wiem, niż dawniej i że lepiej potrafię wypełniać swoje pisarskie zadania. Mam za sobą doświadczenie, którego nie posiada młodość. Wiele widziałem i wiele przeżyłem. Za wielką zdobycz wieku starszego uważam umiejętność ograniczania się i rezygnacji. Umiejętność koncentracji, skupiania się na tym, co najważniejsze. Człowiek, mający za sobą lata życia, zna swoje możliwości, wie na co go stać i w czym leży jego siła. Nie ma fałszywych ambicji, nie udaje, że mógłby się wspiąć na Mont Everest i przepłynąć kanał La Manche. I wcale to nie oznacza, że w wieku dojrzałym żyje się bardziej przeszłością, niż dniem dzisiejszym. Właśnie ów dzień dzisiejszy ma największe znaczenie. Przeszłość jest daleko, przyszłość — niewiadoma. Żyjemy więc tym, co jest i w tym, co jest. Staramy się dobrze gospodarować czasem nam danym, pracować dużo i wydajnie.

Oczywiście chętnie wspominamy to, cośmy przeżyli. I ja także wracam myślami do Łodzi. Zresztą nie tylko myślami. Wracam w sensie dosłownym. W Łodzi mieszka jeden z naszych synów, a ten, którego już nie ma, spoczywa snem wiecznym na zarzewskim cmentarzu. Wracamy i do niego i wracać będziemy, póki życia. I to są dzieje, z których rodzi się literatura. To jest to, co było wczoraj, co jest dziś i co będzie jutro.

WSPOMNIENIA

ROZMOWY Z SĄSIADAMI

Przypominam sobie te rozmowy. Odbywały się najczęściej w dni wolne od pracy, w porze wieczornej. Sąsiedzi, ciekawi nowin ze świata, schodzili się u jednego z gospodarzy, czytali gazety i rozmawiali. Oto jedna z takich rozmów, którą zapisałem w „Zielonym szlaku". Odbyła się ona w porze jesiennej w 1947 roku. Wzięli w niej udział gospodarze domu, nauczyciel, sołtys i ja. Na stole leżała mapa powiatu, a na niej naniesione były inwestycje, które miały niebawem powstać. Była to wizja nowego, szczęśliwego powiatu, w którym by nie było ani drewnianych domów, ani złych dróg, ani chorych dzieci, ani analfabetów. Obok nowych szkół rolniczych, mieszczących się w dawnych dworach szlacheckich, obok szkół monterów-elektryków miały powstać fabryki przetwarzające bogactwa naturalne tej ziemi: garbarnie, mleczarnie, cukrownie, zakłady włókiennicze, browary, tartaki, zakłady przetworów owocowych, młyny. To wszystko wymarzył sobie ówczesny starosta, wiciarz.

Nie umieliśmy się wówczas do wielu rzeczy ustosunkować. Wszak był to czas powojenny. Wsie i miasta były zniszczone. Czy wszystko o czym zamarzył starosta-wiciowiec, było realne?

Atmosfera tej rozmowy była niezapomniana. Była już noc. Przez okno widzieliśmy szczyt lasu. Dochodził do nas szum drzew. Stary Domagała pokazywał na mapie znaki, przedstawiające przyszłe fabryki i mówił: To się stanie. Nie wierzyłem dawniej, nie wierzyłem podczas wojny, a teraz wierzę. Domagała był przez większą część swojego życia najemnikiem u bogatych chłopów. Zaraz po wojnie niewiele lepiej mu się powodziło niż dawniej. Jego awans nie polegał wówczas na poprawie bytu materialnego. Domagała został członkiem Gminnej Rady Narodowej. Inny rozmówca, sołtys, przesiedział przed wojną około trzech miesięcy w areszcie za obrazę sekwestratorów i nie płacone podatki. Nauczyciel pochodził z sąsiedniej wsi i nie miał wtedy pełnego średniego wykształcenia. Uzupełniał je na kursach nauczycielskich.

Nafta w lampie się wypalała, a oni, pochyleni nad coraz bardziej nieczytelną mapą wciąż rozprawiali o planie starosty, o ludziach, którzy rządzili powiatem, dawniej nie znanych, wydziedziczonych.

Czasami te wieczorne rozmowy przekształcały się w przyjęcia towarzyskie. Taką na przykład scenę zapisałem w powieści „Dziadek i Róża". Akcja rozgrywa się przed wojną. Narrator zwierza się, jak to jego ojciec radował się z odwiedzin sąsiadów. „Kiedy zaś zjawił się nauczyciel i stary Poetek z Górki (opowiada bohater powieści), wówczas, zdaje się, nic tym ludziom nie brakowało do szczęścia. Mogły ich gryźć różne troski — najważniejsze jednak, że byli ze sobą i zgadzali się we wszystkim. Czekali na te spotkania sobotnie przez cały tydzień. Oczywiście, były między nimi różnice zdań, kłócił się popędliwy Jansiu z Poetkiem. Jansiu na przykład chciał, aby natychmiast urządzać rewolucję, a Poetek zalecał ostrożność. Dziadek także czatował na te zebrania. Do piekła by poszedł za wszelkimi nowinkami. Kazał, bym go natychmiast powiadamiał, kiedy ci «czerwoni» się zbiorą. Zabierał ze sobą flaszkę wódki... robił oko do nauczyciela, uchylał nieco swojego kaszkietu i mówił: No, panie nauczycielu, nie zawadzi kropelka. Wypijali ową kropelkę po kolei z jednego kieliszka, strząsając za siebie dokładnie resztki. Jansiu wpadał w wesołe ożywienie, noc zapadała niepostrzeżenie, w ogrodzie robiło się ciemno, błyskały tylko ogniki papierosów. Nauczyciel czasami zaczynał nucić jaką piosenkę. Przeważnie były to pieśni robotnicze. Smutne tam były na ogół słowa, ale wszyscy lubili ten smutek z nich wiejący... Powtarzały się w tych piosenkach motywy śmierci czającej się za drzwiami więzienia, samotności więźnia, który na próżno usiłuje przebić wzrokiem ściany swojego zamknięcia i żali się, że nie wie, czy to jest wieczór, czy świtanie, czy południowe słońce ziemię złoci. A gdy się naspiewano dość o więziennych murach z kamienia, w których jęczy tyle młodzieży, Jansiu śpiewał solo. A kto chce rozkoszy użyć — w rewolucji idźże służyć. Noc była głęboka, gdy za ojcem niepostrzeżenie stawała matka. Był to znak, że spotkanie już powinno się zakończyć.

Tego rodzaju spotkania nie powinny budzić niczyich zastrzeżeń, a przecież, jak w dalszym ciągu zwierza się bohater powieści, policja wiedziała o nich. Wiedzieli, kto i kiedy przychodził, o czym rozmawiali, i jakie pieśni śpiewali. Jansia zatrzymali jednego razu w areszcie i badali. Chodziło im wtedy o nauczyciela. Pytali się, dlaczego nauczyciel przychodzi tak często w odwiedziny, o czym rozmawia, skąd się biorą ulotki na wsi, które nawołują ludzi do buntu; czy to czasami nie nauczyciel je przywozi.

Instytucja takich rozmów i spotkań sąsiedzkich znana jest w tradycji robotniczej i na wsi. Z doświadczenia znam te drugie. Ile wieczorów i nocy w młodości człowiek przegadał z sąsiadami. Wykorzystuję wspomnienia z owych wieczorów w różnego rodzaju publikacjach. Ale przypominam te spotkania i rozmowy z uczuciem pewnego żalu. Powoli zanika obyczaj sąsiedzkich odwiedzin i pogaduszek. Nie ma już tych gorących dysput.

Być może dlatego, że zastępują je inne formy współżycia. Mamy przecież na wsi kluby „Ruchu" i Rolnika. Spełniają one doniosłą rolę w ożywieniu życia kulturalnego. Klub jest miejscem spotkań towarzyskich. Jest także placówką oświatową, terenem działalności różnego rodzaju zespołów szkoleniowych. Jest także teatrem i kinem. Niektóre kluby mają własne zespoły teatralne. Telewizor ściąga co wieczór ludzi. Odbywają się w klubie spotkania z pisarzami i ludźmi nauki. Organizuje się wieczory poświęcone młodzieży i dzieciom.

Kluby mają już dość bogatą literaturę. Powiedziano o nich wiele dobrego. Posypały się też i uwagi krytyczne. Należę do zwolenników klubów „Ruchu" i Rolnika. Uważam, że powinniśmy wszelkimi siłami wspomagać ich pracę. A przecież jednego mi żal. Że w tych klubach nie za często zdarza się spotkać z taką atmosferą, jaka cechowała dawniejsze spotkania sąsiadów. Że nie są one nasycone takim żarem dyskusyjnym. A chodzi przecież o to, aby ów żar, owo zainteresowanie wciąż rozbudzać. Aby wszyscy, którzy wyjadą na wieś, odnosili takie wrażenie, jakie opisał kiedyś Jan Brzoza: „Najprzyjemniejsze wrażenia mam ze spotkań na wsi i w małych miasteczkach, gdzie dla ludzi takie spotkanie jest niesłychanym przeżyciem. Te rozognione twarze organizatorów, szeroko otwarte oczy publiczności. Tam jeszcze różni działacze biorą udział w spotkaniach, czekają na stacji, potem odprowadzają, dziękują...". Można by uzupełnić tę wypowiedź tak: jeżeli na spotkaniu w klubie ludzie rozmawiają, dyskutują, to mają o czym także rozmawiać i w domu. Nie zaniedbujmy więc też spotkań i rozmów z sąsiadami.

TADEUSZ PAPIER

LUDZIE SPOŚRÓD NAS

KONRAD FREJDLICH

TRZEBA DODAĆ WŁASNEJ KRWI

Memu synowi, Pawłowi

Od traktu oddziela dom drewniana kładka wiodąca wprost na ganek, gdzie suszą się świerkowe kłody. Chata jak inne w tej okolicy poczerniała od starości wrastająca w ulicę Kościeliską, która wyznacza najstarszą część Zakopanego. Płynąca w pobliżu Cicha Woda, w której przeglądają się drewniane domy i kryte gontem dachy przywodzi na myśl te bajeczne czasy, gdy zamiast pensjonatów, domów wczasowych i drogich restauracji dominowały w pejzażu góralskie zagrody, a ze stoków Gubałówki niósł się dźwięk dzwoneczków szczypiących trawę owiec.

Tu, w niewielkiej pracowni, gdzie trudzą się Stanisław Kierkowski, Jerzy Burban i Tadeusz Sładyczka, ludzie młodzi, choć już doświadczeni w swoim fachu czas jakby się zatrzymał. Dłuta sprawnie zanurzają się w drewno wywołując z martwej kłody to kształt gryfu, to rzeźbiąc kontur pudła rezonansowego. Mistrz Franciszek Marduła, mężczyzna blisko siedemdziesięcioletni o żywym, nieco kpiącym spojrzeniu zaprasza do wnętrza chaty i sadowi mnie w pokoju na krześle o zakopiańskich motywach. Sam podąża do kuchni skąd po chwili niesie się smakowity zapach świeżo parzonej kawy.

Rozglądam się po pokoju urządzonym na wzór „białej izby" w dawnych góralskich domach i znajduję na belkowaniu datę 1860.

— Reszta domu jest grubo młodsza — zauważa Franciszek Marduła zajmując miejsce przy stole. — **Wzniósł tę chatę mój brat Andrzej w roku 1925 dobudowując parę izb do chałupy, która stała już w tym miejscu pół wieku z okładem.**

A trzeba wiedzieć, że choć ród Mardułów zasłynął w przeszłości ze zbójnickiej sławy, równie głośne ma tradycje stolarskie. Zresztą każdy prawdziwy góral ma artystyczną duszę, chciałby przyozdobić sobie chatę czy meble, stąd ten pęd do ciesiołki, do rzeźby, do pędzla.

Ojciec Franciszka i Andrzeja: Józef Marduła osiadł był przed laty w Foroninie, gdzie wyrabiał góralskie meble, nie gardził także budowlanką, bo to specjalność ceniona na Podhalu z dziada pradziada. Musiały to być umiejętności niemałe, skoro za c.k. czasów tuż przed wybuchem wielkiej wojny czy może już podczas jej trwania został wykładowcą w szkole drzewnej. Czy można się dziwić, że Józef Marduła i synów chciał wykierować na stolarzy?

Andrzej oswajał nie tylko drewno, z równą pasją zajmował się metaloplastyką po przeniesieniu na swoje, do żony. Zginął w roku 1941 w Oświęcimiu. Zachował się żyrandol ze spinek do pasków i koszul zrobiony jego rękami. Zdobi teraz „białą izbę", w której Franciszek Marduła spędza noce, bo całe dnie i wieczory pracuje w warsztacie, za ścianą.

— Ojciec i brat zmarli w tym samym roku — jakby sobie uprzytomnił Franciszek Marduła.

Rozglądam się po izbie z jasnego drzewa dostrzegam nad drzwiami barwny obraz na szkle (o podhalańskich motywach), nieco dalej fotografię Jana Pawła II w gładkiej piusce na głowie. Pod powałą wypchane ptaki. Dużo jelenich rogów, na jednym z nich wisi okrągły kapelusz góralski.

— Kapelusz został mi jeszcze z FIS-u w 1939 roku — komentuje Marduła. — **Mam gdzieś schowany w skrzyni strój biegowy reprezentanta Polski z tamtego czasu, bo brałem udział w biegach i skokach. Moją specjalnością była kombinacja. A obraz na szkle malowała moja żona Stasia.**

Wspomnienia, wiele wspomnień na raz. Trzeba cofnąć się pamięcią do poronińskich jeszcze czasów. Przy starej drodze stoi rodzinny dom, w którym odnajmuje izbę zamyślony pan z włosami przerzedzonymi na skroniach. To ojciec chrzestny Franciszka, poeta Jan Kasprowicz. Franciszek chwytał dla niego pstrągi, najlepiej, bestie, brały wieczorem.

Inne wspomnienie: jego ojciec Józef uczy już w szkole przemysłu drzewnego w Zakopanem, gdzie był wykładowcą stolarstwa Andrzej Bednarz. Ten Bednarz robił skrzypce, gęśliki i w szkole prowadził wieczorowy kurs lutnictwa. Franciszek był za młody, żeby chodzić na te kursy, ale do domu ojca przychodzili praktykanci i przynosili ze sobą instrumenty zrobione przez siebie, na których wygrywali różne góralskie nutki. Zazdrościł im.

Franciszka szykowano na stolarza. Nie powie, meble potrafi ciosać i dom by postawił. Ale widocznie, jak u jego ojca chrzestnego przeważyły Muzy i one wzięły nad Franciszkiem wiktorię.

— W 1928 roku, a miałem wtedy siedemnaście lat — przypomina sobie Marduła — **zbudowałem pierwsze skrzypce. Dla Stasi, która była moją narzeczoną i chodziła do seminarium nauczycielskiego.**

W sześć lat później została jego żoną. Wcześniej jeszcze Franek Marduła, bo tak tu zwykli do niego zwracać się znajomi, odbył dwuletnią służbę wojskową. W dniu powrotu z wojska, kiedy rozmyślał sobie jak to przyjemnie będzie grać wspólnie z narzeczoną (Stanisława nauczyła się gry w seminarium, a on potrafił wygrać ze słuchu góralskie nutki) maszyna obcięła mu cztery palce lewej ręki.

Kiedy Stanisława została jego żoną, grała na skrzypcach sama. Te skrzypce przetrwały do dziś. Po wojnie podarował je koledze, żeby nie leżały głuche, a tamten oddał je synowi w Krakowie i gdzieś tam na nich grają, a to najważniejsze.

Wtedy, gdy robił pierwsze skrzypce, jeszcze nie myślał, że zostanie lutnikiem. Dopiero wojna uprzytomniła mu właściwe powołanie, ta druga wojna.

Mimo kalectwa został zmobilizowany do Straży Korpusu Granicznego w Zakopanem. Cofali się. Dostał się do niewoli pod Lublinem, a potem Niemcy wywieźli go w głąb Rzeszy. Siedział początkowo w Stalagu IV B Mühlberg, a potem w IV A Elsterhorst. W Mühlbergu zrobił skrzypce z brzozy, ma je do dzisiaj.

Rozgląda się po izbie i odnajduje przykurzone skrzypce z odklejonym wieczkiem. Zaglądamy do środka, gdzie widać spłowiały napis tuszem: „Dla ukochanej żony Stasi. Niech żyje Wolna Polska Niepodległa". I data: 3 maja 40 r.

Marduła uśmiecha się do wspomnień.

— Skrzypce były brzozowe, drzewo zostało ścięte w grudniu.

Robił je dłutem z blachy pomagając sobie kawałkami szkła. Wierzch zrobił ze świerka, sklejał go z dziesięciu części. Grał na tych skrzypcach w stalagu kolega, bodaj imieniem Heniek.

— Nazwiska sobie chyba nie przypomnę — zaczął głowić się Marduła — **Tamten robił takie pamiątki ze słomy, dał mi jedną z dedykacją, więc jak bym ją odnalazł, to byłoby nawet nazwisko. A ja w niewoli malowałem portrety.**

Odnajduje album, w którym przechowuje szkice z tamtego czasu: dostrzegam autoportret i jeszcze jeden szkic, na którym Marduła jest z jakąś kobietą.

— To żona — wyjaśnia. — **Malowałem ze zdjęcia, jakie miałem w obozie.**

— A drugie skrzypce? — pytam po chwili, bo już wiem, że były także drugie tam, w niewoli.

Z tymi drugimi było łatwiej, bo dysponował narzędziami, gdyż zatrudniony był przy budowie baraków. We wnętrzu napisał różne hasła przeciw Hitlerowi i przeciw Niemcom koledzy także pisali w środku. Jak się kiedyś odklei wieczko tych skrzypiec, to dopiero będzie heca. Bo tamte skrzypce zostały w niemieckich rękach.

— Pod koniec wojny groziła mi śmierć — powie po chwili.

Od kwietnia 1945 roku Niemcy pędzili polskich jeńców po lasach Słowacji. Było to beznadziejne cofanie się przed frontem, który Niemcom niczego dobrego nie obiecywał. Wreszcie jeńcy zostali wyzwoleni przez Rosjan. W czerwcu 1945 roku Franciszek Marduła wrócił do Polski. Jego żona pracowała wówczas w Krakowie w szpitalu ujazdowskim.

On też poszedł do roboty przez parę miesięcy robił w zakładzie stolarskie ławki dla Uniwersytetu Jagiellońskiego. Później zamianowano go kierownikiem Podhalańskiego Przemysłu Ludowego, bo przeniósł się do Zakopanego i od 1947 zamieszkał z żoną w domu bratowej. Mimo przejść wojennych nie skarżył się na zdrowie. Łączył pracę kierownika spółdzielni z funkcją trenera narciarskiego opiekując się skoczkami i biegaczami.

W 1953 roku otworzyła się przed nim nowa szansa: zaczął pracować w zakopiańskiej plastycznej szkole w dziale lutniczym. Starania o to trwały długo, rozpoczął je autor książki o lutnictwie Tomasz Panufnik, ale daremnie. Wreszcie jednak przy szkole drzewnej powstał dział budowy instrumentów, który później dał początek Technikum Lutniczemu w Nowym Targu działającemu aż do 1972 roku. Przez cały ten czas był kierownikiem warsztatów i wtedy to, współpracując z Andrzejem Bednarzem, zaczął robić instrumenty. W Nowym Targu jako wykładowcy pracowali już jego uczniowie: Józef Bartoszek, Andrzej Janik, Jan Łacek, Władysław Bachleda. Wszyscy oni wyszli z zakopiańskiej szkoły lutniczej.

I tak się zaczęło budowanie instrumentów już na serio.

„...do wszystkiego dochodziłem sam, nie bałem się nigdy żadnej pracy...".
Foto: H. Bietkowski

— O jakości instrumentu decyduje dobór materiału i oczywiście umiejętność wykorzystania tego drewna — śmieje się Marduła. — **Na przykład skrzypce robi się z jaworu świerku lub jodły. Dawniej robili też z brzozy i klonu. To samo dotyczy zresztą innych instrumentów smyczkowych. Na podstrunniki i kołki najlepiej nadaje się heban lub palisander.**

Pierwszą wiolonczelę, która znajduje się w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie, zbudował Marduła w latach pięćdziesiątych. Później sprawdzał swoje siły także w konstruowaniu kontrabasów.

— Drewno musi schnąć ponad dziesięć lat. Dlatego co roku kupuję drewno, o które jest coraz trudniej i przechowuję. Przed laty Stowarzyszenie Artystów Lutników sprowadzało drewno z Rumunii. Teraz ja muszę zdobywać drewno dla Stowarzyszenia.

Znów chwila zastanowienia, a potem zaczynamy grzebać w papierach.

„Mam zaszczyt i przyjemność donieść Panu, że Komisja Oceniająca Międzynarodowej Wystawy Lutniczej poświęconej nowoczesnej altówce a zorganizowanej przez Towarzystwo Filharmoniczne w Ascoli przy współudziale Narodowego Związku Włoskiej Artystycznej Sztuki Lutniczej przyznała Panu jednomyślnie Wielki Srebrny Medal jako nagrodę za wystawioną altówkę zbudowaną w 1959 r." — głosi w tłumaczeniu na polski dyplom wręczony Mardule przez organizatorów. Tych dyplomów jest więcej. Franciszek Marduła wystawiał w Cremonie, najsłynniejszym chyba ośrodku lutniczym świata, skrzypce, wiolonczelę i altówkę. Trzykrotnie wyjeżdżał do Belgii na Konkursy Kwartetów w Liege.

Z Belgii pochodzą dwaj jego uczniowie. Pierwszy robi już karierę jako lutnik w swojej ojczyźnie, nauczył się mówić po polsku i na kartce rozpoznawczej wklejanej do instrumentu umieszcza znak orła. Drugi uczeń musi się jeszcze szkolić, wyjechał na wakacje do Belgii, ale wróci jesienią.

— A pan? — pytam. — **Jaki jest pański znak rozpoznawczy?**

— Mam tylko swój gmerk z monogramem i znak eucharystyczny. A na kartce wklejonej do środka nie stosuję nawet tego. Tylko nazwisko, miejscowość, data.

Umieszczał te kartki w ponad dwustu instrumentach: w skrzypcach, wiolonczelach, altówkach, kontrabasach, violach d'amore i violach da gamba, gitarach. Robił także gęśliki podhalańskie tzw. złobcoki (od słowa: żłobić). Nagrodzona srebrnym medalem altówka znajduje się w wyższej szkole muzycznej w Warszawie.

— Skrzypce, żeby zrobić je dobrze, to trzeba trzech miesięcy — mówi Marduła jakby nagle obliczał ile też czasu zajęła mu budowa wszystkich instrumentów, które wyszły spod jego rąk. — **Gamba czy kontrabas wymagają jeszcze więcej czasu.**

Czy można się dziwić, że z takim doświadczeniem Marduła plasuje się wysoko na międzynarodowych konkursach? W Liege był zawsze w czołówce, a taki kwartet musi być z jednego gatunku drewna, z jednego klocka. W konkursie im. Wieniawskiego zajął V miejsce.

Nagle spogląda na mnie i zaczyna mówić, jakby wykładając swoje credo:

— Lutnik to zawód, ale trzeba mieć do niego zamiłowanie. Ja do wszystkiego dochodziłem sam, nie bałem się żadnej pracy, a robienie instrumentów uważam za najtrudniejszą z nich i dlatego mnie to pasjonuje. Dużo jednak nauczyłem się od Konstantego Feliksa Pruszaka. Pomogli mi też muzycy, na przykład pani profesor Dubiska (ona była taka matką lutników), profesor Karolkowski. Ale najwięcej zdziałałem sam.

Sława Marduły wciąż rośnie, koresponduje z najwybitniejszymi muzykami, poeci przysyłają mu swe wiersze. Warto zacytować fragment wiersza ludowej poetki Hanki Nowobielskiej „Gęśliki":

„Hej! mom jo myśl — co jej nie zdrodzom przed nikim;
wystudenjem z jawora śliczne gęśliki.
Wiem, trza się bedzie przy tym serdecznie napocić,
ale za to świat wyndzie skroś nik napreciw.
Godali ze trza do kliju dodać krwie godnie,
nie pozałujem nik płyna nutki ślebonie...
Bo całe serce włozem w te nuty i słowa,
będom się ludzie moim gęślickom cudować, cudować'..

Aż dziwne, że ta sława Marduły nie dotarła do Naczelnika Gminy Tatrzańskiej, w Zakopanem, gdzie słynny lutnik stara się o formalne przyznanie mieszkania we własnym domu, skąd właśnie wyprowadził się lokator. Urząd nie chce zrozumieć jego racji, przytoczmy więc odwołanie Marduły i porównajmy je choćby z cytowanym wyżej wierszem, bo to wystarczy za cały komentarz:

„Ja zajmuję 1 izbę o 14 m kw., w której prowadzę pracownię lutniczą, w której uczę zawodu lutnika, udostępniam absolwentom do pracy i nowych wykonawstw lutniczych w dziedzinie instrumentów. Odwiedzają mnie liczni Przedstawiciele Prasy i Wybitni Muzycy oraz Lutnicy, których się muszę wstydzić jak przychodzę do pracowni, a ja muszę porządkować łóżko, na którym sypiam — ja już jestem w takim wieku, że czasem muszę odpoczywać w czasie dnia — dlatego zająłem pomieszczenie po ob. Kalinowskiej".

Na odwołanie to, z 2 kwietnia br. na razie brak odpowiedzi.

REPORTAŻ

MIASTO

Dalszy ciąg ze str. 1

szósty mieszkaniec mieszka dziś w nowym budownictwie, ulice otrzymały asfaltowe nawierzchnie, posadzono tysiące drzew i krzewów, uporządkowano park miejski, odnowiono elewacje zabytkowych domków przy placu 15 Grudnia, wzniesiono nowoczesny szpital na 520 łóżek, wybudowano szkoły, przedszkola, kluby sportowe. A te wykopy to pierwsza w dziejach miasta sieć kanalizacyjna! Po wojnie rozwinęło się tu rzemiosło i przemysł: „Wólczanka", Zakład Prefabrykacji Łaskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Montoprzem", Mieszalnia Pasz Treściwych, Zakład Produkcyjny Materiałów Budowlanych, Łódzkie Zakłady Ceramiki Budowlanej Oddział w Łasku, Włókiennicza Spółdzielnia Pracy „Polkana", Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, Państwowy Ośrodek Maszynowy, Zakład Robót Drogowych, Dom Kultury, filia Łódzkich Fabryk Mebli itp. Przed wojną oprócz prywatnych drobnych warsztatów stolarskich, krawieckich, szewskich i garbarskich, nie było tu innego rzemiosła, a oglądać fabryki ludzie jeździli do Pabianic i tam gapili się na wysokie kominy zakładów Endera i Kruschego.

Mógłbym tak długo wyliczać, bowiem to, co rodzi się w naszej obecności od razu staje się oczywiste i nie zawsze potrafimy ocenić jego wartość. Zaraz po wojnie w malutkim Łasku aż roiło się od prywatnych jadłodajni i sklepików „kolonialnych", stąd we wspomnieniach starych mieszkańców tamte lata jawią się, jako lata wielkiej świetności i dobrobytu. Życie wlokło się z szybkością wysłużonych dorożek kursujących na trasie: dworzec kolejowy — rynek. I jakoś nikt nie zauważył kiedy pojawiły się pierwsze taksówki, założono neony, wybudowano nowe osiedla, położono asfalt, kiedy do domów zaczęto przywozić telewizory, lodówki, pralki, odkurzacze. Jakoś od razu zaakceptowano społeczną służbę zdrowia, szkoły kształcące w różnych zawodach, kawiarnie, miejską komunikację autobusową, supersam i dziesiątki innych atrybutów współczesności, bez których nie tylko młodzi, ale i ci najstarsi nie potrafiliby dziś się obejść. Dlatego wołanie Kazika oglądającego Łask z poziomu pryzmy wykopanej pod przyszłą kanalizację jest wołaniem człowieka, który choć widzi, to jednak pozostaje ślepcem.

PĘPEK MIASTA

Na miejsce, gdzie trzydzieści lat temu leżał niewypał niemieckiej bomby i gdzie stały rachityczne słupki z napisem „Uwaga — bąba"! do których to słupków okoliczni chłopi przywiązywali swoje koniec w czasie czwartkowych targów, podjeżdżają autobusy komunikacji miejskiej. Stąd za jedyne 2 zł można dojechać do dworca kolejowego, do Kolumny czy do Ostrowa. Ludzie czekają siedząc na ławeczkach i obserwują pracę przy montowaniu pomnika ku czci tych, którzy walczyli o Ziemię Łaską. Jeszcze nie tak dawno pomnik stał obok banku zasłonięty przez budynki, teraz wyznacza niejako środek miasta, jest jego punktem centralnym. Na ławkach siedzą także młodzi ludzie, i nudzą się okrutnie. Wypili co nieco, postali na którymś z rogów placu, przyjrzeli się przechodzącym dziewczynom. Najchętniej to daliby komuś w mordę, ale pora nie ta, za widno, mogłaby się milicja przyczepić. Więc siedzą, palą i czekają na swój czas.

— *Nudno?* — pytam.

— *Jeszczeby* — odpowiada ten z krzyżem zawieszonym na szyi. — *Można skonać.*

— *Nie próbowaliście gdzieś się zaczepić?*

— *Eeee...*

— *Nas praca się nie ima.*

— *Ten przeszczep się nie przyjmie, organizm go odrzuci.*

— *Praca, to zmiana* — mówię mentorsko.

— *My nie nauczone* — ziewa szeroko blondas podobny do Kirka Duglasa. — *Zresztą niech ten robi co robotę wymyślił.*

— *Po co mi robota, jak nie mogę nawet wydać tu tego co dostaję od starego!* — odzywa się milczący dotąd, trzeci z siedzących. — *Już wypiłem sześć piw, zjadłem trzy lody i co dalej? Zelżeje upał, to może kapinkę napiję się w „Oazie" i do domu. A jutro apiać tego samego.*

— *Własne pieniądze to nie to samo co od ojca* — usiłuję zasadniczo.

— *Bo to prawda!*

— *Starzy pewnie mają jakiś cel i dlatego tak ciułają. A ja mogę tak do końca życia.*

— *W najgorszym razie siądę na taksówkę* — mówi obojętnie ten z krzyżem.

— *Albo bogato się ożenię* — przeciąga się blondas. — *Może piwko?*

— W jego głosie brzmi nuta zaczepki, gdyż sądzi, że jestem jednym z tych, co to polują na jelenia.

Uprzejmie odmawiam, co kwitują obojętnością i leniwie dźwignąwszy się idą osowiale do „Relaksu", kawiarenki wkomponowanej w gmaszysko „Supersamu".

SDH „SUPERSAM" SUPER KOSZTEM

W 1918 r. obywatele Łasku założyli *Spółdzielnię Spożywców „Społem"*. Sześćdziesiąt lat później dla uczczenia tego faktu miasto otrzymało pierwszy dom handlowy typu supersam. Powinien stać długo, jako że budowano go całe 5 lat (początkowo łaski „Montoprzem" obiecywał trzyletni okres budowy), kosztem 29 mln zł., (pierwotny koszt — 18 mln zł). A wszystko dlatego, że budując nie zbadano dobrze gruntu. Przed laty tędy płynęła rzeka i stare koryto istnieje do dziś. Tak więc na dobrą sprawę budynek stoi na wodzie. Budowlani twierdzą, że nie runie, że jest należycie zabezpieczony. Oby tak było.

— Po oddaniu budynku — mówi dyr. WSS ZYGMUNT ZASTROŻNY — należało natychmiast przystąpić do jego remontu. W pierwszej kolejności należało usunąć przebicia w przewodach elektrycznych, bowiem nie można było dotknąć się do ścian, a także wyremontować przepompownię, która nie odprowadzała wody. Dziś zabezpieczamy odpadające tynki i nie trzymające się ścian umywalki. A tak naprawdę, to powierzchnia piwniczna w stosunku do powierzchni handlowej ma stanowić 70 proc. W naszym SDH na 800 m kw. powierzchni handlowej, piwniczna wynosi zaledwie 200 m kw. Dusimy się na zapleczu, bo ktoś w porę nie pomyślał o miejscu na składowanie towarów.

„W obecnym stadium nie widzimy jeszcze związków między koncentracją przemysłu, a jego świadczeniami na rzecz miasta".
Fot: F. Widerkiewicz

CZEKAJĄC NA SAMOLOT

Dalszy ciąg ze str. 1

— Z kilku powodów, wśród których sprawy rodzinne wysuwają się na plan pierwszy. Na przykład mój syn kończy pierwszą licealną. Jest w trudnym wieku. Potrzebny mu teraz ojciec. To byłaby zbyt długa rozłąka.

— I byłaby to długa przerwa w pracy.

— Przede wszystkim w kierowaniu pracą Instytutu. Bo dla własnej pracy naukowej jest to duża szansa. Pomijając już kontakty z uczonymi innych krajów, w czasie takiego wyjazdu można wyłącznie skoncentrować się na pracy badawczej i przygotowaniu publikacji. A poza tym jest okazja, aby uzyskać dostęp do zagranicznych czasopism nie zawsze u nas dostępnych, zapoznać się z lekturami w bibliotekach zagranicznych uczelni czy instytutów, z materiałami, jakimi one dysponują.

W domu z zasady nie siadam do pisania czegoś większego, jeśli nie mam 4 czy 5 godzin tylko do mojej dyspozycji. I jeśli wiem, że będę takim czasem dysponował w ciągu następnych dni. Mam na przykład zebrane materiały do podręcznika, ale ciągle brakuje mi czasu, aby siąść do pisania. Te dwie, trzy godziny jakie sobie codziennie późnym wieczorem wygospodarowuję starczają mi na lektury, robienie notatek. To ciągle jest mało, aby zabrać się do poważniejszej pracy.

Wzywają nas do bufetu, aby pobrać jedzenie. Dostajemy kawę, butelkę soku owocowego, bułki i pojemnik plastikowy z wędliną, serem, masłem, sałatą. Wracamy do naszych foteli i zabieramy się do jedzenia.

Przez cały czas studiów Jerzy Kortan pracował. Asystentem został w 1949 roku. Na uczelni miał pół etatu, a w Centralnym Zarządzie Przemysłu Skórzanego cały etat. Był tam — jakbyśmy to dziś powiedzieli — specjalistą od metod planowania. W 1951 roku musiał dokonać wyboru. Wprowadzono wówczas zasadę, że pracownicy przemysłu nie mogli mieć półetatów na uczelni, natomiast pracownicy uczelni mogli mieć pół etatu w przemyśle. Dokonał więc zamiany. Przeszedł na cały etat do uczelni, choć to finansowo go nie urządzało, i zachował pół etatu w przemyśle. Kontakt z przemysłem pomagał mu w pracy naukowej. W 1954 roku ukazała się pierwsza książka Jerzego Kortana, traktująca o planowaniu wewnątrzzakładowym i rozrachunku gospodarczym w przemyśle obuwniczym.

W 1959 roku otrzymał stypendium doktoranckie. Przestał pracować w przemyśle. Miał już za sobą liczne publikacje, wydał kilka skryptów. Wykładał na WUML, dalej publikował, wygłaszał odczyty. Działał w TNOiK. Był jednym z założycieli łódzkiego oddziału tego towarzystwa Wszedł w skład zarządu. W 1964 roku został wiceprzewodniczącym zarządu. W 1964 roku — prezesem i był nim przez 13 lat.

Odleciały już samoloty do Moskwy, Berlina, Wiednia. Poczekalnia dworca lotniczego zapełniła się pasażerami którzy po godzinie 14 maja lecieć samolotem „Bałkanu" do Warszawy. A naszego samolotu ciągle jeszcze nie ma. Czekamy.

— Czy młodzi pracownicy nauki też narzekają na brak czasu?

— To różnie bywa — mówi profesor. *— Nie ulega wątpliwości, że mają duże obciążenia dydaktyczne. Biorą udział w pracach badawczych Instytutu. Staramy się jednak tak angażować ich w pracach badawczych, aby tematy tych prac były bliskie tematom ich prac doktorskich.*

— Ale zdarza się, że nie składają tych prac w terminie?

— Zdarza się.

— I co wtedy?

— Jeszcze kilka lat temu staraliśmy się o przedłużenie terminu. Mogliśmy sobie na to pozwolić, gdyż dysponowaliśmy możliwością stałego powiększania zespołu. Teraz takiej możliwości nie mamy Musi być rotacja. W przeciwnym razie nie byłoby dopływu młodych zdolnych ludzi. Zdarzyło się nawet tak, że pewna asystentka spóźniła się z oddaniem pracy. Musiała przejść do przemysłu. Tam też są potrzebni doktorzy. Zrobiła doktorat. I została w przemyśle. Są tam z niej zadowoleni i ona jest zadowolona.

— Skąd Pan teraz dobiera asystentów?

— Z kół naukowych. Obserwując pracę studentów w kołach naukowych można ich lepiej poznać niż na wykładach czy przy egzaminach Sposób przygotowywania referatu na zebranie koła naukowego, jego obrona pokazuje sposób myślenia i predyspozycje młodych. Ich udział w obozach naukowych, badaniach, ogólnopolskich sesjach kół naukowych — wszystko to razem pozwala nam właściwie ocenić przyszłych adeptów pracy naukowej.

— Czy to gwarantuje, że ich dalszy rozwój będzie dobry?

— Takiej gwarancji nigdy nie ma. W nauce jest trochę tak jak w sporcie. Ktoś może osiągnąć bardzo dobry wynik i już go więcej nie powtórzyć.

— Osiągnął swój pułap.

— Asystent, aby pozostać na uczelni, musi zrobić doktorat. To jest bodziec. Adiunkt powinien zrobić habilitację ale tego nie określa żaden termin. Młody człowiek, aby zrobić doktorat, mobilizuje całe swoje siły. Później chce odpocząć Praca habilitacyjna musi wnosić coś nowego do nauki. Nie może być powtórzeniem tematu pracy doktorskiej. Ale często, zbierając materiały do pracy doktorskiej, trafia się na ciekawe materiały, pewne myśli, założenia, które mogą stać się podstawą do pracy habilitacyjnej. Jeżeli ktoś z rozpędu pójdzie dalej, nie pokusi się na zbyt długą przerwę, ma większe szanse na uzyskanie dobrego wyniku. Ale bywa też inaczej, po doktoracie powtarza się już tylko w kółko to samo, pisze się przyczynki.

Sprawa jest dość skomplikowana. Odnosi się to nawet do prac doktorskich. Ktoś na przykład robi badania w przemyśle. Są to bardzo cenne, nowatorskie badania. Ale publikować nie może, z różnych powodów. Albo dlatego, że nie można publikować fragmentów, bo nie dają obrazu całości, albo dlatego, że zleceniodawca sobie tego nie życzy. A to pochłania wiele czasu. Wyników wymiernych w formie publikacji nie ma, ale są wyniki naukowe, których ani w wypadku doktoratu, ani w wypadku habilitacji nie bierze się pod uwagę.

To są w ogóle sprawy żywo obecnie dyskutowane Niektórzy na przykład mówią, że gdyby wprowadzono obowiązek zrobienia habilitacji w określonym czasie, to niektórzy adiunkci mogliby odejść z uczelni. Inni natomiast powiadają, że prace doktorskie czy habilitacyjne pisze się przecież na stopień, że to uzależnia rozwój naukowy człowieka od kryteriów formalnych. Rodzi się choćby takie pytanie: co jest wartościowsze, praca habilitacyjna opublikowana w zeszytach naukowych uczelni czy instytutu, czy też kilka artykułów w centralnych naukowych pismach, które wnoszą wiele nowego do nauki? Niby odpowiedź prosta, ale dla awansu w nauce nic z tego nie wynika. Albo dydaktyka. Dydaktykę w niedostatecznym stopniu bierze się pod uwagę. A to przecież jest bardzo ważne dla pracownika nauki, który pracuje na wyższej uczelni.

— No i na uczelni awansuje się jednak powoli.

— Dwaj koledzy po studiach, z których jeden idzie do przemysłu, a drugi pozostaje na uczelni, mają bardzo różną drogę awansu. Ten z uczelni awansuje dopiero po doktoracie, a więc po 7—8 latach Tamten w przemyśle przez ten czas osiągnął już pewien szczebel w zawodowej hierarchii Kiedy ten na uczelni zrobi habilitację, ten drugi jest już dyrektorem. Zdarza się więc, że wartościowi dla nauki ludzie odchodzą do przemysłu choćby i dlatego, że mają tam znacznie lepsze warunki finansowe.

W poczekalni zrobił się nagle ruch. Wszyscy pobiegli do szklanej ściany dworca lotniczego. Pobiegli zobaczyć, jak ląduje samolot LOT z Warszawy. Poszliśmy i my. Teraz już nie było wątpliwości, że niedługo polecimy. Trzeba było tylko poczekać aż samolot zatankuje paliwo, załoga odpocznie i przygotuje się do powrotnego lotu.

Wróciliśmy na swoje miejsca. Jeszcze co najmniej godzina czekania.

— Tak — mówię, żeby wrócić do tematu — na nadmiar czasu nikt nie narzeka. Na ogół wszystkim tego czasu brakuje.

— Toteż teraz — profesor podejmuje rozmowę — *powoli staram się oddawać różne funkcje społeczne. Myślę, że to jest normalne. Człowiek starzeje się przecież i powinien skoncentrować swoją uwagę na wybranych sprawach, aby — dzięki możliwości pogłębienia badań — osiągnąć lepsze wyniki. U mnie to jeszcze podyktowane jest tym, że chcę więcej czasu poświęcać synowi.*

— Co Panu zostało z tych funkcji?

— Jeszcze sporo. Pracuję w zespole do spraw rozwoju przemysłu Komisji Ekonomicznej KŁ PZPR. To bardzo ciekawa praca. Jestem członkiem prezydium Rady Naukowej przy prezydencie Miasta Łodzi oraz redaktorem naczelnym „Przeglądu Ekonomiczno-Społecznego Miasta Łodzi", przewodniczącym Rady Naukowej łódzkiego oddziału TNOiK, członkiem Rady Naukowej Instytutu Organizacji Zarządzania i Doskonalenia Kadr w Warszawie i jeszcze w kilku innych radach czy zespołach.

— No i jest Pan dyrektorem Instytutu Organizacji i Zarządzania UŁ, a także kierownikiem Zakładu Ekonomiki Przedsiębiorstw i Analizy Ekonomicznej.

— To jest moja praca zawodowa.

— Właśnie, a co ciekawego słychać w Instytucie? Ostatni raz, kiedy widzieliśmy się, a było to kawał czasu temu, to panowie zajmowali się, między innymi, badaniami nad strukturą przemysłu lekkiego. Z jakim rezultatem?

— Chodzi panu o to, czy znalazło to zastosowanie w praktyce? W pewnym stopniu tak. Na zlecenie Instytutu Planowania przy Komisji Planowania Gospodarczego badamy możliwości udoskonaleń powiązań strukturalnych w przemyśle skórzanym. Chodzi o to, na ile korzystne i opłacalne byłoby tworzenie kombinatów w tym przemyśle.

A znów na zlecenie Instytutu Badań Systemowych i przy jego współpracy badamy społeczne procesy zarządzania. Interesuje nas na przykład proces koncentracji przemysłu i jego skutki. Na Zachodzie zainteresowanie koncentracją przemysłu jest bardzo szerokie i proces ten badają specjalne placówki naukowe. Odbywa się to tam na innych zasadach, i kiedy dwa przedsiębiorstwa łączą się, to oba chcą wiedzieć, co im z tego przyjdzie, co stracą i co zyskają i z takimi pytaniami zwracają się do specjalistów. U nas to się dzieje inaczej.

— Mało kto zastanawia się, co z tego przyjdzie, jakie będą tego społeczne korzyści?

— Bardzo często teorię dorabia się do faktów. Spotykaliśmy i takie argumenty mające przemawiać za połączeniem dwu różnych przedsiębiorstw w jedno, że dawało to oszczędność 20 etatów. A przecież taką oszczędność można było uzyskać na zupełnie innej drodze. Połączenie dwu lub więcej przedsiębiorstw w jedno jest zawsze naruszeniem stanu równowagi, jest operacją na żywym społecznym organizmie, i obok swoich zalet ma też swoje wady. Decyzje o połączeniu czy rozdzieleniu przedsiębiorstw są decyzjami strategicznymi, a nie operatywnymi. Muszą więc być poprzedzone wnikliwą analizą gospodarczą i społeczną. Trzeba dokonać bilansu zysków i strat dla przedsiębiorstw i gospodarki zanim podejmie się jakąkolwiek decyzję. Pracujemy więc nad metodami łączenia i dzielenia przedsiębiorstw, bo jest to proces nieunikniony, ale musi opierać się na racjonalnych zasadach.

I jeszcze, a to pana powinno szczególnie zainteresować, bo dotyczy to Łodzi, podjęliśmy badania nad wpływem koncentracji przemysłu w Łodzi na infrastrukturę społeczną miasta. Nie ulega wątpliwości, że dla zjednoczeń, dla załóg koncentracja przemysłu jest korzystna. Ale dla miasta? Co z tego ma miasto? Na przykład. Choćby z pobieżnych obserwacji można wnioskować, że dla komunikacji w mieście jest to proces raczej niekorzystny, bo stawia przed ta komunikacja większe zadania. trzeba więcej ludzi przewozić na dłuższych trasach, a komunikacja nie ma do tego potrzebnych warunków. A poza tym?

— I do jakich doszliście wniosków?

— Na wnioski jeszcze za wcześnie. Badania trwają. W obecnym stadium nie widzimy jeszcze związków między koncentracją przemysłu a jego świadczeniami na rzecz miasta. To znaczy, że za rozwojem przemysłu nie idzie w parze wzrost świadczeń. Ale to jest uwaga wstępna. Na ostateczne wnioski trzeba poczekać do zakończenia badań.

Zachrypiał głośnik i wezwano nas do wyjścia. Samolot do Warszawy był już gotowy do startu.

W samolocie rzuciliśmy się na poranne warszawskie gazety. Potem podano obiad. I tak jakoś czas zleciał. W Warszawie był mróz i padał śnieg. Spychacze czyściły pasy startowe ze zwałów śniegu, w świetle żółto płonących lamp lotniska wirowały białe płatki śniegu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NA SZLAKU

W Łasku działa aż 7 jednostek handlowych, zajmujących się sprzedażą mleka i pieczywa: a więc WZSR, WCH, GS, Spółdzielnia Mleczarska, Spółdzielnia Inwalidów, a także sektor prywatny. WSS jest najpoważniejszym handlowcem, jego sklepy mieszczą się we wszystkich dzielnicach miasta, a jego ogólny obrót roczny wynosi ponad 230 mln zł. Ale zdarza się, że nagle brakuje pieczywa czy mleka: każdy z w. w. handlowców liczył, że tym razem właśnie konkurencyjne przedsiębiorstwo czy spółdzielnia dostarczy te produkty do swoich sklepów. Dlatego niezbędną koniecznością jest powołanie koordynatora, który będzie dbał o prawidłowe zaopatrzenie miasta w artykuły spożywcze. Sądzę, że ta funkcja winna przypaść w udziale WSS.

SKĄD WZIĄĆ PÓŁTORA MILIONA PUSZEK?

Na drugim końcu miasta-gminy pracuje mój stary przyjaciel JAN KRAWCZYK, dyrektorując w ZAKŁADZIE PRZETWÓRSTWA OWOCOWO-WARZYWNEGO w Gorczynie, wsi graniczącej z Łaskiem. Niegdyś zatrudniano tu zaledwie 24 osoby, produkowano dżemy i kompoty, a zakład mieścił się w starej oborze i walącej się stodole. Dziś pracuje tu 200 osób, wzniesiono nowoczesne hale produkcyjne z liniami technologicznymi, a wyroby z Gorczyna posiadają bardzo wysoką jakość. Rozszerzyła się gama wyrobów: dżemy, powidła, marmolada, kompoty, ogórki konserwowe, cukinia konserwowa, pieczarki marynowane, koncentraty do napojów spożywczych, przeciery i pulpy truskawkowe z przeznaczeniem na eksport oraz pasztet z drobiu. Roczna wartość produkcji sięga 70 mln zł.

— Mimo wielkiego rozwoju — mówi Jan Krawczyk — nie jesteśmy w stanie przerobić całej masy towarowej dostarczanej nam przez miejscowych rolników. Gdybyśmy mogli wszystkie owoce i warzywa przerobić na dżemy i kompoty, wówczas wartość naszych wyrobów wyniosłaby około 300 mln zł. Największym mankamentem nadal pozostaje brak dodatkowych pomieszczeń produkcyjnych. Ale nie tylko to. Oto w IV kwartale ub. roku zakład miał otrzymać z Kombinatu Opakowań Blaszanych w Brzesku 1.800 tys. puszek do konserw warzywno-mięsnych. Nie otrzymał nic. W I kwartale br. mieliśmy otrzymać dalszy milion tych puszek, a dostaliśmy zaledwie niecałe półtora miliona jako zaległe zobowiązanie za rok ubiegły. A więc brakuje nam w tej chwili prawie 2,5 miliona sztuk puszek, a Brzesko odpowiada, że więcej nie da. W tej sytuacji nie dostarczymy do sklepów 110 ton pasztetu z drobiu!

NACZELNIK MIASTA I GMINY MA ARGUMENTY

Kiedy udało mi się dotrzeć do naczelnika miasta i gminy mgr KAZIMIERZA PIETRZAKA i kiedy zacząłem mówić o sprawie nudzącej się młodzieży, o tym, że najlepiej do Łasku dotrzeć lecąc helikopterem, bo ulice są rozkopane, że nie ma gdzie zaparkować samochodu, że ludzie czekają zbyt długo na mieszkania, że... Słowem znalazłem dziesiątki spraw wymagających natychmiastowego rozwiązania. Naczelnik słuchał i uśmiechał się z pobłażaniem.

— Czy pan wie — powiedział — *że tylko w ciągu ostatnich czterech lat oddaliśmy w ramach budownictwa uspołecznionego ponad 450 mieszkań, a z budownictwa indywidualnego i jednorodzinnego przybyło nam 150 mieszkań? Że budujemy nowe osiedle imienia Stefana Batorego dla 1.100 osób?*

— Jednak ulice, szczególnie te na peryferiach, wymagają...

— Nasz własny Zakład Robót Drogowych kładzie asfalt lub modernizuje rocznie około 12 km dróg i ulic. Właściwie czekamy aż skończą się prace z zakładaniem kanalizacji miejskiej, by doprowadzić rozkopane ulice do porządku.

— Za mało mebli typu „Łask".

— Jest już dokumentacja na rozbudowę istniejących Łódzkich Fabryk Mebli kosztem 150 mln zł.

— Nie ma dobrego stadionu...

— Będzie. Obok miejskiego parku powstaje duży ośrodek sportowo-rekreacyjny.

— Na bagnach? — nie mogę powstrzymać zdumienia, gdyż jeszcze jako dziecko chodziłem tam zrywać „kotki".

— Bagna wysuszyliśmy, a teren został utwardzony i zmeliorowany. Tam będą boiska, bieżnie, pawilon sportowy z hotelikiem, słowem to wszystko, co winno się znajdować w ośrodku kultury fizycznej i sportu. Ponadto Łask i Kolumnę połączą dwa ciągi spacerowe: oba w dorzeczach rzek Grabi i Pisi. Oprócz tego planujemy obok zajazdu „Jamboł" gdzie istnieje naturalne zagłębienie, utworzyć zalew o powierzchni 20 ha.

Ale skoro zostałem sprowokowany, powiem także o naszych staraniach by w przyszłej 5-latce wybudować w Łasku kombinat szklarniowy, który będzie zaopatrywać w nowalijki całe Sieradzkie i województwa ościenne. Miasto posiada korzystne warunki na tego typu budowę: na wyznaczonym pod kombinat terenie jest już bocznica kolejowa, gleby tam są słabe, w pobliżu rozpoczynamy budowę ujęcia wody i ciepłownię ogólnomiejską, a co ważniejsze, że w odległości półtora kilometra mieści się Zespół Szkół Rolniczych, a więc jest kadra. I jeszcze jeden argument za: Łask leży centralnie w stosunku do Sieradza, Łodzi i Bełchatowa.

ZAKOŃCZENIE

Przed wyjazdem z Łasku wstąpiłem do „Relaksu" na ciasto z „Hortexu" i dobrą kawę. Barmanka, pani BOGUSIA nie podzieliła moich pesymistycznych spostrzeżeń dotyczących tutejszej młodzieży.

— Nie są wcale tacy źli, tylko, że tu naprawdę nie ma co robić. Jedyną rozrywkę stanowi kino. Więc przychodzą do „Relaksu". Czy mam z nimi kłopot? Nie, są czasami zabawni i uparci, ale jakoś sobie radzę.

Przez okno dostrzegłem Kazika idącego wielkimi zygzakami środkiem jezdni.

EUGENIUSZ IWANICKI

TOMASZ SOLDENHOFF

A NA BUDOWIE — BEZ ZMIAN

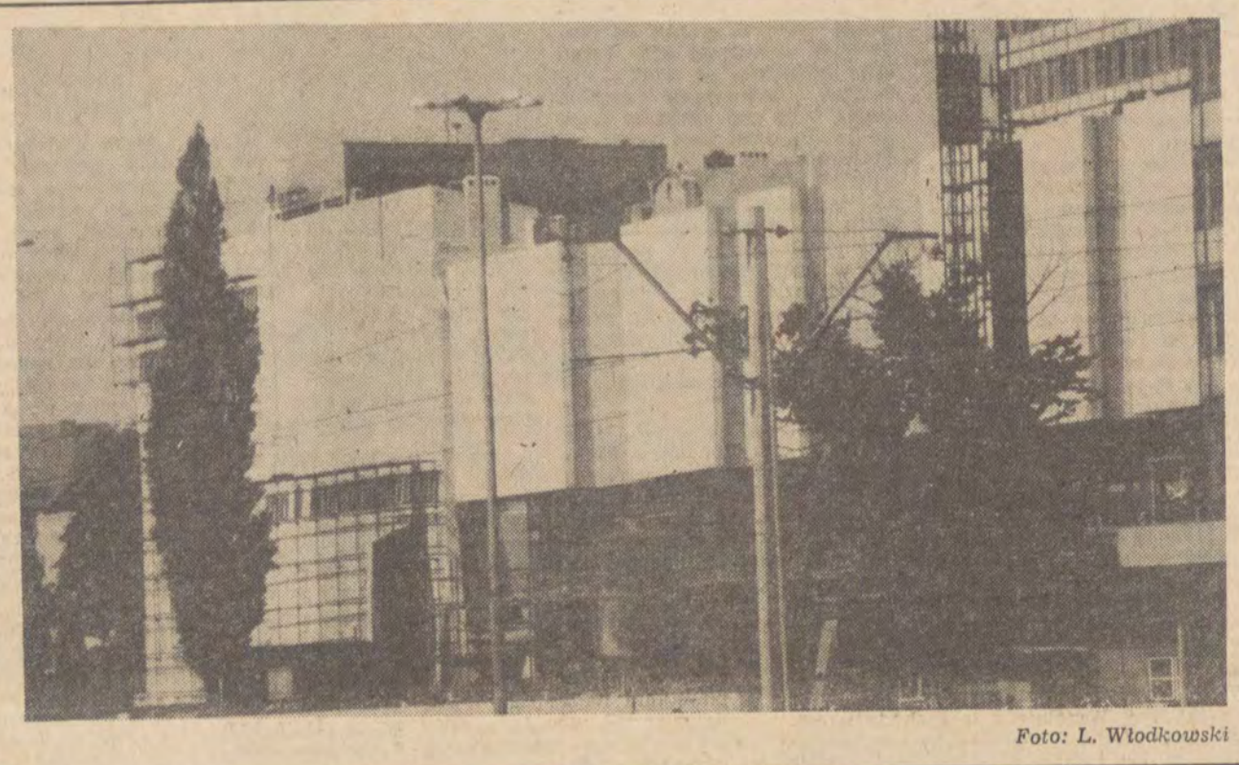

Foto: L. Włodkowski

Był koniec lipca, kiedy stanąłem przed rozwaloną na oścież bramą budowy. Nie mogąc jednak odnaleźć wzrokiem stróża, ani tablicy informacyjnej poszedłem dalej. Minęło trochę czasu, zanim natknąłem się na jedynego kręcącego się po budowie człowieka.

— Gdzie reszta ludzi?

— Wszyscy są na Składowej.

— Co tam robią?

— Budują blok. Ale jeszcze nie wyszli z ziemi, choć to już siedem miesięcy spóźnienia.

— Kierownika też dzisiaj nie ma?

— Pojechał na urlop.

— Ma chyba zastępcę?

— Tak, ale cały czas jest na Składowej.

— To może chociaż zastałem mistrza?

— Nie. Oprócz mnie, spawacza i magazyniera nie ma nikogo. Niech pan przyjdzie jutro, ale z rana, bo potem wszyscy pewnie pojadą na tamtą budowę... Jest nas mało, to tak jeździmy tam i z powrotem. Ale budowa na Składowej ważniejsza, bo to przecież mieszkania, na które ludzie najbardziej czekają...

1.

Kilka miesięcy wcześniej w jednej z łódzkich gazet przeczytałem pod radującym nie tyle serca, co żołądki tytułem: „OSKAR — NAJWIĘKSZY W KRAJU KOMBINAT GASTRONOMICZNY" (cytuję w skrócie): „Na zachodniej stronie trasy W-Z przy ul. Głównej, pomiędzy dwoma wieżowcami, usytuowano trzy duże, nowoczesne obiekty handlowe. Trzeci, „Oskar" jest w końcowym stadium budowy. Mieścić się w nim będzie największy w kraju kombinat gastronomiczny. Na parterze tego kolosa ulokowany zostanie coctail-bar mleczny na 40 miejsc oraz bar mleczny, w którym równocześnie może przebywać 80 konsumentów. Na I i II kondygnacji zaprojektowano pomieszczenia dla baru szybkiej obsługi o 220 miejscach, sklepu garmażeryjnego, sklepu cukierniczego, sali restauracyjnej dla 220 konsumentów, małej grylowni o 60 miejscach konsumenckich i sali bankietowej dla 60 osób. Tu też znajdować się będzie coctail-bar, winiarnia i kawiarnia dla 150 konsumentów. Łącznie więc w tym dużym kombinacie może się pożywić ponad 900 osób równocześnie".

W dalszym ciągu tej efektownej notatki (zilustrowanej nastrojowym, zimowym jeszcze pejzażem zachodniej strony ul. Głównej) autor informował czytelników o „najnowszych maszynach gastronomicznych", w jakie wyposażony będzie ów obiekt, tudzież o „należytych warunkach socjalnych dla 420 osób liczącej załogi". Mój entuzjazm dla „Oskara" wzrósł jeszcze bardziej, gdy przeczytałem ostatnie zdanie (radości nie zmąciła nawet bezosobowa, jak gdyby niezobowiązująca forma): „Przewiduje się, że „Oskar" zostanie przekazany do użytku na przełomie 1979/80".

Kiedy jednak zainteresowałem się bliżej budową kombinatu rychło okazało się, że padłem — zapewne nie jedyny — ofiarą wybujałego optymizmu autora, czy też jego informatorów. Trzy kwestie wymagają od razu sprostowania.

Po pierwsze, w notatce zaniżono liczbę konsumentów (faktycznie miejsc ma być ponad 1100). Nieprawdą jest też, jakoby „Oskar" znajdował się już „w końcowym stadium budowy". Wkrótce po ukazaniu się tej informacji przestał być też aktualny termin oddania obiektu.

7 lipca 1979 roku „Głos Robotniczy" poinformował o licznych listach i telefonach, jakie wpłynęły od łodzian zaniepokojonych tempem prac na budowie „Oskara". „Zapytują nas czytelnicy — relacjonował dziennikarz „GR" — kiedy otworzy swe podwoje pawilon gastronomiczny przy ul. Głównej, coraz potrzebniejszy w centrum miasta. Pytania o tyleż uzasadnione, że obiekty handlowe zlokalizowane już przy trasie W-Z gromadzą w tym rejonie coraz więcej łodzian..."

Dalej podano m. in., że tegoroczne zadania na budowie „opiewają na 16 milionów". Nie minęły jednakże nawet trzy tygodnie, gdy i ta wiadomość przestała być aktualna.

27 lipca z ust przedstawicieli inwestora — Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich II i generalnego wykonawcy — Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Śródmieście" usłyszałem tę samą wieść, że zmniejszone zostały tegoroczne limity na budowę „Oskara". Tym samym termin oddania pawilonu — ostatniego i największego z trzech znajdujących się po zachodniej stronie Trasy W-Z, został przesunięty w dalszą przyszłość. Przed weryfikacją limitów mówiono o wrześniu 1980 r. Teraz data została określona — siłą rzeczy — mniej precyzyjnie i miało nią być pierwsze półrocze 1981 roku.

W tej sytuacji moje wielkie zdziwienie wzbudziły dwa ostatnie hurra-optymistyczne przyczynki, jakie odnotowałem w związku z budową przy trasie W-Z.

24 sierpnia — a więc w miesiąc po tym, jak do Łodzi dotarła wiadomość o zmniejszeniu limitu inwestycyjnego dla „Oskara" — ta sama gazeta, której notatkę cytowaliśmy na początku, doniosła jak gdyby nic się nie zmieniło: „GIGANT GASTRONOMICZNY „ASTORIA". 7 PLACÓWEK NA 11.600 M KW. 1.122 MIEJSCA KONSUMENCKIE" (i dalej). Wielki kombinat gastronomiczny nareszcie przestaje straszyć przechodniów szkieletem konstrukcji stalowej i rusztowaniami stojącymi tam od wielu miesięcy. RUSZYŁY PRACE WYKOŃCZENIOWE (podkreśl. moje — T.S.) Kuchnia otrzyma najnowocześniejsze maszyny i urządzenia, które niebawem będą instalowane. Zamówiono już meble i urządzenia do wystroju wnętrz poszczególnych zakładów..." (cytuję z koniecznymi skrótami).

Istnym curiosum jest jednak dopiero rozdział „Restauracje rekomendowane" w wydanym właśnie (i to nawet ładnie) przez Wojewódzki Ośrodek Informacji i Reklamy Turystycznej „Informatorze turystycznym Łodzi i województwa miejskiego łódzkiego", gdzie „rekomenduje" się nie tylko już nie istniejącą „Kaszubską" przy Piotrkowskiej 127, ale także jeszcze nie gotowy „Kombinat gastronomiczny „OSKAR", ul. Główna 2"...

2.

Przechodząc do faktów, które w nieco dziwnym świetle postawiły wszystkie, cytowane tu i radosne na wyrost informacje, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że budownictwo w naszym kraju obowiązuje od dawna ustalona gradacja potrzeb. Wiadomo, że obecnie najważniejsze są mieszkania. Za nimi zaś usługi towarzyszące, z którymi niekiedy stawia się na równi inwestycje dla służby zdrowia. Dopiero na dalszym miejscu plasuje się tak zwane budownictwo ogólne objęte planem terenowym. Kombinat gastronomiczny „Astoria" (żeby trzymać się już nowej, acz dużo mniej udanej, pretensjonalnie brzmiącej nazwy) znalazł się w tym ostatnim planie.

Nie zamierzam tutaj kwestionować zasadności tych „cięć", które spowodowały wypadnięcie „Astorii" z grupy obiektów o znaczeniu obecnie priorytetowym; **rozumiem bowiem iż decyzje ograniczające plany terenowe podyktowane są względami wyższego rzędu — koniecznością komasowania sił i środków na inwestycjach najbardziej w tej chwili gospodarcze potrzebnych (z budownictwem mieszkaniowym włącznie). Fakt ten spotyka się zresztą ze zrozumieniem społeczeństwa.**

Można natomiast — jak sądzę — dyskutować nad metodą i trafnością wyboru tych inwestycji z tzw. planu terenowego, które są miastu najniezbędniejsze i które — choćby w ograniczony sposób — ale za wszelką cenę należy kontynuować (do tematu tego wrócimy w najbliższej przyszłości).

Trzeba wszakże zdać sobie sprawę również i z tego, że decyzje o zmniejszeniu limitów wcale nie usprawiedliwiają zaistniałych już wcześniej opóźnień, tych, które powstały z winy opieszałych i niesolidnych wykonawców.

Ale z tą winą — jak się okazuje — nie jest jednak taka prosta sprawa, co tłumaczono mi w dyrekcji Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Śródmieście" — generalnego wykonawcy.

Trudności, z jakimi boryka się „Śródmieście", są tylko w części typowe dla całego naszego budownictwa. Niedostatek ludzi („Potrzeba nam w tej chwili co najmniej 70 fachowców" — stwierdził zastępca dyrektora do spraw rozwoju i techniki Kombinatu mgr **Eugeniusz Woźniak**) i problemy z transportem — to tylko jedna strona medalu. Transport na przykład — zamiast odciążać — obarcza się nowymi dodatkowymi obowiązkami. Oto producenci materiałów budowlanych spoza Łodzi nie zapewniają dostaw swoim taborem; „Śródmieście" musi je zatem — i to często z odległych zakątków — przywozić własnymi samochodami. A przecież — miast jeździć po Polsce — powinny one kursować w tym czasie między łódzkimi budowami, rozwożąc piasek, drewno czy cement!

Trudności nietypowe wynikają natomiast z odrębności profilu kombinatu „Śródmieście" — na tle innych tego typu przedsiębiorstw w Łodzi. Co decyduje o owej odrębności? Przede wszystkim — teren działania. Jest nim (z reguły choć nie zawsze o czym za chwilę) centrum miasta, które z racji ciasnej zabudowy, wąskich ulic, dużego ruchu, stłoczenia środków komunikacyjnych i ludzi, a także silnego uzbrojenia terenu nie tylko ogranicza pole manewru dźwigom i samochodom, ale stwarza często wiele nieprzewidzianych trudności wykonawczych. Te zaś z kolei powodują opóźnienia.

Przed laty Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego nr 1 zajmowało się głównie budownictwem ogólnym. Po reorganizacji (i zmianie nazwy) profil przedsiębiorstwa uległ ewolucji: przybyło zadań w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego (np. to właśnie „Śródmieście" wznosi ŚDM).

Wystarczy przejść się po łódzkich budowach, aby stwierdzić, że sugerowana przez nazwy przedsiębiorstw rejonizacja ich działań jest w gruncie rzeczy fikcją. To żadna tajemnica, że ŁKB „Śródmieście" buduje również na Bałutach, Widzewie czy Górnej. Tu szkoła, tam szpital, gdzie indziej jeszcze biurowiec. A wszystko to często—gęsto daleko od śródmieścia...

Konstatując te fakty odniosłem wrażenie — może ktoś mi je rozproszy? — że dla Zjednoczenia Budownictwa jest ŁKB „Śródmieście" czymś w rodzaju „odwodu", „wypożyczanego" nawet do kończenia tego, co inni zaczęli — i to nieraz poza przypisanym mu w nazwie (i nie tylko w niej) terenem działania. Nie ma tu potrzeby, ani też miejsca, aby zapuszczać się głębiej w zasady funkcjonowania Kombinatu w systemie łódzkiego budownictwa. Muszę jednak zwrócić uwagę na może niegroźne z pozoru skutki wykorzystywania „Śródmieścia". Jeden z nich to także opóźnienie na budowie „gastronomicznego giganta" w centrum Łodzi. Jest to przecież efekt nadmiernego zaangażowania całych brygad Kombinatu i poszczególnych pracowników w budowę innych obiektów, i to nie tylko przy Składowej, czy Armii Ludowej (to jeszcze tereny w centrum).

Tymczasem... Mówi dyr. **E. Woźniak:** — Mimo zwiększanych z roku na rok zadań, jakimi obarcza się nasz kombinat, nie wzrósł proporcjonalnie jego potencjał wykonawczy. Tym, co nas zaś najbardziej niepokoi, jest wciąż niepełne zatrudnienie.

Skutki tego stanu rzeczy widzi każdy, kto przechodzi lub przejeżdża obok budowy przy al. Mickiewicza... A czynią to codziennie tysiące łodzian. Niejednego z nich musiał zdziwić kontrast między panującym na co dzień wokół nie ukończonego pawilonu bezruchem, a tempem, w jakim podejmuje się różne, okazjonalne raczej prace (np. przy elewacjach).

Chociaż na przypadkowym obserwatorze obiekt robić może wrażenie, jakby rzeczywiście znajdował się w fazie prac wykończeniowych (głównie za sprawą niemal gotowej od strony al. Mickiewicza elewacji), faktem jest, że roboty związane z konstrukcją dachową wykonane zostały dopiero w połowie (ich zakończenie planowano na maj). Wystarczy zdjąć uradowane oczy z jasnej, piaskowcowej wykładziny elewacji i obejść pawilon od zachodu, a następnie porównać obie strony. Oto np. zamiast północno-zachodniego narożnika sterczą gołe elementy nieobleczonej jeszcze betonem konstrukcji stalowej. Widziany z wysoka pawilon przypominał pod koniec sierpnia dziurawy placek z uciętym rogiem. A cały „dach" to na razie tylko kilkaset metrów kwadratowych betonowych płyt — z otworami, przez które do środka budynku leje się deszcz...

Niepokoją również inne, na pozór drobne, fakty...

— 6 lipca br. ok. godz. 5.45 z placu budowy wyjechał przez nikogo nie zatrzymywany biały fiat (niestety, świadek nie zdążył zanotować numerów rejestracyjnych), do którego nieco wcześniej jeden z budowlanych załadował przy pomocy kierowcy worek cementu...

— Na odcinku między ul. Sienkiewicza, a al. Kościuszki trasa W-Z jest regularnie niedoświetlona. W nocy nie pali się cały szereg lamp po zachodniej stronie ulicy. W tej sytuacji budowę, a ściślej mówiąc skromny jej wycinek — placyk koło magazynu — oświetla jedna, rachityczna lampa... Cały, podniesiony na wysokość trzech pięter budynek tonie zatem praktycznie w ciemnościach.

— Solidny płot grodzi budowę jedynie od al. Mickiewicza. Natomiast od strony domów handlowych całe zabezpieczenie przed instruzami stanowi kilka żerdzi, pod którymi przelezie nawet inwalida. Do spacerów po budowie zachęcają również odsłonięte otwory okienne na parterze budynku, sąsiadujące ze schodami prowadzącymi do stykającego się z pawilonem wieżowca.

— Zdaniem robotników (nielicznych zresztą) latem na budowie nie było żadnych cenniejszych materiałów. Dlatego zapewne większość ich leży zwyczajnie pod gołym niebem. Kiedy jednak w mojej obecności przywieziono blaszane parapety — zaliczane do materiałów atrakcyjnych — nie zostały one, wbrew poleceniu majstra, natychmiast schowane we wnętrzach. Po paru godzinach sprawdziłem również, czy wykonano polecenie zabicia owych dziur w ogrodzeniu od strony „Hermesa"... Niestety, dziury pozostały nietknięte, a nawet zabrano kilka płyt prowizorycznie je zasłaniających.

— Wielu ludzi traktuje plac budowy jako wygodny skrót ścinający róg al. Mickiewicza i Piotrkowskiej — od domów handlowych na parking przed wieżowcem „Skórimpexu". Do wędrówek przez budowę zachęca szeroko otwarta brama wjazdowa. Dla kogo właściwie otwarta przez cały dzień, skoro wywrotki na budowie są teraz rzadkimi gośćmi? Przechodnie nie zauważają wysoko umieszczonej tabliczki, zakazującej wstępu na budowę, a bywa że — pogubiwszy się w jej labiryntach — traktują robotników (jeśli się jakiś akurat trafi na budowie) jak... przewodników (nie wspominając już o tym, że te spacery skończyć się mogą wypadkiem). W nocy bramy są co prawda zamknięte; budowy pilnuje dozorca. Jakież to jednak jest pilnowanie, gdy na budowie ciemno, a w płocie dziury?

Najbliższe zamierzenia co do pawilonu są w siedzibie generalnego wykonawcy formułowane nader ostrożnie. Od dyr. Woźniaka usłyszałem, że „być może" do końca I kwartału przyszłego roku uda się zamknąć pierwszą część budynku — między al. Mickiewicza, a krytym pasażem, który na wysokości I piętra rozdzielać będzie pawilon na dwie części (w ten sposób już istniejący od ul. Sienkiewicza pasaż do domów towarowych „Juwentus" i „Hermes" będzie przedłużony aż do ul. Piotrkowskiej).

Jeżeli doszłoby do zamknięcia tej części obiektu, można by zacząć doprowadzać do niej ciepło i ruszyć z pracami wykończeniowymi.

Zapytałem robotników, czy to jest — ich zdaniem — realne?

— Tak — odpowiedzieli — **ale pod warunkiem, że od zaraz da się do robót dachowych dwie brygady betoniarzy pracujących po dwanaście godzin na dobę, a przedtem jeszcze dwudziestu cieśli po to, by wyciągnęli i oszalowali konstrukcje czterech klatek schodowych (i szybów wind), obecnie sięgających zaledwie do I piętra.** Tego pawilonu nie buduje się z gotowych prefabrykatów. To ma być monolit wsparty na stalowej konstrukcji. A więc wszędzie trzeba lać beton, ale żeby go lać, trzeba najpierw porządnie wszystko oszalować. Tak więc dach będzie można położyć dopiero wtedy, gdy podniesie się klatki schodowe i zamontuje maszynerie wind. A kiedy gotowy będzie dach, można zacząć myśleć o doprowadzeniu ciepła i wejściu podwykonawców — o robotach wykończeniowych...

— Czy fakt, że budynek stoi nie skończony może wpłynąć na jego jakość?

— Oczywiście. Odsłonięta stal jest wrażliwa na wpływy atmosferyczne. Tymczasem większość konstrukcji jest w tej chwili nie zabezpieczona. Nie ma ich kto pomalować.

A przecież z malowaniem stali nie można czekać do mrozów, konieczna jest odpowiednio wysoka temperatura otoczenia. Także tylko niektóre słupy podporowe są już otynkowane. Można by je zacząć obkładać wykładziną lastryko, ale nie ma tego kto zrobić...

— Denerwuje nas — powiedzieli mi jeszcze robotnicy — **że nie przychodzą na czas potrzebne materiały. Jak trzeba gwoździ, przysyłają piły... Albo inny przykład: dwa tygodnie czekaliśmy na piasek! A wszędzie wokół — na budowie trasy W-Z — było go pod dostatkiem. Żeby zrobić zaprawę pod płyty na elewację, musieliśmy „zwędzić" trochę piasku ekipie, która remontowała sąsiednią kamienicę...**

Na koniec pytam: **co w tej chwili jest najbardziej potrzebne budowie?**

— Dwustu ludzi i minimum dwa lata czasu...

A mistrz **Jan Madej** (35 lat w łódzkim budownictwie, z czego kilkanaście przy wznoszeniu Teatru Wielkiego, po kilka na budowach Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu, piekarni na Artyleryjskiej, szpitala na Spornej, ŚDM, domów towarowych na trasie W-Z) dorzuca:

— Miałem już dzisiaj trzy kontrole. Pan jest czwarty...

Co z tego? — chciałem zapytać. **Kontrole przychodzą i odchodzą... A na budowie — bez zmian.**

MAŁGORZATA GOLICKA

NAUCZYĆ SIĘ BYĆ STARYM...

Na inauguracyjny wykład w pierwszą majową środę przyszło 300 osób. Dyrektor Paszewski kazał nawet dostawiać krzesła. Trudno było wszystkich pomieścić w jednej sali. A tu jeszcze w ostatniej chwili zgłaszali się chętni i nieśmiało pytali, czy mogą się zapisać.

— Oczywiście, że tak — odpowiadała pani Helena Kretzowa i kierowała wszystkich do sali na I piętro. O godz. 11 przyjechała towarzyszka Mroczkowska z Łódzkiej Rady Związków Zawodowych, gospodarze dzielnicy lekarze z wydziału zdrowia.

Kilkanaście minut po godz. 11 było już po oficjalnym otwarciu i doc. dr Kinga Roszkowska zaczynała wykład o podstawowych pojęciach gerontologii i mechanizmach starzenia się.

Na następnych wykładach nie było już tak tłoczno, ale i tak nie spodziewano się aż 250 zgłoszeń. Wśród tych zapisanych są nauczyciele i dziewiarze lekarze i tkaczki, inżynierowie i stolarze. Jest wykładowca uniwersytetu, dziennikarka, a nawet jeden kiper. Najwięcej jest jednak (kto by się spodziewał) ekonomistów i księgowych.

Cóż tych ludzi ciągnie co środę do auli przy ulicy Buczka?

* * *

Miła starsza pani, której życie upływało przy aktywnym zawodowo mężu, po jego śmierci i odchowaniu wnucząt poczuła się nagle bardzo samotna.

— Dlaczego zapisałam się na uniwersytet III wieku? — zastanawia się przez chwilę. — **Powiem, jeśli nie poda pani mojego nazwiska.**

— Obiecuję, że nie podam.

— Chciałabym się jeszcze czegoś nauczyć. Choćby tego, jak być starą. To wcale nie tak łatwo! Nie męczyć się samej i nie być uciążliwym dla otoczenia.

Trzeba poznać mechanizm starzenia się. Tego właśnie uczą wykłady. Tematy medyczne były np. dla mnie bardzo interesujące. Od nowego roku akademickiego rozpocznie się cykl wykładów pod hasłem „Jak żyć". Dużo sobie po nim obiecuję. I jeszcze. Żebym nie zapomniała. Udział w regularnych zajęciach wprowadza pewien rytm w codziennym życiu. Pozwala spotykać się z tą samą grupą osób. Powstają nowe znajomości, rodzi się koleżeństwo. No i wykładowcami są ludzie młodsi od nas. To nieprawda, że starszych drażni młodość. Przeciwnie, dla mnie, kontakt z młodszymi, to poważny zastrzyk optymizmu.

Inny słuchacz uniwersytetu III wieku — Kazimierz Mietelski mówi wprost:

— Nie miałem warunków, żeby się uczyć przed wojną. Pracowałem w wielu zawodach, zwiedziłem spory kawał świata. Dopiero teraz Polska Ludowa pozwoliła mi nadrobić naukę, kiedy jestem na emeryturze. Przychodzę tu i będę przychodził, bo te wykłady bardzo mnie interesują. I czuję się taki odmłodzony.

Henryk Walkowski pracuje jeszcze zawodowo, a w ZG PTTK kieruje sekcją turystyki motorowej w całym kraju. Na uniwersytet zapisał się z... przezorności. Chce po prostu przygotować się do przejścia na emeryturę. Do korzystania z wolnego czasu, który nie powinien się dłużyć. Wspólnie z żoną chodził regularnie na wykłady i jak sam twierdzi bardzo dużo z nich skorzystali.

* * *

Początek dała Francja. W roku 1973 Pierre Vellas, profesor prawa międzynarodowego i doradca w sprawach socjalnych w ONZ i UNESCO założył pierwszą uczelnię dla ludzi starszych przy uniwersytecie w Tuluzie. Początkowo zgłosiło się zaledwie kilkadziesiąt osób, a po roku liczba studentów sięgała 1500. Oprócz normalnych zajęć kursowych zorganizowano dla seniorów specjalne zajęcia z dietetyki i wychowania fizycznego, a także koła zainteresowań, wczasy klimatyczne i wycieczki.

Francuski przykład okazał się zaraźliwy. Uczelnie europejskie i amerykańskie musiały otworzyć drzwi przed naporem słuchaczy w wieku od 60 do 90 lat. W Hiszpanii Państwowy Uniwersytet Zaoczny liczy sobie 10 procent słuchaczy powyżej 60 lat. W Szwecji 6 procent studentów seniorów nie stawia sobie za cel zdobycie dyplomu, ale poznanie określonej dziedziny wiedzy.

Ludzie starsi są aktywnymi studentami brytyjskiego Open University nauczającego przy pomocy telewizji. Słuchacze otrzymują za kaucją podręczne zestawy laboratoryjne z dokładną instrukcją do wykonania ćwiczeń np. chemicznych lub fizycznych oraz podręczniki, które po wykorzystaniu zwracają uczelni.

Popularne jest nauczanie przez telewizję w Związku Radzieckim i w Kanadzie. U nas mamy spore doświadczenia w telewizyjno-radiowym uniwersytecie dla nauczycieli (tzw. NURT). Nie popularyzujemy jeszcze tej formy w kształceniu ludzi starszych.

W Polsce pierwszy uniwersytet III wieku powstał w Warszawie w 1975 roku pod kierunkiem prof. Haliny Szwarcowej. Potem przybyły w Krakowie, Wrocławiu i innych miastach. Łódzki jest ósmym w kraju i jednym ze stu, które działają w 12 państwach świata.

* * *

Antoni Binasiak, sekretarz ŁRZZ, członek Rady Naukowej Uniwersytetu na pytanie o powstaniu łódzkiej placówki rzuca dwa słowa: entuzjazm i upór. I już wiadomo co się za tym kryje. Helena Kretzowa, która spędziła kilka lat we Francji i dobrze poznała tamtejsze uczelnie seniorów, emerytka nie będąca we władzach żadnej organizacji społecznej, po prostu łodzianka, zaraziła tym pomysłem innych. Pomysł chwycił. Patronat nad Uniwersytetem objęła ŁRZZ, która też finansuje całe przedsięwzięcie. Do współorganizatorów zaś należą: Wojewódzki Ośrodek Geriatryczny, Wojewódzki Ośrodek Opiekuna Społecznego i Międzyzwiązkowy Ośrodek Szkolenia Związkowego. Powstały rady organizacyjna i naukowa złożone z kilkunastu osób.

Wiosną do organizacji społecznych, instytucji i związków zawodowych rozesłano informacje o nowej uczelni i karty zgłoszeń. Dyrektor Zakładowego Domu Kultury ZPW „Lodex" udzielił uczelni gościny. Pozyskano wykładowców z Uniwersytetu Łódzkiego, znanych lekarzy i prawników. Dbając o wysoki poziom zajęć, starają się oni zachować popularną formę wykładu.

W nowym roku akademickim rozpoczną się zajęcia rekreacyjne na które zapisało się już 100 osób.

Nie koniec na tym. Antoni Binasiak roztacza plany: będziemy organizować wycieczki, wspólne wyprawy do muzeów i teatrów, na wystawy i spektakle, pokazując jednocześnie kulisy tych instytucji. Planujemy powołać samorząd studencki, aby dać słuchaczom większą szansę decydowania o sprawach uczelni. W programie zajęć znajdą się następujące cykle: humanistyczny, biologiczno-medyczny i społeczno-prawny. A wśród tematów wykładów uwzględnimy m. in.: „Jak żyć", „Sztuka wypoczynku", „Teoria ewolucji", „Fizjologia człowieka", „Prawo jako wyraz ładu społecznego". Program trzeba ułożyć tak, aby był interesujący i dla inżyniera, i dla gospodyni domowej.

Plan musi być elastyczny. Życie przynosi bowiem nieoczekiwane niespodzianki. Okazało się np. po występach kabaretu „Bi — Ba — Bo", (w którym najmłodszy aktor — amator liczy

sobie 60, a najstarszy 80 lat), że wiele osób zajmowało się kiedyś amatorską twórczością artystyczną. Próbowało swych sił w malarstwie, muzykowaniu, poezji. Na emeryturze będą mieli nareszcie na te hobby trochę czasu. Powołano więc sekcję zainteresowań. W literackiej zajęcia prowadzi dr Anna Sztaudynger-Kaliszewiczowa, gorąca propagatorka idei Uniwersytetu III wieku, w prawnej mec. Krystyna Bielawska-Jackowska. Są chętni do pracy jako kuratorzy sądowi.

* * *

Uniwersytet i kabaret 70-latków? Czy to nie przesada? Najlepiej zasięgnąć opinii u doc. dr Kingi Wiśniewskiej-Roszkowskiej, jedynego w Łodzi doktora habilitowanego w dziedzinie geriatrii, autorki poczytnych książek popularnonaukowych.

— Zwykło się mawiać o emeryturze jako o zasłużonym odpoczynku. Doc. Kinga Roszkowska uważa, że jest to fatalne określenie. Czyż można wyobrazić sobie człowieka nieustannie odpoczywającego? Aktywność i wysiłek są przecież dla organizmu niezbędne. Praca zawodowa, nawet taka która nuży, wymaga jednak pewnego wkładu sił i dyscypliny. Przejście na emeryturę oznacza w wielu wypadkach bezczynność. Uniwersytet III wieku wypowiada walkę rozleniwieniu umysłu. Wysiłek intelektualny (praca mózgu) gimnastykuje korę mózgową, zapewnia większą sprawność umysłową, rozszerza tętnice, zwiększa dopływ krwi do mózgu, a zatem wpływa na lepszy stan zdrowia całego organizmu.

Można by przytoczyć wiele przykładów słynnych pisarzy, naukowców i artystów, którzy „gimnastykując umysł" całe życie zachowali go sprawnym do późnej starości.

Uniwersytet III wieku powinien przekonać słuchaczy, iż starość ma wiele zalet. Po 80-tce też można nadać życiu głęboki sens. Starsi dysponują przecież bezcennymi skarbami, jak doświadczenie, perfekcja zawodowa wiedza. W dobrze pojętym interesie społecznym bogactwa te nie powinny się zmarnować. Doc. Roszkowska nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

* * *

W 1970 roku w Polsce mieszkało 2 736 tys. osób powyżej 65 roku życia. Stanowili oni 8,3 proc. ogółu ludności. W 1974 ludzi takich było już 9,4 proc., a w roku 1977 — mieliśmy 2 147,1 tys. obywateli, którzy przekroczyli 70 rok życia. Według przewidywań w roku 1980 liczba osób powyżej 65 roku życia wyniesie 3 594 tys., czyli podobnie jak w innych krajach Europy i Ameryki Płn. — ok. 10 proc. obywateli.

Czyż więc problem starości nie jest jednym z najpoważniejszych problemów społecznych naszych czasów? W lipcu ub. roku obradowało w Warszawie II seminarium rektorów z krajów, które podpisały końcowy akt Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Jeden z tematów obrad dotyczył roli uniwersytetów III wieku we współczesnym społeczeństwie. Uczestnicy konferencji postanowili, założyć międzynarodowy bank programowy ułatwiający współpracę oraz wprowadzić lub poszerzyć zajęcia dla służb socjalnych.

Podjęto też rezolucję podkreślającą potrzebę i zachęcającą do prowadzenia badań naukowych nad starzeniem się ludności w różnorodnym, szerokim aspekcie.

O potrzebach 70—80-latków wiemy przecież tak niewiele. Majowy numer „Forum" przyniósł na przykład informację o ucieczce z domu starców we Włoszech pary zakochanych w sobie staruszków, którym kierownictwo domu zabroniło się spotykać. Nie był to jedyny tego typu wypadek, mimo iż konserwatywna opinia publiczna nie szczędzi uciekinierom słów oburzenia.

„Zazwyczaj nie przyjmujemy do wiadomości — pisze mediolański psycholog i psychiatra prof. A. Modera — iż intelekt ludzki zachowuje mimo upływu wieku wewnętrzną świeżość, gotowość do radości na doznania uczuć i zmysłów. Od czasu do czasu jakieś pary ludzi usiłują nam te prawdy objawić".

Czyżby 40-latkom (nie tylko we Włoszech) trudno było się pogodzić z postaciami 70-letnich studentów **i to w** dodatku studentów zakochanych?

NIE TYLKO HISTORIA

PORA W ZAJEŹDZIE STANĄĆ...

Podróżowanie w pierwszej połowie XIX wieku odbywało się w warunkach krańcowo różnych od dzisiejszych. Nie było wtedy jeszcze kolei żelaznych. Dyliżans pocztowy, a najczęściej własny powóz były jedynymi środkami poruszania się po ówczesnych drogach.

Wojaże po wyboistych traktach stanowiły dla podróżujących duże utrudzenie. Dla ich wygody w miastach, miasteczkach i przy ważniejszych szlakach komunikacyjnych powstawały zajazdy, w których to zmęczeni podróżni mogli wypocząć, posilić się, a nawet zanocować.

Domy zajezdne budowano początkowo z drzewa, później zaś z cegły. Oprócz właściwej części karczemnej posiadały one stajnie z wozownią, w której podróżujący mogli umieścić swe konie, powozy, czy też ładowne wozy kupieckie. Wewnętrzne wyposażenie zajazdu składało się zwykle z najbardziej prostych sprzętów: stołów, ław i stolików. Również wyposażenie izb noclegowych było bardzo ubogie. Przeważnie ograniczało się ono do szerokich ław służących do spania, na których rozpościerano słomę. Nieco lepiej urządzone były zajazdy w większych miastach.

Pierwszy zajazd w Łodzi powstał pod koniec XVIII wieku. Wystawiły go władze pruskie w północno-wschodnim narożu Starego Rynku, u wylotu ul. Kościelnej. Usytuowanie zajazdu we wspomnianym miejscu miało uzasadnienie w fakcie, że trakt prowadzący do Zgierza i Łęczycy w tym czasie przebiegał ul. Kościelną. Dopiero na początku lat dwudziestych XIX wieku trasę traktu łęczyckiego skierowano w nowo powstałą ul. Zgierską.

Zajazd rządowy zbudowany był z drzewa i kryty gontem. Od rynku mieścił on izbę karczemną z sienią, izdebką i komorą. Z tyłu — od strony kościoła — znajdowała się druga izdebka dla gości, stajnia przylegająca jednym bokiem do ul. Kościelnej oraz podwórze i ogród, otoczone parkanem z żerdzi. W zajeździe łódzkim w dni świąteczne „w czasie pozwolonym od kościoła Bożego" przygrywała muzyka. Dom zajezdny spełniał także rolę sklepiku, gdyż nabyć tu można było śledzie, sól, świece i inne artykuły codziennego spożycia.

Zajazd przy Starym Rynku przetrwał do 1838 roku, kiedy to z powodu grożącego zawalenia na polecenie władz został rozebrany. Urząd municypalny zalecił, ażeby plac po zburzonym zajeździe zabudowany został „co rychlej" domem murowanym o piętrze. Nastąpiło to wszakże dopiero w 1845 roku, kiedy to zamożny Niemiec, August Dresler, wystawił tu piętrowy, murowany dom zajezdny, zwany później Hotelem Krakowskim. Składał się on z szynkowni, dwóch pokoi obok, pięciu gościnnych pokoi dla przyjezdnych na piętrze i dwóch stajni.

W trudnym do ustalenia czasie — przypuszczalnie na początku lat czterdziestych zeszłego stulecia — powstał dom zajezdny przy placu Kościelnym u wylotu ul. Łagiewnickiej. Przed powstaniem styczniowym należał on do wdowy Stachlewskiej. Był to drewniany, parterowy budynek z murowaną stajnią i wozownią. Nasuwa się przypuszczenie, że właśnie w tym zajeździe w styczniu 1844 roku odbyły się pierwsze w Łodzi przedstawienia zawodowego teatru pod dyrekcją Ignacego Marzantowicza.

W 1824 roku jeden z pierwszych mieszkańców osady sukienniczej w Łodzi, Jan Adamowski, wystawił pierwszy budynek na Nowym Rynku (dziś plac Wolności) na prawym narożniku ul. Nowomiejskiej z przeznaczeniem na zajazd. Dom był drewniany, parterowy, niezbyt okazały, przydatny jednak dla podróżnych. W zajeździe tym przez pewien czas odbywali swe zebrania członkowie Towarzystwa Strzeleckiego. W kilka lat później dom zajezdny na Nowym Rynku Adamowski odstąpił Julii Hencz. Prowadzili go kolejno jej mężowie: Jan Nejman, Wilhelm Borman i wreszcie spadkobiercy Nejmana. Zajazd rozebrano na początku drugiej połowy XIX wieku. Na opróżnionym placu zamierzano wznieść świątynię katolicką, ale nigdy tego nie uskuteczniono.

Wspomniany Adamowski, otrzymawszy od miasta trzy parcele przy ul. Piotrkowskiej (dziś nr 175), wystawił na nich w 1829 roku murowany, parterowy, kryty dachówką budynek zajezdny, wyposażony w dużą salę, przeznaczoną na zabawy i przyjęcia. Zajazd oprócz traktierni i pokoi gościnnych posiadał także przestronne stajnie i wozownie. Znajdowała się tu również kuźnia, w której nie tylko można było podkuć konie, ale i naprawić uszkodzone pojazdy. Chyba dlatego okoliczna szlachta, podróżująca przeważnie własnymi powozami, chętnie zajeżdżała tu na kwatery. Na tyłach zajazdu Adamowski urządził ogród spacerowy, sięgający do ul. Wólczańskiej. Rosły w nim piękne drzewa, resztki lasu przy trakcie piotrkowskim.

Zajazd wzniesiony przez Adamowskiego, zwany „Paradyzem", czyli rajem, przetrwał wiele dziesiątków lat. Wielokrotnie też zmieniał właściciela. Od Adamowskiego przeszedł w 1834 roku w posiadanie wdowy Henrietty Hentschel, później prowadził go Michał Kunkel, a z kolei (od 1861 roku) — August Hentschel i inni. Zajazd ten odegrał dużą rolę w życiu kulturalnym miasta. W bezpośrednim sąsiedztwie ratusza, na działce stanowiącej własność sukiennika Samuela Radke, stanął w 1833 roku drewniany dom parterowy o pięciu izbach ze sklepem, w którym znalazł pomieszczenie zajazd Marka Kwiczoła. Później przejął go Brune, zięć Kwiczoła. W latach następnych zajazd należał do Jakobiego i wreszcie — do Antoniego Engla.

Engel rozebrał drewniany zajazd i na jego miejscu wystawił w 1853 roku murowany, jednopiętrowy dom zajezdny. Właściciel nadał mu nazwę „Hotel de Pologne" (Hotel Polski), co świadczyło o jego przywiązaniu do polskości. Projekt budynku sporządził Karol Mertsching, urzędowy budowniczy powiatu łęczyckiego.

Był to na owe czasy najokazalszy zajazd w Łodzi. Sklepiona brama wiodła w głąb posesji, gdzie znajdowała się stajnia i wozownia. Budynek posiadał dwoje drzwi sklepowych: jedne prowadziły do restauracji, drugie do „bawarii" (piwiarni). W pomieszczeniach zajazdu Engla przebywali w czasie swego pobytu w Łodzi uczestnicy powstania styczniowego, emisariusze Rządu Narodowego: Robert Skowroński, Edmund Callier, Józef Dworzaczek, Józef Sawicki, Franciszek Parczewski. Z restauracji zajazdu dostarczano pożywienie więzionym w piwnicach ratusza powstańcom.

W południowej części miasta, przy Górnym Rynku (dziś plac Reymonta) prosperowały dwa zajazdy: wcześniejszy, z 1829 roku, w drewnianym budynku Józefa Langera i późniejszy w murowanym domu Adama Fiszera. W 1860 roku Łódź posiadała ogółem osiem zajazdów, w tym dwa typu hotelowego, to znaczy posiadające większą liczbę pokoi gościnnych. Wszystkie zajazdy rozmieszczone były wzdłuż traktu łęczycko-piotrkowskiego, bądź w bezpośredniej jego bliskości.

Rozwój kolejnictwa w drugiej połowie XIX wieku i wynikające stąd skrócenie komunikacji konnej spowodowały stopniowe ograniczenie roli zajazdów. Znaczna ich liczba uległa z czasem całkowitej likwidacji, inne zaś przeobraziły się w zwykłe karczmy przydrożne.

W Łodzi, która w 1866 roku otrzymała bezpośrednie połączenie kolejowe z resztą kraju, dalsze istnienie zajazdów w dotychczasowej ich postaci nie miało już racji bytu. Wprawdzie miasto coraz liczniej nawiedzali podróżni, zwłaszcza kupcy, ale przyjeżdżali tu oni głównie pociągami i szukali dla siebie pomieszczeń typu hotelowego. Warunek ten spełniały jedynie domy zajezdne Engla i Dreslera, występujące już w tym czasie jako hotele: Polski i Krakowski. Inne zajazdy na terenie miasta nie nadawały się z różnych względów na pomieszczenia hotelowe, stąd też uległy likwidacji; opróżnione lokale przeznaczono na magazyny i sklepy różnych branż. Taki los spotkał np. słynny zajazd „Paradyz".

Dzisiaj po starych zajazdach łódzkich nie pozostał żaden ślad. Istniejący jeszcze do niedawna budynek „Paradyzu" wyburzono w ubiegłym roku jako ruderę. Pewne wyobrażenie o wyglądzie dziewiętnastowiecznego zajazdu dać nam może jeszcze zachowany dotąd budynek zajezdny w Zgierzu, położony w samym centrum Starego Miasta (plac Armii Czerwonej nr 3).

WACŁAW PAWLAK

MARIA KORNATOWSKA

BIEDNE KINO, ZŁA TELEWIZJA I DOBRA WRÓŻKA HOLLYWOOD

Mnożą się niczym grzyby po deszczu festiwale, przeglądy, retrospektywy. Obradują kongresy, sympozja, konferencje naukowe i okrągłe stoły. Celebruje się, czci, prowadzi uczone dysputy. Ruch w interesie ogromny. Powstają coraz to nowe stosowne instytucje, rozwijają się dynamicznie rozmaite imprezy. Twórcy, krytycy i uczeni w filmoznawstwie kruszą zajadle kopie w imię podniosłych ideałów i niezłomnych zasad. A sale kinowe świecą pustkami. W całej Europie. W Polsce zresztą także.

Owa wspaniała fasada uroczystości, rytuałów i pokazów specjalnych żyje własnym życiem, a poza nią rozpościera się próżnia. Zamyka się kina. Badacze współczesnej kultury dowodzą, iż aktualny kryzys bierze się zasadniczo z dwóch przyczyn: z konkurencji telewizji i spektakularności, dramatyczności poniekąd otaczającego nas świata.

Życie współczesne dostarcza przeciętnemu zjadaczowi chleba mnóstwa niecodziennych i różnorodnej natury atrakcji, jako to katastrofy ekologiczne, klęski żywiołowe, przewroty, porwania, zamachy terrorystyczne itd. Rzeczywistość naładowana jest wydarzeniami. Obecność wszędobylskich fotoreporterów i kamer telewizyjnych przeobraża każde wydarzenie w widowisko, w spektakl: mistrzostwa świata w piłce nożnej, pierwszy krok człowieka na Księżycu, podróż papieża, spotkanie na najwyższym szczeblu Breżniew — Carter itd. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać o fascynującej sile tego rodzaju widowisk. Pozwalają one widzowi współuczestniczyć w stawaniu się historii. Pośrednictwo telewizji w przekazywaniu dramaturgii współczesnego świata jest szalenie istotne. Jeden z francuskich socjologów powiedział nawet, iż to, co nie zostało „zobaczone" przez telewizję — nie istnieje. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, w jakim stopniu ich wiedza o tym, „co się dzieje", hierarchia i sens wydarzeń zostały zdeterminowane przez telewizję.

Z drugiej zaś strony telewizja ukazuje nie tylko „przeżutą i przetrawioną" przez siebie rzeczywistość, ale i zalewa nas strumieniem fikcji, emitując nieustannie seriale i filmy. Seriale stanowią zjawisko samo w sobie. Ich produkcja wzrasta nieustannie. W 1976 roku telewizja USA nadawała 460 seriali tygodniowo. Jeszcze nie tak dawno nadawano je w godzinach przedpołudniowych — głównie dla nudzących się pań domu. Obecnie zajmują „godziny szczytu" programowego. Nawyk oglądania kolejnych odcinków stał się chorobliwą obsesją, swoistym narkotykiem mieszkańców naszego globu. Nawet najgorsze seriale mają większą publiczność niż najświetniejsze dzieła sztuki. Podczas emitowania seriali szczególnie popularnych ulice miast pustoszeją. Milkną telefony i rozmowy. Zamiera życie towarzyskie.

Serial — potomek w prostej linii powieści odcinkowej — zastępuje pewien typ literatury. I powoli wypiera literaturę z kręgu zainteresowań masowego odbiorcy. W upodobania widza trafiają niezawodnie dwie formuły: romans przygodowy i saga rodzinna. Rola i znaczenie seriali przekracza wszelkie wyobrażenia. Amerykański serial „Korzenie", na wielką skalę zakrojona opowieść o losach murzyńskiej rodziny — wywołał ogromne reperkusje. Stał się sensacją sezonu. Sprowokował dyskusję na temat stereotypów myślowych przeciętnego Amerykanina. Zbulwersował środowisko murzyńskie, stwarzając przeciwwagę dla dotychczasowej mitologii białej Ameryki, zalążek nowej świadomości historycznej. Prasa zachodnia uważa, iż oddźwięk wywołany przez słynny serial „Holocaust" — patetyczną opowieść o eksterminacji Żydów w Europie, miał wpływ na uchwalenie przez parlament zachodnioniemiecki ustawy o nieprzedawnieniu zbrodni hitlerowskich.

Telewizja wyświetla także filmy, konkurując skutecznie z siecią kin. Od 1 lipca 1975 roku do 30 czerwca 1976 roku państwowa telewizja włoska (RAI) nadała w swym programie 780 filmów. Prywatne włoskie stacje telewizyjne (a jest ich sporo) wyświetlają około 400 filmów tygodniowo, a są to albo przeboje minionych lat, albo dzieła najnowszej niemal produkcji, kradzione w tajemniczy sposób. Kto w takiej sytuacji ma ochotę chodzić do kina? Bilety są drogie, w wielu metropoliach Europy, choćby we Włoszech, ludzie boją się wieczorami wychodzić z domu. Wyświetlany na małym ekranie, nie zawsze doskonałych odbiorników, oglądany z przerwami, nieuważnie, pomiędzy jedzeniem, gaworzeniem dzieci i rozmaitymi czynnościami życia rodzinnego film traci swój estetyczny kształt i smak. Ginie magia obrazu, subtelne uroki plastyki i rytmu, poezja „filmowości", znaczenia niesione przez formę i styl. Pozostaje fabuła, przebieg akcji, w najlepszym przypadku gra aktorów. Film przemienia się w namiastkę ni to literatury, ni to teatru. W telewizji ogląda się tylko i wyłącznie treść — sztuka filmowa traci jakiekolwiek znaczenie.

Kryzys atakujący czołowe kinematografie europejskie: angielską, francuską, włoską, ma całkiem groźne oblicze. Brak publiczności odbija się w sposób katastrofalny na charakterze i poziomie produkcji. Z kolei, obniżenie poziomu produkcji jeszcze bardziej zniechęca publiczność do kina. Powstaje błędne koło.

Jedynie w filmie hiszpańskim coś się dzieje. Hiszpanie, po czterdziestu latach milczenia, mogą wreszcie mówić to, co myślą, wyrzucić z siebie to wszystko, co było dotąd tłumione. Kino hiszpańskie karmi się fermentem polityczno-społecznym. Anglicy nie robią nic ciekawego. Francuzi powielają niestrudzenie gładką konfekcję, która nikogo już nie bawi, nie wzrusza i nie skandalizuje. Włosi wyspecjalizowali się w specyficznej brutalności i świntuszących komediach, których nikt poza nimi nie ma ochoty oglądać. Tylko od czasu do czasu powstają tu dzieła wybitne i znaczące: „We władzy ojca" braci Taviani, „Drzewo na saboty" Olmiego, „Próba orkiestry" Felliniego, „Chrystus zatrzymał się w Eboli" Rossiego. Dzieła przeznaczone dla bywalców festiwali, koneserów, smakoszy, wieńczone laurami i ignorowane przez widownię. Żeby było zabawniej dodajmy, że hojnym mecenasem produkującym owe filmy z góry skazane na klapę finansową jest właśnie RAI. Prywatni producenci unikają niepewnych interesów.

Od czasu do czasu któraś z europejskich znakomitości: Bergman, Fellini, Buneul — tworzy kolejne, mniejsze lub większe arcydzieło. Jest już co pokazywać na festiwalach oraz specjalnych przeglądach. Ale ogólnie rzecz biorąc, kino autorskie zdaje się tracić grunt pod nogami. Wielu znakomitych reżyserów milczy, na przykład Antonioni. Nie widać nowych nazwisk, nowych indywidualności. Wielu ciekawie zapowiadających się twórców zrezygnowało ze szczytnych, lecz mało popłatnych ambicji i wybrało kino komercjalne. Rokujące nadzieje małe kinematografie — choćby szwajcarska — nie spełniły owych nadziei, utykając w marazmie i zniechęceniu.

Pasje młodych ludzi schyłku lat 60 stworzyły klimat i odbiorców dla rozwoju kina niezależnego, kina fermentu i niepokoju, bardzo osobistego myślowo i formalnie. Gorączka idei ustąpiła z czasem miejsca „gorączce sobotniej nocy", pokolenie kontestacji — pokoleniu „disco". Idolem młodych ludzi schyłku lat siedemdziesiątych, na krótko wprawdzie — ale mody przemijają dziś z zawrotną prędkością — został więc tancerz niezrównany, król dyskotek, John Travolta. Jak twierdzą uczeni mężowie, pokolenie „disco" przedkłada perfekcjonizm nad idee.

Od 1965 roku odbywa się w Pesaro, włoskiej mieścinie, położonej nad Adriatykiem, nie opodal Rimini, uwiecznionego w historii sztuki filmowej jako miejsce urodzin Federica Felliniego, miejsce, do którego w swoich filmach nieustannie powraca i nie tak znów daleko od pamiętnego z prawdziwej historii (a także i z „Rzymu" Felliniego) Rubikonu — festiwal nowego kina, impreza o dużych aspiracjach politycznych i kulturalnych.

Przyjeżdżał tutaj ongiś prorok nowego kina i filmowych kontestatorów lat 60, Jean Luc Godard ze swoimi uczniami. W 1967 roku Pier Paolo Pasolini wygłosił tu swój słynny referat o kinie poetyckim. Do miejscowej legendy przeszła już opowieść, jak to Bernardo Bertolucci, późniejszy autor „Ostatniego tanga w Paryżu" i „Wieku dwudziestego", chodził w asyście pesaryjskich robotników, którzy pilnowali artysty przed ewentualnym napadem faszystów. Festiwal w Pesaro ma charakter zdecydowanie lewicowy i oczywiście antykomercjalny. Nie ma tu nagród, gwiazd, rautów i koktajli. Miast życia światowego, są dyskusje, spotkania o charakterze roboczo-badawczym, wsparte starannie opracowaną dokumentacją.

Pesaro lansowało zawsze nowe, mało znane zjawiska na mapie światowego kina: produkcje niezależne, kinematografie Trzeciego Świata, interesujące indywidualności. A tu nagle, w 1979 roku, nastąpił zwrot o 180 stopni. Okazało się, że nowe kino jakby generalnie zawiodło i trzeba wrócić do źródeł i do macierzy, do stolicy mitów, stereotypów i wszelakiej komercji, czyli innymi słowy do Hollywood. Piętnasty z rzędu festiwal, ku ogólnemu zaskoczeniu odbył się tedy pod hasłem „Hollywood 1969—79".

Obejrzeliśmy około 80 filmów, których większość wyświetlano w Polsce. Podczas obrad sympozjum towarzyszącego festiwalowym projekcjom zastanawiano się długo i mozolnie nad „tajemnicą" amerykańskiego kina, które, jak wynika ze znaków na ziemi i nieba, całkiem skutecznie opiera się kryzysowi, nie traci siły oddziaływania na publiczność, manipulowania jej doznaniami i emocjami. Dane statystyczne wskazują, iż publiczność europejska woli filmy amerykańskie od rodzimych i one jedne dzielnie wytrzymują konkurencję telewizji.

Krytyka — dziedzina, w której niczym w soczewce skupiają się wszystkie ułomności ludzkiej natury — — lubi często z jednej skrajności popadać w drugą. Jeszcze nie tak dawno Hollywood stanowił ulubiony cel ataków lewicowej krytyki

„Niebieskie kołnierzyki" Paul Schrader 1978 r.

włoskiej. Teraz, nawet na łamach „Unity" czytamy w podniośle sformułowanych zwrotach zachwyty na temat „kina nad kinami", sztuki filmowej przez duże „S" i tak dalej. Zasługą Hollywood jest, jak stwierdzono, zdolność tworzenia masowej wyobraźni, wyobraźni, mitotwórczej. Potępiane dotąd i kwestionowane stereotypy i schematy fabularne, posiadają ogromny ładunek emocji. Nieoczekiwany sukces „Rocky'ego" dowodzi, iż owe stereotypy nieomylnie trafiają w najgłębsze potrzeby uczuciowo-duchowe widowni. Hollywood posiadło instynktowną znajomość „duszy" publiczności.

Hollywood lat 70-tych wchłonęło z jednej strony doświadczenia amerykańskich „niezależnych", z drugiej zaś to, co najlepsze z europejskich „nowych fal". Zlikwidowano system gwiazd wprowadzając aktorów — osobowości. Pozwolono działać reżyserom — kondotierom, nie mieszczącym się w ustalonych ramach, ale za to dynamicznym, pełnym inwencji, ciągle poszukującym i gotowym na każde ryzyko i każdą, byle fascynującą, przygodę. reżyserom typu Altmana lub Coppoli. Ich burzliwa działalność wstrząsa posadami Hollywood, tworząc zarazem wokół kina aurę legendy i publicity. Realizacja „Apokalipsy" Coppoli była wydarzeniem równie pasjonującym, co sam film, któremu canneńskie jury, nie bacząc na brak czołówki i kilka wersji zakończenia, przyznało najwyższe laury. Wytarte zdawałoby się formułki nabrały życia i blasku przyodziane w szatki nowych realiów, rzucone w codzienność, zwyczajność, opowiadane i mówione potocznym językiem (np. wspomniany „Rocky"). Film zyskał fakturę rzeczywistości. Od Europejczyków wzięto m. in. umiejętność odejścia od dosłowności. Film amerykański nabrał oddechu metafory, paraboli, nie zaprzepaszczając nic ze swej dynamiki, rytmu, nie popadając w tak częsty we Włoszech lub Francji, malarsko-literacki estetyzm.

Nade wszystko jednak Hollywood odnowiło repertuar swych treści, sięgając po aktualne tematy społeczne i polityczne. Powstało sporo filmów o konsekwencjach moralnych wojny wietnamskiej (np. „Powrót do domu" Ashby'ego), o sprawie kobiecej (np. „Norma Rae" Martina Ritta), o zjawiskach mafijności w związkach zawodowych („Niebieskie kołnierzyki" Paula Schradera) o skomplikowanych problemach obyczajowo-psychologicznych. Wprowadzono różnorodność formuł dramaturgicznych, stylów i postyk. Porównajmy choćby „Julię" Zinnemanna, „Nashville" „Wesele", „Trzy kobiety" Altmana, „Kobietę pod presją" i „Premierę" Cassavetesa. Awangardowość formy wprzęgnięta została w służbę „poszerzenia" i wzbogacenia treści, odkrywania prawd niezupełnie jasnych i oczywistych, nie dających się jednoznacznie ująć i wyrazić.

„Tajemnica" Hollywood posiada, jak widzimy, niejeden klucz. Obok reanimacji dawnych formuł — eksperymenty. Obok tradycyjnych, ciągle żywotnych gatunków — nowe poszukiwania. Obok realizmu — nawrót do odwiecznych mitów. Obok prostoty — rozbuchanie widowiskowości, szokowanie magią obrazu, kinowością, rozpalanie imaginacji, baśniowość niemal. W owej widowiskowej feeryczności decydującą rolę odgrywa technologia. „Wojny gwiezdne", „Bliskie spotkania trzeciego stopnia", „Superman", doskonale łączą w sobie baśniową naiwność z najwyższej miary perfekcją technologiczną. Krytycy włoscy skłonni są upatrywać w owym kulcie technologii jeden z głównych atutów Hollywood w walce z telewizją. Potrzeba widowiskowości tkwi w naturze współczesnego człowieka. Doskonałość technologiczna, precyzja wykonania budzi szacunek. Moda na wielki spektakl, hipnotyzowanie widza wspaniałością obrazów, byłoby także reakcją na telewizyjny film ubogi, na monotonię i szarzyznę, na nijakość strumienia obrazów, lejących się z telewizyjnych odbiorników.

W tym kontekście nowych znaczeń nabiera fakt sięgania przez kino do własnej przeszłości, przetwarzania kreowanych przez siebie motywów. Sztuczna rzeczywistość, jaką pokazał Scorsese w filmie „New York, New York" jest spektaklem do drugiej potęgi, jest mityczną krainą, znaną nam z niegdysiejszych musicali z Gene Kellym lub Fredrem Astairem. Wzruszenia, jakie w nas, tych, którzy kochają stare dobre kino, budzi „Nickelodeon" „Papierowy księżyc", „New York, New York", płyną z poczucia autentyczności istnienia owego świata, zrodzonego z wyobraźni hollywodzkich majstrów. Kino amerykańskie tworzy już nie tylko mitologię na użytek mas, lecz ku własnej chwale, wiedząc, że na tym polu, przynajmniej na razie, telewizja nie może mu sprostać.

OBYCZAJE

ZBIGNIEW S. NOWAK

GANGSTER

— **Halt! Halt!** — ostry krzyk zabrzmiał niby wystrzał w rozległym hallu dworcowym berlińskiego Ostbanhoff. Zawtórowało mu nagłym echem staccato wybijane obcasami o posadzkę przez biegnącego środkiem hallu młodego mężczyznę; za nim ciężki tupot policji kolejowej.

Tłum zgromadzonych w hallu pasażerów rozprysnął się na boki. Ścigany, wykorzystując powstały szpaler, przyśpieszył ostro. Ale biegnący za nim dwaj funkcjonariusze okazali się szybsi. Dopadli go tuż przy wyjściu na perony.

Jeden z policjantów wyrzucił gwałtownie rękę do przodu, chwycił uciekającego za kurtkę, szarpnął mocno. Cienka tkanina nylonowej, pikowanej „szwedki" pękła z trzaskiem i na posadzkę posypał się barwny rój markowych banknotów! Policjant osłupiał.

Ścigany wykorzystał ten moment zaskoczenia, jednym ruchem zerwał z siebie kurtkę, skoczył w bok. Drugi z policjantów szeroko rozłożył ręce, zastawiając mu drogę. Mężczyzna zawahał się jakby, ale tylko na ułamek sekundy. Potem nagły półobrót, klamra oburącz, dźwignia i... masywny policjant pofrunął wyrwany w powietrze klasycznym „barkowym", taranując drugiego funkcjonariusza! Głuchy łomot walących się ciał przemieszał się z histerycznym piskiem kobiet. Tłum dworcowy zamarł w bezruchu...

Droga była wolna. Uciekinier rzucił się do wyjścia. W tej samej jednak chwili gdzieś z boku wystrzelił bury pocisk. Błysnęły żółtawo ogromne kły, zajarzyły się wilcze ślepia. Mężczyzna obronnym ruchem ramion osłonił głowę, szarpnął się w tył, próbując umknąć jakoś przed niespodziewanym atakiem wilczura. Daremnie! Pies w mgnieniu oka przydusił go do ziemi, chwycił za krtań, zwarł szczęki.

W hallu zawisła martwa cisza. Tylko stojący na uboczu ślepiec, któremu pies-przewodnik tak nagle zerwał się ze smyczy, zawodził starczym, bezradnym dyszkantem:

— **Bari! Bari... komm hier!**

Wilczur ani drgnął. Trzymał powalonego mężczyznę, powarkując groźnie. Dopiero kiedy dwaj policjanci, pozbierawszy się wreszcie z posadzki, doskoczyli do zbiega, gdy trzasnęły metalicznie stalowe „bransoletki", uspokojony już pies odszedł do swojego pana.

— **Was ist los?** — padło skądś nieśmiałe pytanie.

Policjanci tylko wzruszyli ramionami. Potem, mocno trzymając mężczyznę pod ręce, ruszyli w drugi koniec hallu, gdzie tymczasem zaroiło się od mundurów. Po chwili wszyscy zniknęli za drzwiami dworcowego komisariatu. Spiker akurat ogłaszał przez megafony: — **Schnellzug nach Leipzig ist....**

Na drugi dzień berlińskie popołudniówki krzyczały wielkimi tytułami: **„Król przemytu aresztowany!", „Supergang w potrzasku!", „Gangster za krat kami!", „Koniec przestępczej kariery!"**. Tak, to był koniec...

Życiorys

Zygmunt G. urodził się 24 kwietnia 1952 r., jako nieślubne dziecko łódzkiej prostytutki Kaliny i pewnego amerykańskiego szofera, pracownika przedstawicielstwa handlowego USA, mieszczącego się czasowo w Łodzi. Amerykanin, który wyjechał za ocean jeszcze przed narodzinami syna, próbował później ściągnąć do Baltimore swoją przelotną miłość i jej owoc. Ale Kalina wolała zostać w kraju, zadowalając się w pełni wysokimi dewizowymi alimentami, które pozwalały jej żyć tu na wysokiej stopie.

Chłopak wychowywał się bez ojca, a i Kalina, która zamieniła wkrótce „czwartą zmianę" na mały sklepik z galanterią, nie mogła poświęcić dzieciakowi zbyt wiele czasu. Zygmuś wyrastał więc na tęgiego łobuza, już w szkole podstawowej zyskując stosowny przydomek „Gangster".

Szkoły średnie musiał zmieniać kilkakrotnie, z powodu zbyt popędliwego charakteru. Przyhamował dopiero w technikum samochodowym, gdzie trafił na godnego kompana. Poldek, dyrektorski syn wziął Gangstera na ambicję, tłumacząc mu, że uliczny sposób bycia jest może dobry dla ostatnich lumpów, ale nie dla forsiastej elity.

Gangster któremu mocno imponowało Poldkowe towarzystwo, i czar nocnych lokali, oczywiście zmienił maniery. Został giermkiem i wiernym druhem niedowarzonego playboya, a Poldek uczył go „żyć na błysk". Niedługo to jednak trwało, bo Poldka posadzono niebawem za gwałt na nieletniej.

Gangster sam jakoś dociągnął do matury, a potem ostro wszedł w dorosłe życie. Trochę pracował u mamusi, trochę handlował walutą, a przede wszystkim uprawiał intensywne życie towarzyskie. Bardzo intensywne i bardzo też kosztowne. Sam elegancki „Taunus", którego otrzymał w prezencie za świadectwo dojrzałości, do tego nie wystarczał; potrzebny był jeszcze gruby szmal. A mamusia, wykosztowawszy się mocno na zbytkowny wózek, zrobiła się oszczędniejsza.

Gangster musiał sam zadbać o swoją kieszeń. Wybrał sposób najłatwiejszy i, jak mu się wydawało, najbardziej intratny — zagraniczną komiwojażerkę. Zarabiał na tym nieźle; jakoś wystarczało na życie i drobne przyjemności. Ale bywając w szerokim świecie, złapał bardzo zaraźliwego bakcyla wielkiego biznesu.

Wielka spółka

Wielkie marzenia Gangstera miały się ziścić dość prędko, a zupełnym przypadkiem. Otóż pewnego dnia zabalował do późna w „Malinowej" gdzie właśnie wprowadzał w wielki świat swoją najnowszą dziewczynę, kiedy to zdarzył się wypadek, który przesądził o jego losach. Na tym samy dancingu znalazł się też niejaki Rudolf S., obywatel Zachodniego Berlina, w towarzystwie lokalnej „dewizówki". Niemiaszek przysnął przy stoliku, a wtedy jego „parka" obłuskała go dokładnie z waluty i prysnęła w niewiadomym kierunku.

Obudzony przez kelnera berlińczyk popadł w czarną rozpacz, kiedy okazało się, że nie tylko nie ma czym zapłacić rachunku, ale i na resztę zaplanowanego w Łodzi pobytu nie ma ani grosza. Z tej opresji wyratował go Gangster, który opłacił kelnerski kwit, wziął Niemca na kilka dni do siebie „na hotel", a nawet pożyczył mu nieco mamony na drogę powrotną. Honorny berlińczyk przyrzekł solennie,

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

NAD PROGRAMEM „SOPOTU 79"

Festiwal trwał w tym roku cztery dni, a złożyły się na jego całość dwa równolegle trwające konkursy: konkurs organizacji telewizyjnych i konkurs wytwórni fonograficznych. Przygotowywano go ponoć długo, ale i dosyć — jak mogłem się z bliska przekonać — skutecznie. Rady Artystyczne obydwu konkursów stanowiły równocześnie zestawy jurorskie. Wiadomo, że każdy ma prawo do własnego zdania, jednakowoż wydaje mi się, iż jurorzy w tym roku rozdzielili nagrody dosyć trafnie, chociaż zastanawiać może dublowanie nagród w konkursie wytwórni fonograficznych. Ale do tego jeszcze wrócimy.

Na razie przewracam w programie kolejne stronice z fotografiami poszczególnych wykonawców. Zaproszono ich w mniej więcej tej samej ilości, co w latach poprzednich, ale poziomem byli chyba jeszcze bardziej zróżnicowani i byłbym skłonny powiedzieć, że nie był on w sumie wysoki. Przynajmniej biorąc pod uwagę rangę samej imprezy. Taka — na przykład — Annia Linares z Kuby została zaproszona chyba przez pomyłkę. Jakaś nieznana twarz na fotografii — któż to? Aha, Marika Gombitowa: nie mogła przyjechać do nas z Czechosłowacji, bo się po prostu pochorowała. Dość przypadkowo zastąpiła ją Lenka Filipowa — no i proszę: nagroda dziennikarzy. O, jest Niemen, którego na tych łamach krytykowałem po festiwalu opolskim. Tym razem muszę wyrazić uznanie. Zdobycie przez tego artystę Grand Prix to jego ogromny sukces, który troszkę przesłania fakt, że praktycznie rzecz biorąc był on jedynym tej klasy zawodowcem wśród biorących udział w konkursie. Niemniej jednak to, co zaprezentował Czesław Niemen na scenie Opery Leśnej (z pomocą trójki instrumentalistów: Czaja, Dziemskiego, i Radziejewskiego) przypomniało mi jego z dawnych, dobrych lat. Utwór „Nim przyjdzie wiosna" skomponowany przez wokalistę do wiersza Jarosława Iwaszkiewicza to spore osiągnięcie twórcze: dojrzałość, precyzja, prostota. Nic z festiwalowego banału. Również druga piosenka tak samo skomponowana do wiersza („Pokój" Siergieja Michałkowa w tłumaczeniu Jana Brzechwy) była pozycją udaną. Patrzmy dalej. Rewia estradowa czyli Michael Hansen i trzy tancerki śpiewające pod wspólną firmą „Nancies" — mnie trochę rozczarowali, ale nagroda szefa Radiokomitetu pojechała do NRD. Kolejne niewypały: Gabriela Schaaf z Portugalii i Mirabella Dauer z Rumunii. Młody luxemburczyk — Art Sullivan reprezentował firmę płytową „Apollo Disques" z Belgii. Nie był rewelacją, ale potrafił bardzo ładnie zbudować właściwy nastrój śpiewając uroczą piosenkę „Monsieur Chopin". Notabene: „Tonpress" z okazji festiwalu sopockiego wydał singla Sullivanowi z tym utworem oraz z jego aktualnym przebojem „Fan fan fan" i zrobił mu nieco reklamy. A w ogóle nie wiedzieć czemu „Tonpress" nie był w tym roku reprezentowany w konkursie. Pytania do organizatorów podczas konferencji prasowej niczego w tej mierze nie wyjaśniły. Margarita Hranowa z Bułgarii („Balkanton") była jedną z dłużej oklaskiwanych laureatek. Nic dziwnego, wybrała sobie z polskich piosenek „Kolorowe jarmarki". Podobał się także publiczności reprezentant „EMI" z Finlandii — Greger, który podobnie jak zupełnie niezła (choć tam tuzinkowa) brytyjska grupa „Black Lace", otarł się o nagrodę publiczności. Ale — jak pamiętamy — kapitańską czapkę wręczono zgodnie z wolą ludu Niemenowi. Mocno reklamowana była Hiszpanka — Maruca, która występowała w dużych przyciemnionych okularach ze względu na bardzo słaby wzrok. Znakomicie śpiewała (co odnotowało jury) ciemnoskóra Patti Boulaaye występująca w barwach „Polydoru" z Wielkiej Brytanii. Poza interesującą interpretacją piosenek była ona jedną z bardziej uroczych kobiet na tym festiwalu. Podobnie Greczynka z „Polygramu" — Bessy, która przedstawiła ciekawą wersję polskiego przeboju „Ludzkie gadanie" Krajewskiego. Grand Prix du Disque, które przyznano Bessy, jest z pewnością największym sukcesem w karierze tej dwudziestoletniej piosenkarki. Wiele wskazuje na to, że jeszcze o niej usłyszymy, bo materiał głosowy istotnie wyróżniał ją na sopockiej estradzie. Niżej widzę podobiznę Gaby Lang (podobno Indonezyjki wychowanej w Stanach Zjednoczonych, a występującej i nagrywającej w Europie), która do Sopotu przyjechała wraz ze swoją panią manager. Może nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie taki drobiazg, że owa pani manager miała głowę dokładnie wygoloną. Wreszcie jest i Hanna Banaszak. Trafiła na ten festiwal dosyć niespodziewanie. Zaśpiewała dobrze po angielsku i fatalnie (dykcja, podziały) po polsku. Na domiar złego „specjalnie napisana na festiwal" — jak zaanonsował Jacek Bromski — piosenka Zbigniewa Górnego i Andrzeja Sobczaka była wyjątkowo nieudanym zlepkiem kilku wcześniejszych polskich utworów. Służę na życzenie nagraniami i tekstami dla porównania. Z tych powodów nieco zdziwiła mnie nagroda przyznana pani Hannie, którą „Wifon" reklamował rzetelnie i z rozsądkiem.

Jeszcze jedna kartka. I oto goście festiwalu. Na pierwszym miejscu Boney M. — zespół, który przyciągnął tłumy nie tylko na widownię, ale także w okoliczne lasy otaczające Operę Leśną. Nie będę się rozwodził — nawet telewidzowie i radiosłuchacze mogli się przekonać, że Boney M. to w pełni profesjonalny zespół, potrafiący rozgrzać publiczność. Drugą gwiazdą dużego międzynarodowego formatu, jaka przybyła do Sopotu (nie brakło zresztą żadnego z zaproszonych gości) był Demis Roussos; znamy wszyscy przeboje tego Greka stale zamieszkałego od paru lat we Francji. Podczas swej wizyty 33-letni piosenkarz odwiedził również festiwalowy Night Club działający każdej nocy w sopockim Grand Hotelu, a jego gospodarzem był jeden z weteranów rodzimej estrady — Jacek Nieżychowski. Mimo korzystnej różnicy wieku, stwierdzono, iż Roussos jest zdecydowanie bardziej otyły. Z najlepszej strony pokazała się w doborowym towarzystwie Grace Kennedy kapitalnie śpiewając kilkunastu utworów, podczas gdy kiedyś łódzka orkiestra Henryka Debicha (był w tym roku w Sopocie jurorem w konkursie wytwórni fonograficznych i konsultantem muzycznym) potrafiła przez dwa, trzy dni zagrać i sto partytur. Poza tym dyrektor Debich potrafił zawsze nawiązać kontakt z wykonawcą, zbliżyć go do orkiestry, a Górnemu niestety brakuje tej cechy. Zwyczajowo zaproszono do udziału jedną z orkiestr zagranicznych: w tym roku była to Orkiestra Taneczna Radia Berlin z NRD (a właściwie połączona sekcja smyczkowa i big-band) pod dyrekcją Guntera Gollascha. Nie wiem, jak to się dzieje, ale co roku orkiestra poznańska brzmi lepiej, pełniej od zagranicznej — czy to aby nie sprawa nagłośnienia? Fakt, że zespół Gollascha nie zawsze stroił, ale dysponował znakomitą sekcją blachy.

Piosenkarzom akompaniowały także, z pozytywnym skutkiem dwa chórki: Grupa Wokalna S-26 PRiTV w Poznaniu i Grupa Wokalna „Cantus" z NRD.

Scenografia była w tym roku dziełem znowu tego samego duetu: Teresy Zygadlewicz i Jerzego Boducha. Nawiązywała zresztą do lat poprzednich, ale cała jej „świetlistość" była nieco stonowana przez co bardziej wyrazista. Już nie groziła oczopląsem. Dobrym pomysłem było zastosowanie tzw. red. boxów czyli ruchomych obrotowych elementów sceny przez co istniała możliwość urozmaicenia telewizyjnego obrazu.

Ale dalej — już tylko reklamy. Nie starczyło miejsca dla publiczności. Z własnej woli wystąpię więc tutaj jako jej reprezentant. Miałem — nie po raz pierwszy zresztą, jeśli czytelnicy pamiętają moje festiwalowe relacje z lat poprzednich — okazję oglądać III Festiwal Interwizji w dwóch planach. Po prostu organizatorzy lożę dziennikarzy umieścili tuż za wbudowaną w widownię konsoletą Jacka Bromskiego. Toteż byli i tacy, którzy widzieli wyłącznie plecy Jacka. Ja natomiast widziałem prawie całą scenę, ale śpiewających artystów tylko do pasa. Po interwencji red. Zygmunta Kiszakiewicza z katowickiej „Panoramy" na konferencji prasowej umieszczono dodatkowo przed nami kolorowe monitory telewizyjne. W ten sposób, chcąc nie chcąc, nie opuszczając widowni mogłem przekonać się jaki obraz mają na małych ekranach telewidzowie. Muszę powiedzieć, że i jeden, i drugi obraz festiwalu podobał mi się. Myślę, że widzowie nie wychodzili z Opery Leśnej zawiedzeni, ale powodem zadowolenia były głównie występy gości „Sopotu 79". Szkoda, że same konkursowe zmagania nie dostarczyły takich emocji. Jeżeli już kusimy się o konkurowanie z festiwalem Eurowizji, to zapraszajmy tych wykonawców, którzy naprawdę na to zasługują. Może warto jeszcze uatrakcyjnić konkursy. Jak? Nie wiem, nie ja biorę za to pieniądze. Niech artystyczny kształt tej imprezy nie będzie tylko z wierzchu polukrowany — liczy się przede wszystkim „nadzienie".

Czesław Niemen

żc niebawem za to wszystko dobrze mu się odwdzięczy

Tak się też stało. Po niejakim czasie Gangster dostał zaproszenie na dłuższy pobyt do Berlina Zachodniego; Niemiec obiecał mu załatwić na ten czas jakąś dobrze płatną, a niezbyt wyczerpującą pracę. Jako posiadacz konta dewizowego Gangster nie miał kłopotów z uzyskaniem paszportu i w lutym 1978 r. znalazł się w Berlinie Zachodnim.

Na miejscu okazało się, że Rudolf S. prowadzi niewielki warsztat samochodowy, gdzie remontuje wozy po wypadkach i sprzedaje je później z dużym zyskiem. Gangster umiał znaleźć się w tej robocie toteż zarabiał niemało i miał nadzieję przywieźć do kraju solidną sumkę Wszystko byłoby dobrze, gdyby na tej nadziei się skończyło Ale przecie apetyt rośnie w miarę jedzenia...

Korzystając z paszportu, Gangster w czasie wolnym od pracy często bywał w NRD, nie tylko w Berlinie, ale także w Lipsku, i w Karl-Marx-Stadt. Szybko zorientował się w różnicach cen niektórych artykułów po obu stronach granicy. Wystarczyło zainwestować trochę marek, a zyski mogłyby być ogromne. Pieniądze miał. Potrzeba było jeszcze tylko paru łebskich wspólników, którzy upłynnialiby towar na terenie NRD

Jak się okazało, z tym także nie było problemu. Gangster miał już trochę znajomych w Karl-Marx-Stadt — kilka prostytutek z hoteli „Kongress" i „Moskau" gdzie czasem nocował, paru kelnerów z eleganckiej restauracji „Gastrotreff", dwóch monterów samochodowych z pobliskiego Falkenau, a przede wszystkim „narzeczoną" Hildę K., relegowaną studentkę handlu zagranicznego. Ze zorganizowaniem przemytniczego gangu nie było więc specjalnych kłopotów. Wszyscy zgodzili się chętnie, wietrząc kokosy.

W maju 1978 r. interes ruszył. Gangster przywoził do NRD towary, które można było kupić stosunkowo niedrogo w Berlinie Zachodnim, a sprzedać łatwo i z dużym zyskiem w Niemieckiej Republice Demokratycznej, więc przede wszystkim zegarki elektroniczne, kwarcowe, kalkulatorki, nylonowe i skórzane kurtki, komplety dżinsowe, damskie bluzeczki itp. Cały towar zawoził do „bazy" w Karl-Marx-Stadt, na Sebastian-Bach-Strasse, gdzie mieszkała Hilda K. Stamtąd drobniejsze partie towaru brali inni i rozprowadzali je w terenie. Jeszcze inni wymieniali uzyskane ze sprzedaży marki NRD na twarde waluty lub złoto, a te walory z kolei Gangster wywoził do Berlina Zachodniego, obracając je na zakup nowych partii towaru i tak w kółko.

Zyski, mimo wysokich prowizji dla koników i handlarzy, były ogromne Np. zegarki nabywane w Berlinie Zachodnim po 26, 35 i 60 marek RFN sprzedawano w NRD po 250—350 marek. Kalkulatorki za 15 z górą „krzyżaków" upłynniano po 100—120 marek NRD. Podobnie kształtowały się relacje cen pozostałych artykułów. Bywało więc, że Gangster na jednym tylko przekroczeniu granicy zarabiał na czysto 800 do 1000 dolarów, jeśli akurat udało mu się przewieźć większą partię szmuglu. A udawało mu się to dosyć często.

Jak? Oto pytanie zasadnicze!

Sposób przemytu był równie chytry, co prosty. Gangster zawsze przewoził towar pociągiem. Kiedy tylko wsiadł do wagonu, najpierw udawał się do toalety, oczywiście z torbą, w której miał już przygotowane trefne paczki. Następnie błyskawicznie odśrubowywał od podłogi muszlę klozetową, unosił ją lekko z jednej strony, by nie nadwerężyć armatury, po czym w pustych, wewnętrznych komorach muszli umieszczał przygotowane „na miarę" paczki. Później tylko przykręcał na powrót dwie sruby, zacierał ślady... i to wszystko. Kontrolę celną przechodził zupełnie „czysty". Po przejechaniu granicy znów wychodził do toalety, wydobywał towar z ukrycia i chował do torby. Miał taką niebywałą wprawę, że każda operacja z muszlą nie zabierała mu więcej niż 1,5 — 2 minuty. A tyle mniej więcej można przesiedzieć w ustronnym przybytku bez specjalnego zwracania czyjejś uwagi. Schowek na szmugiel był znakomity, miał tylko jedną wadę: był mianowicie bardzo mały. Ale na to już nie było rady Pozostały więc jedynie jak najczęstsze wycieczki na drugą stronę granicy, by się jakoś wyrobić ze sporą „masą towarową".

Po pewnym czasie Gangster zaniechał zbyt częstych wojaży, bo to mogło zwrócić wreszcie uwagę podejrzliwych celników. Towar jeździł sam. Gangster tylko chował paczki w skrytkach, a po drugiej stronie granicy jego zaufany człowiek wyjmował paczki z muszli i odwoził do „centrali". Tą samą drogą do Berlina Zachodniego przekazywano pieniądze i inne walory. Metoda nie była nowa. taką samą stosowali już wcześniej bracia Latkowie z warszawskiego gangu „złotogłowych", wykorzystując w charakterze schowków tzw. łapy foteli wagonowych. W ten sposób można było ekspediować kontrabandę nawet codziennie.

Tranzytowe „wahadło" pracowało bez zarzutu. Zyski rosły W ciągu tylko pierwszych pięciu miesięcy Gangster zarobił na czysto ponad 32 tysiące dolarów! Perspektywy zaś wydawały się jeszcze lepsze. Przedłużył sobie wizę na cały rok. Oficjalnie nadal pracował w małym warsztacie samochodowym przy Wilmersdorfer-Strasse.

Awaria

Pewnego dnia w jednym z wagonów w toalecie w której był ukryty szmugiel, zepsuł się kran przy umywalce. Na punkcie granicznym kierownik pociągu wezwał hydraulika, aby ten usunął awarię w czasie kontroli celnej. Czasu było niewiele, hydraulik tak się śpieszył, że wszystko leciało mu z rąk. Poleciał też ciężki klucz francuski i to bardzo pechowo, bo akurat na muszlę klozetową. Krucha porcelana rozbiła się... no i „wyszło szydło z worka"!

Wezwani celnicy obejrzeli wszystko dokładnie i uradzili chytry plan. Muszlę szybko wymieniono na nową, a w niej ukryto starannie szmugiel, tak jak to było uprzednio Przypuszczano, że po przekroczeniu granicy na pewno ktoś się zgłosi po towar.

Kiedy pociąg kończył swój bieg na berlińskim Ostbahnhoff, do toalety wszedł młody mężczyzna z torbą turystyczną na ramieniu. Funkcjonariusze policji kolejowej czekali spokojnie nie opodal. Kiedy młodzieniec wyszedł wreszcie na korytarz, do toalety natychmiast udał się jeden z policjantów, by skontrolować schowek; inni dyskretnie obserwowali podejrzanego. Po chwili policjant wyszedł z toalety. Wyjął chusteczkę do nosa i zaczął przecierać spocone czoło To był sygnał, że czas przystąpić do akcji.

Pociąg stanął. Pasażerowie gromadnie wysypali się na peron, wysiadł także młodzieniec z torbą. Spokojnym krokiem podążył do dworcowego hallu, za nim w pewnej odległości dwaj funkcjonariusze.

Chwycony w pewnej chwili z dwóch stron pod pachy, był tak zaskoczony, że nie stawiał najmniejszego oporu Być może tylko pomyślał przez moment, że „trzynastka" okazała się dlań pechowa. Był to bowiem akurat 13 marca 1979 r.

Ale ten jego spokój, ta uległość, to były tylko pozory, dla uśpienia czujności konwojujących go funkcjonariuszy. Wystarczyło że jeden z nich puścił go na chwilę, aby otworzyć drzwi komisariatu, a młodzian wolną ręką wyrżnął trzymającego go policjanta między oczy, rzucił torbę w drugiego, po czym niczym z procy prysnął w dworcowy tłum, środkiem ogromnego hallu!

To wszystko stało się tak nieoczekiwanie i tak szybko, że zaskoczeni kompletnie policjanci na moment dosłownie „wrośli" w posadzkę. Ale tylko na moment.

— **Halt! Halt!** — ostry krzyk zabrzmiał niby wystrzał...

PO EUROPIE ZACHODNIEJ POCIĄGIEM

Niedawno kolejarze francuscy, pokazali prototyp nowego pociągu, który może rozwinąć szybkość 160 mil (niespełna 260 km) na godzinę. Na pytanie, czy Stany Zjednoczone mogłyby ten pociąg zakupić jeden z inżynierów zareagował z iście galijską dumą:

— **Na tych ich torach taki szybki pociąg wyskoczyłby z szyn na pierwszym zakręcie.**

Istotnie, w Stanach Zjednoczonych pociągi pasażerskie są na wymarciu. Europa natomiast spogląda na kolej jako na środek transportu przyszłości. Wprawdzie „Orient-Express" istnieje jeszcze, ale jest to już tylko blady cień owego luksusowego pociągu z zamierzchłych czasów. Za to inne pociągi na kontynencie europejskim są coraz szybsze i coraz wygodniejsze. 165 wielkich miast zachodnioeuropejskich łączy system pociągów **„Trans-Europa-Express"**, gdzie wszystkie wagony są tylko pierwszej klasy. A teraz, w lecie, chociaż inflacja szczerzy zęby, niektóre bilety kolejowe nawet potaniały — np. o 30 proc. w Szwecji.

Stosuje się też różne udogodnienia dla pasażerów, a głównie turystów. Każdy kto nie ukończył jeszcze 26 lat życia, może kupić bilet „Interrial pass", ważny na obszarze dwudziestu krajów. Mając taki bilet, płaci się 50 proc. ceny każdego przejazdu w kraju, gdzie dokonano zakupu, ale wszędzie indziej można już przejechać bez żadnej dopłaty nieograniczoną ilość kilometrów. Wiele krajów, m. in. Wielka Brytania, Austria, Szwajcaria, Niemcy Zachodnie i Finlandia, oferuje bilety krajowe, uprawniające, w zależności od ceny, do takiego czy innego okresu podróżowania pociągiem bez ograniczenia ilości kilometrów. Wielka Brytania umożliwia podróż z całą rodziną za cenę tylko nieco wyższą niż koszt biletu dla jednej osoby. Francja i Belgia stosują system o nazwie „pociąg-rower", czyli przejazd koleją plus potem korzystanie z roweru z motorkiem, aby móc pojeździć po terenie, do którego się zawitało. Szwajcarzy, których superpunktualna kolej również wynajmuje rowery pasażerom, wywożą człowieka wysoko w Alpy kolejką linową, szwajcarskim wynalazkiem sprzed stu lat.

Na krótkich trasach często lepiej korzystać z pociągu niż z samolotu. Pociągi są rzadko kiedy przepełnione, z wyjątkiem dni szczytu urlopowego. W razie trudności zawsze ma się miejsce stojące. Poza nielicznymi wyjątkami bilet kolejowy pierwszej klasy kosztuje połowę ceny biletu lotniczego. Można sobie przy tym oszczędzić marnowanie czasu na udrękę przejazdu do lotniska i z lotniska oraz przechodzenia przez kontrole celne i paszportowe.

Pociągi w Europie Zachodniej zazwyczaj odchodzą i przychodzą punktualnie. Tak bardzo punktualnie, że kolej francuska zwraca koszt biletu, jeśli jej przebojowy ekspres „Le Capitole" na trasie Paryż-Tuluza opóźni się więcej niż 45 minut. W lecie ubiegłego roku, gdy we Francji pracownicy kontroli lotów strajkowali w ten sposób, że zwolnili tempo pracy stosując się do wszystkich przepisów, administracja kolei uruchomiła dodatkowe pociągi i świetnie zastąpiła linie lotnicze.

Tylko podczas długich podróży pociąg staje się męczący. Trudno jest znaleźć przedział tak pusty, aby można było rozciągnąć się na drzemkę na trzech siedzeniach. Lepiej też jest stale mieć na oku swój bagaż, jeśli nie można go zostawić komuś zaufanemu, gdy idzie się do toalety lub bufetu. Kradzieże w pociągu stały się nagminne w wielu krajach zachodnioeuropejskich. Włochy zorganizowały kampanię pobudzania czujności umieszczając w pociągach plakaty, na których obok napisu **„nie tylko uczciwi jeżdżą koleją"**, widnieje rysunek przedstawiający złodzieja, który uwalnia śpiącego turystę od trudu noszenia zegarka.

Większość kolei zachodnioeuropejskich, chociaż uruchamia coraz szybsze pociągi i oferuje coraz tańsze bilety dla turystów, ma stale deficyt i stara się oszczędzać. W wielu krajach wagony restauracyjne zastępuje się pozbawionymi wyrazu bufetami, w których sprzedaje się kanapki o smaku tektury i coca-colę po wręcz oburzających cenach. Jeśli tylko możecie, bierzcie ze sobą własne jedzenie.

A jak to wygląda w niektórych krajach?

Włochy

Koleje włoskie mają deficyt pieniężny, ale mimo to są rozbudowywane. W 1983 roku zakończy się budowa podwójnych torów dla nowych pociągów o nazwie „Direrissimo", które skrócą czas podróży między Rzymem i Florencją. Przedmiotem studiów są bardziej długoterminowe plany przedłużenia nowych torów do Mediolanu. Odciąży to poważnie główną linię kolejową Włoch, ów „kręgosłup" przebiegający od Neapolu przez Rzym, Florencję, Bolonię i Mediolan.

Ceny biletów kolejowych we Włoszech są tanie w porównaniu z biletami lotniczymi „Alitalii". Kolej włoska oferuje bilety ulgowe w rodzaju „biglietto chilometrico", który jest ważny przez miesiąc, a uprawnia do 20 przejazdów o łącznej długości trasy — 3 tysiące km.

Hiszpania

Doświadczeni podróżni w pociągach hiszpańskich lubią opowiadać świeżo przybyłym, że generał Franco nigdy nie doprowadził do tego, żeby pociągi chodziły punktualnie. Następcom Franco również się to nie udało. Tylko z Madrytu do Barcelony pociągi dość często chodzą zgodnie z rozkładem. Nie można jednak tego powiedzieć o pociągach kursujących między Madrytem i południową lub północno-zachodnią częścią kraju. Na ogół podróż tym pociągiem w Hiszpanii nie oszałamia szybkością i nie zawsze jest wygodna.

W bieżącym roku Renfe wystąpiły z kampanią reklamową, która ma zachęcić do podróżowania koleją. Jednym z rezultatów jest ulgowa cena biletu za przejazd (ze wszystkimi wygodami, łącznie z miejscem sypialnym) na trasie Madryt — Barcelona. W pociągach nocnych między Madrytem a Barceloną przywrócono staromodne wagony restauracyjne. Nowa taktyka Renfe obejmuje też propagowanie różnych zniżek.

Między wielkimi miastami kursują świetne, nowoczesne pociągi, zwane „Talgo" — o wydłużonych opływowych liniach. „Talgo" kosztują nieco więcej niż pociągi ekspresowe i nie bardzo pośpieszne pociągi o nazwie pośpiesznych, ale są od nich szybsze i bardziej wygodne dla podróżowania w ciągu dnia.

Francja

Francuskie koleje państwowe — SNCF (Societé Nationale des Chemins de Fer Francais) są pod wieloma względami najbardziej w całej Europie zwrócone frontem do pasażera. Od 1975 roku przodują w Europie Zachodniej i są jedynymi, które odnotowują stały wzrost ilości pasażerów. Jakkolwiek inflacja nie oszczędziła SNCF, powodując od 1970 roku wzrost cen biletów o 80 proc., to nadal jeszcze koleje francuskie są, po włoskich, najtańsze w całej Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Ale im dłuższa podróż, tym mniej może opłacać się jazda pociągiem. Najlepiej, jeśli to tylko możliwe, kupić bilet w przedsprzedaży. Na dworcach w nocy jest bowiem często otwarta tylko jedna kasa i są długie kolejki. Jeśli wsiądzie się bez biletu konduktor w pociągu pobiera 20 proc. dodatkowej opłaty. Trzeba przecinać bilet w pomarańczowym automacie przy wejściu na peron. Jeśli bilet jest nie przecięty, grozi 20-procentowa grzywna.

Aby zmniejszyć przeciążenie trasy Paryż—Lyon, po której przewala się jedna czwarta całego ruchu pasażerskiego na kolejach francuskich, SNCF budują drugą linię do Lyonu. Nowe szybkobieżne pociągi „TGV" („trains a grande vitesse") zredukują czas przejazdu na tej linii o połowę. Tabor uzupełnia się obecnie wprowadzeniem do ruchu 3 tysięcy nowych „wagonów osobowych o wysokim komforcie". Większość tych wagonów ma klimatyzację.

Niemcy Zachodnie

DB (Deutsche Bundesbahn) oferują nie lada zakres. W maju DB wprowadziły w życie rozkład jazdy nowych pociągów o nazwie „Intercity", w skrócie — „IC" pod hasłem: „o każdej godzinie, każdą klasą". „IC" to pociągi, które, biegnąc z szybkością 125 mil (ponad 200 km) na godzinę, zapewniają połączenia między dużymi miastami w RFN i kursują co godzinę. Są to pociągi dalekobieżne z wagonami pierwszej i drugiej klasy, wagonami restauracyjnymi, sekretarkami na żądanie, a nawet z gwarancją, że kto zechce, będzie na stacji docelowej dysponować wynajętym samochodem i że ktoś zajmie się jego bagażem.

Deutsche Bundesbahn oferują specjalne „podróże miejskie" i „podróże zryczałtowane". „Podróże miejskie" są przewidziane dla tych, którzy chcą obejrzeć jedno z wielkich miast zachodnioniemieckich. Dla przykładu — „Staedtetour" w Monachium obejmuje: weekend w tym mieście z dwoma noclegami w hotelu lub pensjonacie, śniadanie, przejazd metro, bezpłatny wstęp do muzeów i do ogrodów zoologicznych oraz zwiedzanie Monachium. „Podróże zryczałtowane" są przeznaczone dla osób udających się do uzdrowisk w RFN.

Szwajcaria

Szwajcar z upodobaniem mawia, że nastawia zegarek według pociągu. Szwajcarskie pociągi kursują nie tylko punktualnie, lecz również w zasięgu słuchu mieszkańców prawie każdego miasta, każdej wsi i osady w tym kraju. Jakkolwiek przez ostatnie kilka lat szwajcarskie koleje państwowe — CFF (Chemin de Fer Federal) mają deficyt, to jazdę pociągiem, w tym małym, górzystym kraju nadal uważa się za najpraktyczniejszy i najtańszy sposób podróżowania i zwiedzania.

Wagony nienagannie czyste, a toalety szoruje się codziennie. Nie jest prawdopodobne, że zobaczy się Szwajcara rzucającego na podłogę opakowanie od gumy do żucia lub kładącego nogi na drugie siedzenie bez zdjęcia butów i bez podłożenia gazety pod skarpetki. Szwajcar nie zawaha się zwrócić uwagi, by inni postępowali tak samo.

Powoli znikają wagony restauracyjne, w których podawano posiłki z pięciu dań na lnianych obrusach. Pojawiają się natomiast wagony z samoobsługą oraz wózki rozwożące napoje i kanapki. Głodny pasażer dobrze zrobi, przerywając podróż, ponieważ liczne szwajcarskie bufety dworcowe — np. w Porrentruy i Lozannie — cieszą się dobrą opinią, a pociągi kursują często.

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE"

KRONIKA TYGODNIA

Właśnie gdy drukuje się „Odgłosy" **trwa szczyt krajów niezaangażowanych w Hawanie.** Łącznie liczba reprezentacji przekracza sto, gdyż w obradach poza krajami członkowskimi biorą również udział obserwatorzy i przedstawiciele ruchów wyzwoleńczych i organizacji międzynarodowych.

O znaczeniu ruchu niezaangażowanych pisaliśmy przed dwoma tygodniami. Jest to siła ważąca na arenie międzynarodowej. W Hawanie omawia się złożone problemy współczesności, najważniejsze z międzynarodowych zagadnień. Ale — zdaniem wielu obserwatorów, wypowiadanym przed rozpoczęciem obrad — tym razem „spotkanie ma również kluczowy charakter dla przyszłości ruchu niezaangażowanych". Opinia ta wynika stąd, że **wypłynęło szereg nowych problemów**, jak np wniosek o zawieszenie Egiptu w prawach członkowskich, reprezentacja Kampuczy, czy też konflikty zbrojne między państwami wchodzącymi w skład ruchu. Agencja REUTERA uważa, że ma on dużą zdolność adoptowania się do trudności i wypracowania uniformistycznych formuł, choć **ścierają się w nim obecnie dwie tendencje: postępowa i zachowawcza.** Sądzi także, iż większość reprezentowanych w Hawanie krajów opowiada się za „uważnie wytyczoną drogą między Wschodem i Zachodem".

Najistotniejsze jest wszak to, iż nikt nie ma wątpliwości, że **szczyt da priorytet walce przeciwko imperializmowi, kolonializmowi w jego różnych nowych postaciach oraz obronie interesów gospodarczych i politycznych krajów rozwijających się,** tzn. trzeciego świata.

Do tematu powrócimy, kiedy znane już będą wyniki hawańskiego szczytu, teraz podkreślmy jeszcze, że **po raz pierwszy odbywa się on w Ameryce Łacińskiej,** a Kuba jest jedynym krajem latynoamerykańskim z grupy państw założycielskich tego ruchu.

W polu zainteresowania kół politycznych **znajduje się rozwój wydarzeń w Iranie.** Chodzi nie tylko o wybuch nowych zamieszek i walk w trzech prowincjach, zamieszkałych przez ludność kurdyjską i wprowadzenie przeciwko autonomistom silnych oddziałów wojsk rządowych, ale również o ofensywę sił konserwatywnych, które pchnęły Chomeiniego na drogę ostrej konfrontacji z opozycją. Używając tego ostatniego słowa mamy na myśli przede wszystkim tzw. bojowników ludowych, którzy walczyli o obalenie szacha, a dziś domagają się swobody dla siebie. Przeciwstawiają się oni chomeinistom, twierdząc, że tamci nie mogą mieć monopolu na rządzenie w imieniu islamu.

Represje, jakie podjęte zostały przez Chomeiniego, dotknęły i komunistów irańskich — trzecią co do wielkości siłę polityczną w kraju. Ma ona swoje oparcie w klasie robotniczej i związkach zawodowych.

Sytuacja w Iranie nadal rozwija się tak, że różni zachodni komentatorzy coraz częściej piszą o **groźbie wojny domowej.**

Prócz Iranu najczęściej obecnie **pisze się o Indiach.** Jak wiadomo — rząd Singha, tak zresztą jak było do przewidzenia, krótko pozostawał przy władzy. Nastąpiło rozwiązanie parlamentu i rozpisanie przedterminowych wyborów. Zmierzą się w nich trzy podstawowe siły: Janata, Janata świecka (Singha) oraz Kongres Indiry Gandhi. **W ub. tygodniu napłynęła z Delhi informacja, że indyjskie partie lewicowe postanowiły w wyborach poprzeć koalicję Janaty świeckiej Singha.** Komuniści uważają, że Janata (z jej ramienia przez 27 miesięcy premierem był Desai) skupia siły nacjonalistyczne, a Kongres Indiry Gandhi jest stronnictwem sił autokratycznych.

Jaki będzie układ sił w nowym parlamencie — trudno przewidzieć, wymienione ugrupowania mają dość wyrównane szanse. Nie można jednak wykluczać zasadniczych przemieszczeń.

Przegląd aktualiów zakończmy jeszcze kilku zdaniami komentarza na temat **chińskiej podróży wiceprezydenta USA — W. Mondale.** Ze zdziwieniem przeczytaliśmy bowiem w doniesieniach agencji, że wysoki przedstawiciel Waszyngtonu obiecał kierownictwu pekińskiemu poważną pomoc ekonomiczną oraz przyznanie klauzuli największego uprzywilejowania. Omówił także warunki zachęcenia prywatnych firm amerykańskich do inwestowania w Chinach.

Czym wytłumaczyć tak zasadniczą woltę Waszyngtonu? **Przede wszystkim potrzebą sukcesu.** Carter i jego administracja nie mają zbyt wielu powodzeń w polityce wewnętrznej i zagranicznej, a termin wyborów prezydenckich zbliża się nieuchronnie. Poszukuje się więc usilnie czegoś, czym można by zafascynować amerykańskich wyborców. Czy jednak Waszyngton nie podejmuje zbyt niebezpiecznej gry, kiedy tak zabiega o „serdeczną linię" z Pekinem?

W. SŁAWSKI

PARAGWAJ

UDOSKONALONY „SYSTEM" TERRORU

25 lat pozostaje Paragwaj pod rządami dyktatora, gen. Alfredo Stroessnera, wnuka przesiedleńców z Bawarii. Generał jest równocześnie głową państwa i rządu, dowódcą sił zbrojnych, tudzież honorowym przewodniczącym rządzącej partii – Stowarzyszenia Narodowo-Republikańskiego „Association National Republicana – ANR). W państwie panuje masowy terror. Artykuł 79 konstytucji głosi, że „z rozporządzenia prezydenta każdy obywatel może być aresztowany i więziony przez nieokreślony czas bez podania powodów aresztowania i bez wyroku". Nic dziwnego, że w Paragwaju „zaginąć bez śladu" jest wyjątkowo łatwo.

Wybory parlamentarne nie wnoszą najmniejszych zmian do „systemu" rządów Stroessnera, bowiem niezależnie od wyniku wyborów kierowana przezeń partia ANR, zwana też „Colorado", zawsze otrzymuje lwią część mandatów poselskich. Dyktator osobiście mianuje i usuwa ministrów, członków rady państwowej i sądu najwyższego. Może też rozwiązać kongres, w którym — obok partii „Colorado" (40 mandatów) — są reprezentowane pozostałe dwie partie: liberalna i liberalno-demokratyczna (razem 20 mandatów).

Stroessner doszedł do władzy w 1954 roku po dokonaniu przewrotu wojskowego i odtąd nieprzerwanie rządzi krajem wciąż doskonaląc przemyślną kombinację korupcji i brutalnej siły. Udaje mu się utrzymać przy władzy dłużej niż większości innych paragwajskich dyktatorów, ponieważ nigdy nie dowierzał i nie dowierza, ani generałom, ani politykom do tego stopnia, żeby dzielić z nimi władzę. Nawet teraz, w wieku 66 lat, Stroessner osobiście podejmuje decyzje we wszystkich ważnych i mniej ważnych sprawach, do ustalania terminów uboju bydła włącznie. Dyktator nigdy nie starał się nawet stwarzać pozorów, iżby kierowany przez niego rząd miał na celu coś innego, niż jego własne zbijanie fortuny. Polityczne poglądy generała są konglomeratem wulgarnego, twardogłowego konserwatyzmu w latynoamerykańskim wydaniu i dawnego niemieckiego nazizmu.

W odróżnieniu od byłego dyktatora Somozy w Nikaragui, Stroessner nie stara się zagarnąć wszystkich bogactw, które oferuje mu władza, lecz dzieli się nimi z wojskowymi, policją i przywódcami posłusznej mu partii „Colorado". Dopóki lizusi nie poddają w wątpliwość stylu jego rządów i „talentów" przywódcy, dopóty wolno im terroryzować mieszkańców wsi oraz dzielnic biedoty i prowadzić ciemne, ale niezwykle dochodowe interesy, takie, jak kontrabanda i handel narkotykami. Oczywiście pod warunkiem, że duża część tych dochodów wpłynie do sejfu dyktatora a jakaś tam część do kasy państwa, co stanowi praktykę dnia codziennego rządów Stroessnera.

Handel przemytem — jak informuje reporter „Harpersa" jest w pełni rozkwitu i kierują nim całkiem otwarcie wojskowi oraz niewielka grupa uprzywilejowanych cywilów. Większość towarów napływa ze Stanów Zjednoczonych na pokładach ogromnych samolotów transportowych, wyładowanych pod sufit papierosami, whisky, likierami, koniakami, perfumami... Samoloty lądują wprost na międzynarodowym lotnisku w stolicy kraju Assuncion, w specjalnym wydzielonym sektorze kontrabandy, a następnie wszystko to przerzuca się do innych krajów, albo na samolotach paragwajskiego lotnictwa wojskowego, albo na okrętach paragwajskiej marynarki wojennej, pływających na rzekach Paragwaj i Parana. Handel narkotykami jest niemal całkowicie zmonopolizowany przez policję.

Innym lukratywnym źródłem dochodów są łapówki. Większość zagranicznych handlowców, prowadzących interesy w Paragwaju, pojmuje pleniące się tutaj przekupstwo jako fenomen sam w sobie. Wyjątki od tej reguły są niesłychanie rzadkie. Przedstawiciel jednej z międzynarodowych agencji, która rozpatrywała sprawę udzielenia Paragwajowi subsydium w wysokości 5 milionów dolarów na wykonanie programów rolnictwa opowiadał, jak to starszy syn Stroessnera, Gustavo, bezpośredni spadkobierca dyktatora i główny poborca łapówek, zorganizował na jego cześć bankiet w najwytworniejszym kasynie w Assuncion. Kiedy ów przedstawiciel odrzucił niesłychanie bezczelne żądanie wypłacenia łapówki w wysokości 2 milionów dolarów, plus 50 tys. dolarów jako honorarium za pośrednictwo, dosłownie wyrzucono go na ulicę.

Nie wszyscy jednak są aż tak „drobiazgowi". Według informacji pochodzących z kół dyplomatycznych, żeby zdobyć zgodę Stroessnera na budowę elektrowni wodnej, której koszty sięgają 7 miliardów dolarów, na paragwajskiej rzece Parana, Brazylijczycy wypłacili dyktatorowi 150 milionów dolarów w formie łapówek. Nie sposób żyć w tym „pirackim" państwie, jak paragwajski kościół katolicki nazywa reżim Stroessnera, toteż co trzeci mieszkaniec tego kraju ucieka za granicę.

Paragwaj często stawia się jako przykład mieszaniny ras — Hiszpanów i Indian Guarani. 48 procent ludności posługuje się dwoma językami, ale hiszpański jest językiem klasy rządzącej, używanym w pismach oficjalnych, szkołach, środkach masowej informacji, zaś guarani jest językiem służby domowej, biedoty wiejskiej i mieszkańców slumsów. Nigdzie różnica między tymi dwiema kulturami nie jest tak rażąca i tak głęboka jak w ośrodkach wiejskich, które zamieszkuje 60 procent ludności. Większość ludności wiejskiej to nie umiejący pisać i czytać chłopi z plemienia Guarani, małorolni lub w ogóle wyzuci z ziemi. Roczny dochód tej grupy społecznej wynosi zaledwie 85 dolarów na głowę.

Do bogatych posiadaczy ziemskich należy blisko 90 proc. ziemi zdatnej do uprawy, a chłopi pracujący na niej otrzymują 50 centów dziennie. Szczególnie wrogo odnosza się władze do ruchu spółdzielczego. Jeśli tylko nabiera on gdzieś rozmachu, rząd trąbi natychmiast o wykryciu na wsi „komunistycznego spisku" i wysyła tam wojsko, które rozpędza kolektywy, pali chłopskie zagrody i zbiory, grabi, gwałci, zabija.

Reżim Stroessnera wyróżnia się szczególnym okrucieństwem — to właśnie on pierwszy wprowadził tortury. Co więcej, udoskonalił system terroru. Dzięki finansowej pomocy Stanów Zjednoczonych (160 milionów dolarów) dyktator zmodernizował i rozszerzył system śledczy do takiego stopnia, że dziś pod jego kontrolą znajdują się wszystkie warstwy społeczeństwa. Stowarzyszenia: biznesmenów, lekarzy, prawników, dziennikarzy, a nawet kluby piłki nożnej i kolektywy teatralne, nie mówiąc już o organizacjach studenckich i chłopskich, pozostają pod nieustanną inwigilacją.

Od 1954 roku, tj. od dojścia do władzy Stroessnera, tysiące więźniów politycznych orzebywa w więzieniach już od wielu miesięcy, a nawet lat. Fakt ten odnotowano nawet w dokumentach Kongresu USA. Szczegóły tej makabry są jednak tak mało znane, że nikt — nawet sam rząd — nie umie dokładnie powiedzieć — ilu ludzi zamęczono w więziennych kazamatach, a ilu je przetrwało. Wiadomo tylko na pewno, że więźniów na wiele miesięcy skuwa się ze sobą łańcuchami, lub przykuwa do murów celi. Innych trzyma się w maleńkich, pojedyńczych celach, w straszliwych warunkach. Obok bicia więźniów, elektrowstrząsów i topieniu w wodzie stosuje się także szereg innych tortur, na przykład chłostę pejczem zakończonym ciężarkami z ołowiu, przypalanie ciała cygarami czy rozpalonym żelazem. Mówi się także o torturowaniu dzieci w obecności rodziców i odwrotnie.

Sytuację polityczną w Paragwaju charakteryzuje obecnie wzrost aktywności politycznej robotników, chłopów, studentów oraz części burżuazji, wyraźne dążenie do zjednoczenia antydyktatorskich sił, jak również rosnąca izolacja faszystowskiej kliki Stroessnera. Proces ten nabrał rozmachu po apelu legalnych partii opozycyjnych, wzywającym do jedności działania w walce przeciwko tyranii, do zniesienia stanu wyjątkowego, trwającego już 25 lat, ogłoszenia amnestii i uwolnienia wszystkich więźniów politycznych.

Walkę narodu paragwajskiego wspomaga szeroki ruch międzynarodowej solidarności, a natchnieniem dla niej jest obalenie tyrana w Nikaragui.

JERZY CZECH

KORE-SPONDENT NADZIEI

Był pisarzem nadziei doświadczanej najokrutniej na wojennych szlakach, kiedy płonęły radzieckie wsie i miasta, serca przepełniała gorycz odwrotu, a Moskwa była zagrożona przez niemieckie ataki. Ze zrytych pociskami dróg Smoleńszczyzny wyniósł wiarę w zwycięstwo i zaraził nią cały naród radziecki: zwątpienie, nawet w chwilach największych klęsk, nie miało do niego przystępu. Powiedział w wierszu: „— Czekaj na mnie!", w gorzkim wojennym wierszu i jego słowa powtórzyła cała Rosja, stały się one dla wroga równie groźne jak zawołanie plakatów: „Śmierć niemieckim okupantom!".

A przecież nie był plakatowym pisarzem. Nie był nawet, mimo swej wielkiej żarliwości, propagandzistą. Był wielkim lirykiem potrafiącym wyrazić najprostszymi słowami ból, radość, zapach deszczu, skrzyp śniegu. Tak w prozie jak i w poezji. A przede wszystkim: miłość. Stają przed naszymi oczami jak żywi Sincow i Masza z „Żywych i martwych", których czułość przynależy do najpiękniejszych kart radzieckiej literatury miłosnej, jakie powstały w języku rosyjskim.

Parafrazując tytuł głośnej powieści Konstantina Simonowa **„Nikt nie rodzi się żołnierzem"** można powiedzieć bez wahania, że urodził się był pisarzem, co poświadczył całym swoim życiem. I co chyba nie jest bez znaczenia, był zarazem radzieckim pisarzem w najpełniejszym sensie tego słowa: i z racji urodzenia (bo jego najwcześniejsza świadomość przypada już na lata tworzenia nowego społeczeństwa), i z racji wychowania w socjalistycznych ideałach, i ze względu na tematykę książek, sztuk scenicznych, scenariuszy filmowych, wierszy, które znajdowały miliony czytelników, słuchaczy i widzów. Toteż u trumny Konstantina Simonowa jednoczy się dziś w żałobie cała Rosja, która chyba jak nikt inny potrafi czcić i kochać swoich pisarzy. Jest bowiem Simonow na wskroś rosyjski, ale jest jednocześnie przez swoje umiłowanie prostego człowieka uniwersalny, a przez swój zwarzony smutkiem optymizm lubiany i czytany na całym świecie.

Do literatury przyszedł prosto z fabrycznej hali, bo jeszcze jako tokarz, pracując w Saratowie opublikował pierwsze swoje próby w antologii młodych poetów **„Przegląd sił"**. Zwrócił na siebie uwagę i prowincjusza (z racji zamieszkania, urodził się bowiem w Piotrogrodzie w 1915 r.) skierowano go do Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego do Moskwy. Miał dwadzieścia lat.

Pisze. Dużo. Bardzo dużo, zafascynowany autorem książki „Jak hartowała się stal" Nikołajem Ostrowskim, któremu Simonow poświęci nawet jeden ze swoich najwcześniejszych poematów. Historia mimo woli upodobni ich biografie: Simonow jak Ostrowski będzie zdobywał pisarskie doświadczenia, pod gradem kul obserwując śmierć. Już w 1939 roku wyjeżdża w rejon walk nad jeziorem Chasan (Daleki Wschód) jako korespondent wojenny. Wkrótce miały się spełnić słowa jego przyjaciela Aleksego Surkowa, który w 1934 roku, na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich uprzytamniał: „Tylko nie zapominajmy, że to nie za górami leży ten czas, gdy wiersze ze stronic grubych miesięczników będą musiały się przenieść na łamy frontowych gazet i dywizyjnych, polowych „wysokonakładówek".

Wojna nie rozpaliła się jeszcze na dobre, gdy uprzedzając zdarzenia Simonow kreślił literacki portret bohatera nadchodzących czasów gotowego do poświęceń, wystawionego na próbę rozłąki. To człowiek czuły, a jednocześnie twardy, zahartowany. Takimi byli bohaterowie sztuki „Historia pewnej miłości" i taki jest bohater dramatu „Chłopiec z naszego miasta", za który Simonow w wieku dwudziestu siedmiu lat otrzymuje nagrodę państwową ZSRR. Wojna promowała szybko oficerów i pisarzy. W tym czasie z domów oblężonego Leningradu krzyczały ogromnymi literami tytuły wierszy Simonowa wypisane na murach udręczonego miasta: „Leningradczycy, dzieci moje" i „Zabij go". Właśnie tak: zabij go!, jako imperatyw, żeby ocalić naród wystawiony na najcięższą próbę. A przecież, podobnie jak inny korespondent wojenny, Hemingway, był w gruncie rzeczy pacyfistą i nienawidził wojny. Ale pacyfizm okazywał się zbyt słabą osłoną przed bezwzględnością faszyzmu, pokój okazywał się zbyt kosztowny w obliczu niemieckich zbrodni.

Foto: Archiwum

Simonow wiąże się z dziennikiem **„Czerwona Gwiazda"** i jako jego korespondent jeździ na front pisząc głównie wiersze. W 1942 roku ukazują się głośne tomy wierszy poety w mundurze: „Liryczny dziennik", „Z tobą i bez ciebie", „Frontowe wiersze". Jest w tych wierszach wyrazicielem gniewu pokolenia, któremu obca przemoc narzuciła wojnę ze wszystkimi jej okrucieństwami wraz z obcym ludzkiej naturze imperatywem: „Zabij go!". Żaden chyba z radzieckich poetów czasu wojny nie wyraził dramatyczniej tego dylematu, który stanął przed rówieśnikami Simonowa: zabijać, żeby żyć.

I może dlatego, że oddawał rzeczywiste nastroje umęczonego wojną radzieckiego społeczeństwa, utwory jego osiągnęły popularność jaka rzadko towarzyszy pisarzom w ich samotniczych wysiłkach: sztukę „Rosyjscy ludzie" drukowała w odcinkach „Prawda", wystawiały ją teatry na zapleczu frontu i na wyzwalanych ziemiach. W utworze tym, za który Simonow otrzymał kolejny raz nagrodę państwową ZSRR (1943 r.), „...przedstawia trudności wojny jako nieustanną próbę wszystkich sił człowieka — pisze krytyk I. Wiszniewska. — Sztuka opowiada o zwykłych żołnierzach, o tych ludziach, którzy w imię istnienia odnoszą zwycięstwo nad wrogiem. Właśnie z tego powodu — sztuka zajmuje szczególne miejsce w znamienitej wojennej trylogii 1942 roku — obok **„Frontu"** A. Korniejczuka i **„Najazdu"** L. Leonowa. Pojedynek z wrogami w **„Rosyjskich ludziach"** — to także walka psychologiczna, w kategoriach etycznych, napięty duchowy pojedynek wrogich sobie światów, i przeciwnych stanowisk światopoglądowych".

Tę dialektykę historii, ten dramatyzm przynoszą także inne sztuki i powieści Konstantina Simonowa, ale najpełniej chyba wyraził je w tetralogii **„Towarzysze broni"**, **„Żywi i martwi"**, **„Nikt nie rodzi się żołnierzem"** i **„Ostatnie lato"**. Wraz z powieścią **„Dni i noce"**, która stanowiła zarazem pierwszy większy utwór Simonowa o ambicjach epickich, daje ona świadectwo prawdzie czasu wojny, ukazuje granice ludzkiego heroizmu. Zrodziły się te książki z nienawiści do wojny i chcą przed nią przestrzegać pokolenia następne.

Zachowały się zdjęcia Konstantina Simonowa w żołnierskim mundurze: widzimy go w polowej czapce nad Wołgą w roku 1942, kiedy toczyły się boje o Stalingrad, inna, wcześniejsza z roku 1939 pokazuje go na tle namiotów w pobliżu Chalchin — Gole, to znów widzimy go w grupie pisarzy frontowych wespół z S. Szczipaczowem, A. Fadiejewem, A. Korniejczukiem, G. Aleksandrowem, kiedy następowało nowe odkrywanie ojczyzny, którą trzeba osłonić własną piersią. Był korespondentem wojennym i w tym charakterze, towarzysząc różnym radzieckim oddziałom, znalazł się w maju 1945 roku w pokonanym Berlinie obserwując powolne konanie faszyzmu.

A kiedy skończyła się wojna, zrzuciwszy niepotrzebny już mundur nie przestał być wciąż walczącym korespondentem sprawy ludzkiej. I jak w najcięższych latach wojny pozostał w swoich utworach aż po ostatnie dni korespondentem nadziei.

KONRAD FREJDLICH

Z PRASY

APS — ALGIER

Delegacje Mauretanii i frontu POLISARIO (organizacja prowadząca walkę o niepodległość Zachodniej Sahary — red.) podpisały porozumienie, w którym postanawia się, co następuje:

■ Mauretania uroczyście oświadcza, że nie zgłasza i nie będzie zgłaszać terytorialnych, ani jakichkolwiek innych roszczeń do Sahary Zachodniej;

■ Mauretania postanowiła ostatecznie zakończyć niesprawiedliwą wojnę w Saharze Zachodniej, zgodnie ze wspólnym porozumieniem, przygotowanym z przedstawicielami narodu saharyjskiego — frontem POLISARIO;

■ Front POLISARIO uroczyście oświadcza, że nie ma i nie będzie rościć terytorialnych pretensji do Mauretanii;

■ Front POLISARIO i Mauretania postanowiły, podpisując niniejsze porozumienie, zawrzeć pokój.

EL MUDŻAHID — ALGIER

Wiadomość z Nuakszot wzbudza zadowolenie. Oznacza ona, iż położono kres trwającemu cztery lata konfliktowi między Mauretanią a POLISARIO. Tym samym rząd Mauretanii zrobił odważny i właściwy krok. Odpowiada on życzeniom narodów kontynentu, które ustami swoich przedstawicieli na konferencji głów państw i rządów krajów afrykańskich w Monrovii opowiedziały się za uznaniem niewątpliwych praw ludności Sahary Zachodniej. Po raz pierwszy od obalenia rządu Dadda, 10 lipca 1978 roku, Mauretania oficjalnie potwierdza swoją gotowość opuszczenia okupowanego przez nią terytorium Sahary Zachodniej. Podjęta decyzja jest zwycięstwem narodu mauretańskiego który może teraz, po zakończeniu krwawego konfliktu, skierować wszystkie swoje siły na drogę politycznej i ekonomicznej odbudowy kraju. Stworzono obecnie bardziej pomyślne warunki również dla osiągnięcia celów narodu zachodniosaharyjskiego.

LE MATIN — PARYŻ

Minister spraw zagranicznych Maroka, Mohamed Busetta, nawiązując do podpisanego porozumienia, powiedział: „Uważamy algierskie porozumienie między Mauretanią i tzw. frontem POLISARIO za nie istniejące".

FRANCE PRESSE — RABAT

Jak mówi się w tutejszych kołach, w celu przerzucenia żołnierzy marokańskich, znajdujących się w Zairze, na Saharę Zachodnią użyto amerykańskich samolotów transportowych. Krok ten podjęto aby możliwie najszybciej wzmocnić marokańskie wojska na południu Sahary, po podpisaniu porozumienia pokojowego między Mauretanią i frontem POLISARIO.

L'HUMANITE — PARYŻ

Marokańskie siły uderzeniowe, przerzucone przez lotnictwo USA do południowej części Sahary, liczą od 1800 do 3000 ludzi. Posiadają czołgi i samoloty. Wojskową interwencję podjął Hassan II po upływie tygodnia od momentu uznania przez rząd Mauretanii frontu POLISARIO i zrzeczenia się przez nią wszelkich roszczeń do Sahary Zachodniej. Na Rabat zatem spada całkowita odpowiedzialność za kontynuowanie niesprawiedliwej wojny przeciwko narodowi Sahary Zachodniej.

KONIEC WAKACJI

ODCINEK V

WACŁAW BILIŃSKI

Adam przysiadł na brzeżku komódki i oparty ramieniem o ścianę patrzył na dachy mieściny. Za oknem był sierpniowy skwar, powietrze dygotało jak nad paleniskiem, na nieba ani chmurki. Tu, na poddaszu upał stawał się trudny do zniesienia. Cała ta Braszka — Adam przypomniał sobie znaną z mapy a teraz wspomnianą przez Wilczyńskiego nazwę — była właściwie wsią. Domki parterowe, wszędzie wokół strzechy, nawet studnia przed szkołą, całkiem wiejska, z żurawiem. Akurat żołnierze poili przy niej konie. Wsi spokojna, wsi wesoła... Przypomniało się, że to pora wakacji. Psiakrew, nasze z Helenką plany. Kosów, Huculszczyzna. Pomyślał o tej wędrówce we dwoje, jak o utraconym raju. I te Zaleszczyki, Dniestr, kajaki, winobranie, opalanie się na murzyna. Westchnął. Nic z wakacji. Sierpień był skażony, chory, a sielskość pejzażu za oknem, jeśli się go zestawiło z wyczytanymi z pracy przeklętego Glodkowsky'ego niemieckimi mądrościami o technice wojennej, nabierała cech złowieszczych. I jeszcze na domiar złego za plecami to Niemczysko, tajemnicze, nieodgadnione. Jakby powiedziała babcia Seweryna: zapowiedziane złym snem.

Zadudniły kroki na schodach i do izdebki wpadł Zenek z takim hałasem, że zbudził Niemca. Hochman zerwał się z leżanki, mrugał krótkowzrocznymi oczami. A plutonowy, nie zwracając na niego uwagi zasyczał ostrzegawczym szeptem:

— Stary!

Kossowicz wyjrzał przez okno. Buick wynurzył się właśnie z zaułka, zajeżdżał majestatycznie przed szkołę. Czarny lakier, błyszczące chromy pokryła jeszcze jedna nowa warstwa pyłu białego, wapiennego. Z wozu wysiadł pułkownik Klon-Sawicki.

Adam odszedł od okna i uchylił drzwi. Czekał. Zenek stojąc tuż za nim powiedział tajemniczym szeptem:

— Ho, ho, czegom się dowiedział...

Ale na nic więcej nie starczyło czasu, bo na dole, w korytarzu szkoły Klon nawoływał tubalnym, ochrypłym basem:

— Porucznik Kossowicz! Do mnie!

Adam zbiegł z facjatki po stromych, byle jak skleconych schodkach, potknął się. Zatrzymał na przeciwległej ścianie, zrobił w tył zwrot. Stanął przed drzwiami kancelarii. Obciągnął mundur, poprawił włosy, zapukał:

— Wejść! — zahuczał z kancelarii bas Klona-Sawickiego.

Było mroczno, w oknach zaciągnięto sekretki z wypłowiałego, burego perkalu. Klon stał tyłem do drzwi, ręce założył na plecy, posapywał przez nos. Gdy odwrócił się, do dolnej wargi miał przyklejony skręcony z bibułki papieros Nie dał czasu Kossowiczowi się zameldować.

— Niech pan siada, panie poruczniku — powiedział dziwnie cicho, wyjął z ust peta i zgniótł go w wyschłym kałamarzu. — Niech pan uważa. Niech pan na miłość Boską dobrze uważa!

Było to powiedziane bardzo na serio i zrobiło wrażenie. Kossowicz nieporadnie i hałaśliwie odsunął krzesło i usiadł. Wydawało mu się, że serce bije mu zbyt głośno. Czego ja się właściwie boję — pomyślał ze zgrozą.

Klon zbierał się, chodził teraz po izbie ciężkim, długim krokiem. Z ukosa rzucał na Kossowicza badawcze spojrzenia, tarł policzek wielką, siną od odmrożeń pięścią. Wreszcie zabuczał jak sierpniowy trzmiel:

— Zapadły decyzje! Niemca zostawimy pod pana porucznika opieką...

— Pod moją? — przeraził się Kossowicz.

— Służy pan przecież w Drugim Oddziale. Robota typowa. A tego Szwaba nie chcą widzieć, przynajmniej na razie, ani w Warszawie, ani w Łodzi.

— Lecz jeśli mogę spytać...

— Nie ma pan, poruczniku, o co pytać! Sprawa zdecydowana. Jeśli hitlerowcy liczą, że przetransportujemy go do stolicy.

— Nadal nie rozumiem...

— I nie trzeba! — wydął wargi Klon. — Nie będziemy w tę aferę wciągać coraz więcej nowych ludzi. I dlatego pan, poruczniku Kossowicz, od tej chwili jest dowódcą grupy specjalnej. Ma pan specjalne zadanie. Niemiec musi przejść swego rodzaju kwarantannę. Jasne?

— Czy mogę o coś, panie pułkowniku, zapytać?

— Nie. Bo i o co tu pytać? Powtarzam raz jeszcze: kwarantanna! Aha! Pan z Niemcem nie będzie rozmawiał o polityce. O wojnie. O żadnych polsko-niemieckich sprawach. Zrozumiał pan? To rozkaz!

Kossowicz z ciężkim sercem bąknął:

— Tak jest.

— Dobrze. Zatem możemy przejść do spraw praktycznych. Pod pana rozkazami Zenek, perła nie chłopak. I ten kapral, który w nocy złowił Niemca. Czy może Niemiec sam na niego wlazł. Diabli wiedzą jak tam było naprawdę. Kto wie? Ale mniejsza o to. Wracając do rozkazów. Dowódca batalionu już uprzedzony. Zaraz wam tego kaprala — łowcę Niemca przyślę do dyspozycji. Jasne?

— Tak jest.

Klon uśmiechnął się samymi kącikami ust, jakoś tak, jakby Kossowicz bardzo go śmieszył. Zaczął obmacywać kieszenie. Sapał przez nos, bardzo był podniecony, choć starał się tego nie okazywać. Wyciągnął pękaty, zniszczony portfel, grzebał w nim, burcząc coś swoim zwyczajem.

— Forsy pewnie nie macie — powiedział wreszcie i podał Kossowiczowi całkiem nowy banknot. — Na razie pięćset złotych do rozliczenia... Nie zawracaj sobie pan tym głowy. Od tego jest Zenek, on rozliczy — i z przekąsem: — On to potrafi! I jeszcze jedno: żadnych notatek. Tego się w naszej służbie nie robi. Ale um Gottes Willen, jak mawiają ci chrześcijanie zza Prosny, wszystko macie wykonać jota w jotę tak jak powiem. Dokładnie tak! Po pierwsze: zorganizować cywilne ubranie dla Niemca. Niech Zenek kupi u Żydów. Oczywiście Hochmana nie puszczać ani na krok z tego pokoju na górce. Nawet siusiu niech tam... uskutecznia. I kupcie mu walizkę. Do niej wojskowe łachy tego... Hochmana. Jasne?

— Tak jest.

— Jak się ściemni, nie wcześniej. Wilczyński podstawi wam bryczkę w parę koni. Wsiadacie z tyłu wy i Niemiec, z przodu Zenek i ten kapral za woźnicę. Mundur Niemca w walizce. I jazda do Bielunia. To niedaleko. Taka dziura zabita deskami. Koni nie żałować, to będziecie w dwie, trzy godziny. A tam na rogatcę nasz człowiek powie hasło: „Gość w dom". I zaprowadzi na kwaterę. W Bieluniu, trochę dalej od granicy, poczeka pan na nowe rozkazy. Pogody piękne, opalajcie się, byle z dala od ludzi. Wakacje! Tylko pilnujcie mi Niemca jak oka w głowie. Na mój rozum uciekać nie będzie. Ale wykluczyć niczego nie można. Dlatego liczę na pana, panie poruczniku, inteligencję i fantazję. Niech pan ją wysili i stara się przewidzieć wszystko, co może się zdarzyć. Najważniejsze, żeby nie miał żadnych, absolutnie żadnych kontaktów. Kwarantanna. Jeśli będzie pytał, tak pan mu powie. Kwarantanna. Wakacje. Jasne?

Kossowicz tylko westchnął.

— Co wam będzie potrzebne, kupujcie. Jakby pieniędzy zabrakło, żadne zmartwienie, Zenek zorganizuje. Nasi ludzie w Bieluniu nie będą znali szczegółów tej sprawy. Ani słowa z nimi o Niemcu. Zresztą niech pan nawet z nimi unika kontaktów. I przewiduje, przewiduje! Oczy otwarte. Głowa na karku.

— Myślę, panie pułkowniku...

Klon zamachnął ręką.

— Otóż to! Nie myśleć, a sprawnie wykonywać rozkazy — powiedział, ale zaraz się skrzywił, jakby mu własny aforyzm nie zasmakował. — Nie wiem jak to długo potrwa. Chyba niedługo. Niemcy widząc naszą gotowość... I nasze powiązania sojusznicze... A jeśli jednak okaże się...

Zaczerpnął głęboko w płuca powietrza, przystanął Adamowi nad karkiem.

— Zresztą wojna nam nie pierwszyzna — dokończył. — Dulce et decorum... Zobaczymy! — Zadudnił pięścią o blat biurka. — Coś jeszcze?

— Nie! — powiedział już bez namysłu Kossowicz.

Klon uznał to za przejaw służbistości. Klepnął Adama po ramieniu i dorzucił innym tonem:

— Niech pan pamięta, co mówi stary praktyk: w naszej pracy nigdy, prawie nigdy nie ma pewności. Miałem kiedyś taką sprawę: zgłosił się do mnie Austriak, niejaki Dobering. Sam z nim wtedy mówiłem. Był przeciwnikiem Hitlera. I to jakim! Po prostu palił się, żeby z nim walczyć! Dostarczył nam od razu, na początek, wiele ogromnej wagi dokumentów. A wkrótce dzięki pracy naszych ludzi w Niemczech miałem w ręku niezbite dowody, że to stary agent Abwehry. Podrzucony nam... Żeby inspirował grę! Przesłuchiwałem go. Przyznał się, a jakże! Opowiadam to panu nie gwoli swawoli. Te cholerne Szwaby, Abwehra, to spryciarze! To faceci z pomysłami! Ale i my nie wypadliśmy sroce spod ogona. Wiemy co to gra!

Stał teraz za biurkiem, wyciągał rękę na pożegnanie. Kossowicz zerwał się, stanął na baczność, zebrał się w sobie i zadał już ostatnie pytanie:

— Jak mam, panie pułkowniku, traktować Hochmana? Jak więźnia? Czy jak gościa?

— Uprzejmie. Elegancko — powiedział Klon ze znudzoną już miną. — Byleby nie wychodził na dwór. Byleby ani chwili nie był sam. Byleby nie wdawać się z nim w rozhowory. Coś jeszcze?

Adam chrząknął i poczuł, że się czerwieni.

— Jeszcze tylko sprawa osobista...

— Słucham?

— Do Łodzi przyjechała moja narzeczona Czy mógłbym ją jakoś powiadomić...

— ...gdzie jesteście? — zdumiał się na samą taką myśl pułkownik Klon-Sawicki.

— Nie. Tylko kiedy wrócę...

— A wie to pan?

— No... nie — przyznał Kossowicz i pomyślał z goryczą, że się wygłupił.

— Zatem o czym tu mówić?

I Klon popatrzył na Adama trochę zgorszony, trochę ubawiony. Uśmiechnął się półgębkiem.

— Ale niech pan napisze do panny Łoś kartkę. Tak ogólnie, że służba i te de. Postaram się, żeby jej to doręczono.

Kossowicz na moment zbaraniał. A pisząc kartkę do Helki (w pośpiechu wyrwaną z brulionu) łamał sobie głowę skąd Stary wie jakie jego narzeczona nosi nazwisko.

Klon kartkę złożył w czworo i schował do portfela.

— No, podporuczniku Kossowicz, powodzenia — mruknął.

* * *

Upał. Kłopoty. Na schodach ciężkie kroki Zenka. Adam od razu je poznaje. Plutonowy wchodzi dźwigając tekturową, tanią walizkę.

— Melduję się po zakupach! — mówi wesoło.

— Dostaliście dla niego... — pyta Adam i ruchem głowy wskazuje Niemca. Ta Braszka, taka nędzna mieścina, nawet zakup byle jakiego ubrania wydaje się tu niemożliwy. Ale Zenek śmieje się:

— Żydy by nie miały! — mówi triumfalnie i wylicza: — Ubranie, koszula, buty, nawet skarpetki jedwabne i krawat a la mode. A jakie szelki! Wiedeńskie! Niemca wystrychniemy jak do ślubu. Albo na katafalk. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do okna.

— Żydy w wielkim strachu — powiedział szeptem. — One mają swój wywiad. Mówią, że źle. Będzie wojna...

Adam odpukał ukradkiem w niebejcowaną etażerkę.

— Żydy mówią o wojnie bez przerwy już parę lat...

— Te co bogatsze pakują się. Jeden tutejszy groshandeles przed chwilą już wyjechał, na łapu capu. W trzy ładowane furgony. Z całym majdanem, z Salcią i Srulkami.

— Szczury uciekają z okrętu.

— Jakie tam szczury — oburzył się nieoczekiwanie Zenek. — Ludzie! I mądrzy! Z głową na karku!

— Boicie się?

— Ja? — powiedział Zenek i przyjął postawę obronną. — Ja tam się niczego nie boję.

— Dobra, dobra — powiedział Kossowicz. — Na razie jeszcze pokój...

— Tylko widzi pan porucznik, niedobrze że my się pętamy tu, przy granicy. Jakby zaczęło się, to lepiej być przy Sztabie Armii, niż tu w jakimś zasranym batalionie... Bliżej ołtarza mocniej pachnie kadzidło.

— Na razie wojna jeszcze nie wypowiedziana.

— Ja jej nie będę wypowiadał — wzruszył ramionami Zenek. — Ale Żydy mówiły, że Hitler musi zrobić wojnę na cały świat, bo tak jest napisane w ich żydowskich księgach. Że Hitler jest nowy Herod.

Kossowicz poczuł się bardzo zmęczony tą gadaniną.

— Jeszcze tylko dwa słowa. Co pan porucznik na to, że Żydy wiedzą o naszym Niemcu? Gadają, że to ważna szyszka. I z listem od Hitlera przyszedł.

— Przestańcie pieprzyć trzy po trzy.

Zenek zaśmiał się nieprzyjemnym chichotem.

Niemiec pogrążony w myślach tkwił bez ruchu cały w plamie słonecznej. Chwilami na jego twarzy pojawiał się wyraz zniecierpliwienia i gniewu. Wtedy wstawał, zapalał papierosa z paczki „Płaskich", jakie dał mu Adam. Zaraz niedopałek gniótł nerwowo w popielniczce. I znów siadał na kanapie. U nóg trzymał niewielką tekturową walizkę ze swymi rzeczami. Był gotowy do drogi.

Słońce zapadło za strzechą domu naprzeciwko. Zapadał zmierzch. Po kolacji, którą na górę przyniósł Zenek, do drzwi zapukał major Wilczyński. Spojrzał na Niemca rzeczowym, oceniającym wzrokiem, potem samymi oczami dał znak Adamowi, że chce z nim mówić.

— Przepraszam, że pana tak wywołałem — powiedział na schodkach szeptem. — Bryczka będzie za pięć minut. Matula jest poinstruowany jak ma jechać. Hasło na dzisiejszą noc na odcinku dywizji — Liswarta. Odzew — Lwów. Szczęśliwej drogi.

Uścisnął na pożegnanie Adamowi rękę, ale zwlekał z jakiegoś powodu.

— A to się nam trafiło! — powiedział patrząc w bok. I jeszcze nie odchodził. — Tylko niech pan ma oko na tego Szwaba.

— Ma się rozumieć.

— Wszystko może się zdarzyć. Żeby mnie pan dobrze zrozumiał: trzeba uważać na niego! Bardzo uważać.

Zakaszlał sucho, jak to palacz. W tej nerwowej atmosferze przygranicza, Adam się tego łatwo domyślił, cierpiał na przemożną chęć pogadania z kimś „z góry", a tak właśnie traktował tego młodego półcywila, lecz przecież sztabowca. Sztablera.

— Szkoda, że nie mogę pana zawieźć na naszą pierwszą linię. W ogóle szkoda, że pan pułkownik tu jak po ogień... — powtórzył który to raz i znów westchnął. — Usłyszałby pan, co te przeklęte Szwaby tam za rzeką co noc urządzają. Zresztą ja nie muszę słuchać. Mam niejedno ucho. To takie miasteczko. Pomaga. I chłopi, co wracają z robót, ze żniw, dość mi naopowiadali. Ze szczegółami...

Adam milczał. Wilczyński namarszczył czoło i wyglądał jak uosobienie ciężkiej troski.

— Przeczucie mówi mi, ale nie żadne babskie przewidywania, tylko instynkt starego żołnierza, że lada chwila się zacznie.

— Lecz te pertraktacje dyplomatyczne...

— Na mój rozum teraz już nie pora na gadanie. I dlatego ten Niemiec...

Urwał w pół zdania.

— Co ten Niemiec?

— Ech, nie warto i mówić.

— Sądzi pan major, że ich przewaga w sprzęcie...

— Co ja sądzę! — powiedział zgaszonym głosem Wilczyński. — Nie pamięta pan co pisał Marszałek? Że Polacy od dwustu lat liczą zawsze tylko na pomoc Bożą? Będziemy ich bić manewrem, znajomością terenu — zmusił się do lżejszego tonu. Zabrzmiało to nieprzekonywająco, więc dodał. — A potem zacznie się bitwa odwodów. No i zobaczymy co potrafią nasi sprzymierzeńcy na Zachodzie. Żeby tylko im się chciało naprawdę wojować. Będzie, co Bóg da. O, zajechała bryczka

c.d.n.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JAN BĄBIŃSKI

ZŁOTY ZEGAREK

Stali się dobrze widoczni, gdy w wagonie rozbłysło światło. Dojrzałem, że wychylony do przodu konduktor miał cofnięty podbródek, rozbiegane oczy i wyblakłą twarz. Ten drugi siedział prosto jak świeca. Uderzały w nim czerwone lica i śmiejące się wyłupiaste oczy. Obaj tak byli sobą zajęci, że wcale nie zwracali na mnie uwagi. Tymczasem pociąg, kołysząc się po wyżwirowanym nasypie jak łódka po sfalowanym morzu, nabierał szybkości. Za oknem stała już ciemność. Na jej tle tym wyraziściej tańczyły i migotały szybko przesuwające się lampy przy drogach.

Znów zebrało mi się na drzemkę.

Przymknąłem powieki opierając głowę o miękkie obicie siedzenia.

— To naprawdę ze złota? — dobiegł mnie pytający głos konduktora.

Usłyszałem pełen zadowolenia śmiech tego drugiego.

— Jak chcesz to mogę otworzyć, żebyś obejrzał sobie od razu próbę i wybity numer.

— Nie, po co — powiedział z ociąganiem konduktor. — Jak mówisz, że ze złota, to już wierzę ci na słowo. Czym otworzysz? Trzeba by scyzorykiem, a jak się porysuje kopertę to będzie to na mnie. A gdzieżeś go kupił?

— W Łodzi.

Zapadło dłuższe milczenie. Chyba przedrzemałem parę minut, bo gdy się obudziłem, konduktor mówił już o czym innym.

— Marcinkowa nagadała o tobie różności.

— Co takiego? — spytał ten drugi.

— Gadała, żeś wpędził Kazimierczoka do grobu, a mógłby jeszcze długo pożyć.

— Jak Boga kocham, czy ci na rozum padło, czy jak? Przecie znamy się od młodości. Wiesz, jaki zawsze byłem. Co mi do Kazimierczoka, sam przeciągnął za bardzo linkę i w tym cała bieda. Przekręciło mu się w łepetynie, jak sprzedał na budowlane działki morgę piachów co ją miał przy lesie. Jak tylko poczuł grubszą gotówkę, tak od razu uwiesił się butelki. Co dużo gadać, Kazimierczok i wprzód tym nie gardził, jeszcze by czego, ale nie to żeby się delektował i ciągnął z półlitrówki do samego dna. Miał jeszcze rozeznanie, szklaneczka nie zaszkodzi, jak trzeba się bardziej przyłożyć do roboty, a sił w człowieku już zaczyna brakować.

— Ja też tak myślę — odezwał się konduktor. — Ale nie upilnujesz, każdemu może się przytrafić jakieś większe popicie.

— No widzisz — przytaknął ten drugi. — Powiedz sam, co też pieniądz robi z ludźmi, przecie Kazimierczok mógł pomalutku, co dzień ćwiartuchę, a nie pić zaraz całymi litrami.

— To on cały liter obciągał? — głos konduktora zabrzmiał nie ukrywanym podziwem.

— Obciągał żebyś wiedział, mógł tak jak stał całą flachę wydoić i jeszcze szedł potem na własnych nogach do domu wcale po drodze nie błądząc.

— Marcinkowa opowiada, żeś go otumanił — powiedział konduktor.

— Ja bym go miał otumaniać? A jakim to prawem? Do czego był mi potrzebny Kazimierczok? Co mam to moje, po cudze ręki nie wyciągam. Jest u mnie kopyto, ma się rozumieć są skóry i nic mi więcej nie trzeba. Ludzie przyjdą, obstalują i dobrze zapłacą. Panieneczki z samego Wielunia przyjeżdżają do Woźnik i zamawiają kozaczki na wysokim obcasiku.

— No tak, tobie się poszczęściło — dobiegł mnie głos konduktora. — Masz dobry fach w ręku, dzisiaj szewstwo wiecej znaczy niż państwowe kolejarstwo.

— Kto ci kazał trzymać się kolei? — roześmiał się szewc. — Za bardzoś był wrażliwy na roboty przy gnoju i lekki chleb na kolei ci zasmakował. No to masz teraz czegoś chciał. Takim gościom co nic nie robią, tylko łażą po wagonach i dziurkują bilety, za dużo się już nie płaci. Tyle mają żeby do pierwszego wytrwali, bo ktoś to dziurkowanie musi przecież pozałatwiać.

— Nalatujesz na Marcinkową, a sam żeś nie lepszy — rozzłościł się konduktor. — Po co tyle tego gadania?

— Cicho, przecieżeś ziomek, rodzony swojak z tej samej parafii. Myślisz, że co mam to mi spadło z nieba? Jużeś zapomniał jakem o chłodzie i głodzie tłukł się na terminowanie do majstra Keniga w Wieluniu? Psie było życie, jak w jakim piekle, ale żem się przebił.

— Tak tak — przyznał z westchnieniem konduktor. — Takie dzisiaj czasy nastały, że ani chybi górą są szewcy, krawcy i ludzie co stają na swoim a nie na żadnej posadzie. Rzemieślnik wyżej dziś stoi od urzędnika i nauczyciela.

— A cóżeś myślał — szewc uwał i słychać było że cicho się roześmiał. — No tak, radze sobie to prawda ale za bardzo to bym też nie chwalił. Bo czegom się dochrapał przez te wszystkie lata? Zmarnowane jest moje życie, a sprawiedliwości nigdy nie było i nigdy nie będzie. Jedni żyją hucznie i wesoło, stawiają wille z garażami na działkach przy lesie, a człowiek jak ta dziadyga w jednej kapocinie siedzi w starej budzie, co już do cna się rozlatuje.

— Co ty? Przecież masz złoty zegarek. Sam mówiłeś, a może wcale nie złoty?

— Złoty, złoty, nic się nie martw. Chcesz to wyjmę, żebyś obejrzał jak się należy ze wszystkich stron.

— W Łodzi żeś kupił?

— Przecie mówiłem.

— A gdzie? —

— W sklepie przy Piotrkowskiej. Zegarek jest ze szczerego złota, firmowany, z numerem i pieczęcią. Majster Kenig to już co godzinę wyjmował swoją cebulę, żeby zaświecić mi nią w oczy. Twardy był człowiek zawzięty, a taki nieużyty, że choćby kto z głodu padał, kromki chleba by nie użyczył. Jak to mówią, u Niemca to nawet mucha się nie pożywi.

— Ile żeś zapłacił za ten zegarek?

— Ile?

— No tak, ile, o to właśnie pytam. I gdzieś go właściwie kupił, przecie w sklepach nie ma złotych zegarków.

— Są.

— Nieprawda.

— Mówię, że są, pokazały się w państwowych sklepach — zapewniał szewc. — Wchodzę ja do „Jubilera" co jest przy Piotrkowskiej, patrzę, a tu za szkłem leżą porozkładane na ladzie same złote zegarki. Życie nauczyło mnie ostrożności, dlatego pytam panieneczki za ladą, a czy to aby na pewno ze złota? A jakże, ona odpowiada, same złote zegarki naręczne, co dopiero przywiezione prosto ze Szwajcarii, duży transport tego nadszedł, a słychać, że dalsze są w drodze. Najtańszy jest ten płaski „Helvetia" trochę droższe są „Certiny" ten prostokątny waży siedemnaście gramów, czyste złoto, drugiej próby to znaczy osiemnastokaratowe, jeżeli już o to chodzi. Słucham tego wszystkiego, a potem zapytuję, a nie ma pani przypadkiem takich dużych zegarków kieszonkowych z czystego złota? Wtedy ta panienka w śmiech i powiada, że zegarki kieszonkowe już wyszły troche z mody, choć nic jeszcze nie wiadomo, bo teraz to znowu się odwraca do tych dawnych czasów i nastaje retro. Jeżeli chodzi o duże zegarki kieszonkowe to można je znaleźć w „Desie", parę metrów stąd, niech pan idzie i popyta. Poszedłem i rzeczywiście dwie wielkie cebule leżały w „Desie" za grubym szkłem. No i szybko jedną kupiłem, żebym ją czuł u siebie w kieszeni.

— Ileś za nią zapłacił?

— Ile?

— No tak, przecie za darmo nie dają.

Zapadło znowu milczenie.

— Mnie przecież możesz powiedzieć — nalegał konduktor.

— Dwadzieścia trzy.

— Patrzcie patrzcie — konduktor lekko zagwizdał. — To ci dopiero, a Marcinkowa rozpowiada, żeś do niczego nie doszedł, bo co masz to w te pędy przepuszczasz na gorzałkę i te inne rzeczy w mieście Łodzi.

Lekko uchyliłem powieki i dojrzałem jak szewc wysuwa rękę do przodu i ustawia kopertę zegarka pod blask lampy, by wzrok nasycić żółtawym ogniem bijącym od złota. Po czym z wyrazem zadowolenia na twarzy przyłożył zegarek do ucha. Konduktor też wlepił wzrok w pobłyskujące złoto i zamarł bez ruchu. Po chwili mlasnął językiem i powiedział:

— Ładna sztuka.

— A co, nie mówiłem, osiemnastokaratowe złoto, masz pojęcie.

— Marcinkowa opowiadała, że i owszem Kazimierczok nie wylewał za kołnierz, popijał, ale w miarę, dopiero tyś go zbałamucił, żeby ci stawiał i tak to potem poleciało.

— Wierzysz w to?

— Nie wierzę, ale słyszałem co mówiła.

— Jak tylko przyjadę, to powiem tej diablicy do słuchu, żeby zapamiętała — rozzłościł się szewc. — A może lepiej udać głupiego? Jak myślisz? Czy to kto dojdzie do ładu z tą przeklętą sekutnicą. Nie powiem, Kazimierczok łebski był człowiek, co robił to z pomyślunkiem i bez hałasu. Jak robotę w polu kończył, to wedle potrzeby szedł po półlitrówkę do geesu i przynosił, żeby wypić co do kropli i sobie w krzyżu ulżyć. Był tego zwyczajny.

— Marcinkowa gadała, żeś go tamtej niedzieli spił do nieprzytomności.

— To diablica dopiero.

— Mówiła, że od tego się zaczęło.

— Co takiego? — głos szewca zabrzmiał ponuro. — Nic mi do tego co się stało.

— Marcinkowa mówi, żeś go schlał.

— Nieprawda. Kazimierczok sam mi się wtedy napatoczył. Patrzę, lezie przez pole jak to on, wyciąga flachę i powiada, no to Bronek napijmy się pod to słoneczko, co tak ładnie przyświeca i za te wszystkie lata cośmy ze sobą przeżyli w zgodzie i po sąsiedzku. Jesteś mi tu przecie jak ten rodzony brat, zawsze ze mną na dobre i złe. To my wypili. Dlaczego by nie. Czy miałbym wzgardzić Kazimierczokiem i go odepchnąć? Za żadne skarby. Potem on poszedł wolniutkim kroczkiem i wedle własnej woli do domu, a że tak to się skończyło, to już nie moja sprawa i nie moje przewinienie. Przecieżem go prosił, zostań jeszcze, taki ładny dzień, aż miło oddychać, pogadamy sobie, ale gdzie tam, nie dawał się zatrzymać i wyrwał się na siłę. To co miałem niby robić?

Zdrętwiała mi noga. Przy zmienianiu pozycji otworzyłem nieco oczy. Obaj mężczyźni siedzieli bez ruchu, zatopieni w myślach. Twarz szewca zionęła wściekłością. Gdy podniósł głowę i rozejrzał się, błyskawicznie zamknąłem oczy. Pociąg pędził na dużej prędkości. Szyny stukały rytmicznie i jednostajnie. Bliski byłem ponownej drzemki, gdy dobiegły mnie ściszone słowa szewca.

— Jak to ludzie, opowiadają niestworzone rzeczy. Ja bym o Kazimierczoku nie powiedział jednego złego słowa. Gospodarz był z niego skrupulatny. Do roboty miał lekką rękę. Chłopisko na schwał, przecie pamiętasz jak wyglądał, konie to można było z nim kraść choćby u samych Cyganów. Porządny był człowiek honorowy, jak kto mu postawił to i sam stawiał, no tak podwójnie stawiał. Jedno tylko zrobił głupstwo, że dał się przez babę zaprząc do takiego kieratu i tyrał jak głupi osioł przez całe swoje życie. Od tej roboty dostał po mojemu kręćka. Dał sobie łeb wepchnąć w chomąto i to go zgubiło. Ale szanować by trzeba takich ludzi. Ordery im dawać. Konie miał Kazimierczok galante, cała gospodarka taka piękna, dwadzieścia mórg ziemi. Zwoził z pola furę za furą, paszy to już było u niego w bród. Przecie wiem, nawiózł sąsiek, seradeli, drugi sąsiek żyta, trzeci sąsiek siana, czwarty sąsiek naładował znowuż tej słomy. Sam porobił sobie pustaki, sam dom otynkował, na ciesielce się rozumiał, robotny był człowiek, ani minuty nie przesiedział spokojnie. Gospodarz był z niego akuratny. Dopiero pod sam koniec wszystko mu się nagle ni z tego ni z owego pokiełbasiło. Tamtej niedzieli przywiązał jeszcze normalnie krowy, co go właściwie inni ludzie też widzieli. Czy go jakie zło ugryzło, żeby potem zrobić u siebie w domu taką rozegrę?

— Marcinkowa inaczej mówiła — wtrącił konduktor. — Mam ci powiedzieć jej słowami?

— Gadaj, gadaj, a dyć my kumple od małości, przed kim masz to serce otwierać, jak nie przede mną. Niech chociaż wiem, co ta cholera rozsiewa o mnie między ludźmi.

— Marcinkowa mówi, że w twojej izbie, gdzie śpisz, to już gorzej cuchnie jak z gnojowiska i gnijesz od środka od tej gorzoły. Dobre z ciebie ziółko, dobre nie ma co, ona mówi, ale swój rozum masz. Zbierasz co lepsze łagódki w lesie, liście lulkowe, jeszcze dziką różę, igliwie z jodełki, pączki brzozowe i ciągniesz z tego jak należy nalewkę do gorzoły. Marcinkowa gada, że to leśne soki trzymają się jeszcze przy życiu, bo inaczej to byś już się przekoziołkował i gryzł ziemię od dawna.

— Nie mówiłem, że Herod nie baba — zachrypiał głos szewca. — Co jej do tego? Czego się czepia? Ziołówka, nie powiem umarlaka wskrzesi i na nogi postawi. A ty coś taki wygadany, skąd ci się to wzięło?

— Tak sobie gadam, ale gdyby to była prawda, co rozpowiada Marcinkowa, to byś przecie nie mógł mieć złotego zegarka.

— Ano, sam widzisz — roześmiał się cicho szewc.

— Czy jest aby szczerozłoty? Może cię oszukali? Teraz tak pozłocą na grubym podkładzie, że nie poznasz, choćbyś skrobał po wierzchu.

— Chcesz to go wyjmę jeszcze raz i otworzę kopertę, żebyś dokładnie obejrzał.

— No to otwórz, masz tu scyzoryk i otwieraj.

Po dłuższym milczeniu odezwał się konduktor:

— Prawdziwie złoty, przecie widzę, druga próba, znaczy się osiemnastokaratowy. No, no, a jaka gruba koperta, cyka równiutko, chodzi i tyka srebrzyście jak te dzwoneczki, tik tak, tik tak, aż miło posłuchać. Toś dał za niego dwadzieścia tysięcy?

— Dwadzieścia trzy.

— Jak kiedy zobaczę Marcinkową to jej powiem żeby sobie jęzor lepiej przywiązała do kołka, bo tylko zmyśla i oczernia ludzi. Jakbyś wszystko co zarobisz topił w kieliszku, to byś przecie na to nie miał, żeby sobie zafundować prawdziwie złoty zegarek.

— Sam widzisz.

— A jaki ciężki.

— Ma te swoje czterdzieści gramów.

— Toś daleko zaszedł, będziesz teraz paradował ze złotym zegarkiem w kieszeni.

— Ano, Bóg dał.

— Jak to się stało z Kazimierczokiem?

— Zwyczajnie.

— Ale jak, przecie tak z niczego to by nie mogło się przydarzyć.

— W niedzielę to się stało.

— Ale jak — naciskał konduktor.

— Nic wielkiego, rankiem świeciło słońce, zrobiło się ciepło i pogodnie, mogła być czwarta po południu jak usłyszano ten krzyk w domu u Kazimierczoka. O Jezu... O Jezu... a potem nastała cisza i każdy wrócił do swoich zajęć, po co mieszać się do nie swoich spraw. Upłynęło trochę czasu, ludzie patrzą, a tu do góry idą płomienie. Paliło się u Kazimierczoków. Wtedy to już kto żyw skoczył na ratunek.

— To Kazimierczok w ogniu skończył?

— Nie inaczej.

— Straszne.

— Żebyś wiedział. Wpierw wygrzebano z pogorzeliska w stodole jedno ciało, a potem to drugie. Nie było na co patrzeć. Com wtedy przeżył i zobaczył jeszcze dziś odzywa się we snach. Nie daje się zapomnieć. Stojąc tak przy stodole wszyscy żeśmy pomyśleli wtenczas to samo, Kazimierczok zatłukł w szale swoją żonę siekierą, a jak już ducha oddała, przytaszczył ją do stodoły, żeby ślady pozacierać oblał benzyną i przyłożył zapałki. Albo za dużo tego wylał albo co, dosyć że buchnęło też ogniem na niego i tak jak stał spalił się żywcem. Kara boska nic innego. Tak skończył.

— To on Helkę zatłukł siekierą?

— Tak było.

— Coś takiego, pamiętam co to była za dziewczyna, jaka żywa, jaka śmiała, jak żartować lubiła.

— Sam widzisz — wymamrotał szewc. — Helka tyle lat trzymała chłopa w cuglach, kroczka nie mógł bez niej zrobić. Za krótko go ujęła dlatego się rozbrykał i go poniosło. Przez ostatnie dwa lata Helka zestarzała się nie do poznania. Coś w niej trzasnęło i przydusiło do ziemi. Ja ci powiem ona też miała za swoje. Ile razy przez całą noc oka nie zmrużyła ze strachu. Przecie wiem, płakała mi tu, na tym moim ramieniu. Kazimierczok już sobie żyły prul, kiedyś po pijanemu skoczył do studni, żeby się widocznie utopić, to Helcia wyleciała z krzykiem, ludzie ratujcie, ratujcie, ludzie przylecieli i wyratowali. Przecieżem był przy tym jak tu siedzę. Ile razy Helcia do mnie w nocy przylatywała, teraz to już mogę o tym mówić, ile razy uciekała do lasu, nikt już o tym nie wie, co ona wycierpiała, bo dusiła to w sobie. Raz po dłuższej kłótni Kazimierczok skatował ją do nieprzytomności, oblał potem zimną wodą, wrzucił do piwnicy i znowuż katował. Przez miesiąc nie mogła się potem podnieść z łóżka. Tak było. Trudno pojąć, bo człowiek z Kazimierczoka był porządny, że tylko do rany przyłożyć. Ale jak wypił to już nie podchodź, ryczał i przewracał ślipiami, sam wtedy się go bałem, miał takie swoje zagrania.

Po dłuższym milczeniu konduktor znienacka zapytał:

— Słuchaj, a może ten twój zegarek taki lipny, jak trochę pochodzi to stanie i nikt go już nie naprawi, bo skąd do niego wziąć te różne części zagraniczne?

— Co ty, złoty zegarek? Przetrzyma nas wszystkich i jeszcze będzie chodził.

— No tak, złoty zegarek masz, ale przecie nie masz do niego złotej dewizki.

— Dewizki?

— Jakże inaczej, złoty zegarek bez złotego łańcuszka, to jak pies bez ogona.

— Cóż ty znowu pleciesz? — zdało mi się, że w głosie szewca zabrzmiało zaniepokojenie.

— Jakem był mały, to przecie widziałem jak pan Kolasiński wyjmował z kieszeni taki złoty i wielgachny zegarek. Tak, tak, pamiętam, miał na brzuchu ten zegarek zawsze na złotym łańcuszku. Z czarnej marynarki obowiązkowo wyłaziła mu dewizka i pobłyskiwała w słońcu jak jakie brylanty. Pan Kolasiński miał kapelusz na głowie, srebną spinkę w krawacie, laseczkę w ręku i zegarek na złotej dewizce. Bez tego ani rusz. A ty co? Gdzie niby masz złotą dewizkę do tego zegarka?

Otworzyłem nieco oczy. Szewc zaczął rozpinać kołnierzyk jakby mu się raptem zrobiło gorąco. Wyjął chusteczkę i ze zmartwiałym wyrazem na twarzy otarł pot z karku. Konduktor, który wydał mi się dotychczas jakiś niemrawy i ospały, podniósł się z niespodziewaną energią, poprawił rękawy znoszonego munduru i zawołał, patrząc na mnie podejrzliwie:

— Bilety proszę do kontroli, bilety proszę — w głosie konduktora wyłowiłem nutkę cichego jakby triumfu.

Foto: Archiwum

Opowiadanie z tomu „Nadwarciańskie zapiski", wyróżnionego na konkursie literackim w Sieradzu w 1979 roku.

GENERAŁ KUTRZEBA

Świetnym akcentem uczcił rocznicę Września Teatr Telewizji Polskiej. Widowisko „Armia Poznań" w reżyserii Henryka Kluby i ze Zbigniewem Józefowiczem w dominującej roli generała Tadeusza Kutrzeby (przyjemnie stwierdzić, że obaj twórcy to łodzianie, choć całość firmował Zespół Poznański TP) zasługuje na szczególną uwagę zarówno ze względów ideowo-treściowych jak i realizacyjnych.

Scenariusz „Armii Poznań", pióra poznańskiego pisarza-batalisty Jerzego Korczaka, redukuje złożone losy kampanii wrześniowej do jednego, niezwykle ważnego epizodu — bitwy nad Bzurą. Kolejną redukcją jest ograniczenie spektaklu do ukazania sztabu armii „Poznań" w działaniu, w tym głównie jej dowódcy, generała Kutrzeby. Ten cały układ redukcji prowadził do bardzo telegenicznego w swoim założeniu zagęszczenia.

Silną stroną telewizji nie jest bowiem szeroko pojęta epika. Widoki krajobrazowe, sceny bitewne zminiaturyzowane do rozmiarów małego ekranu tracą swój głęboki oddech, są raczej szkicem do obrazu niż obrazem samym. Nie ogólny plan, ale zbliżenie stanowi domenę telewizji. Jeśli więc cała koncepcja widowiska Korczaka i Kluby polegała na przybliżeniu, na skameralizowaniu wydarzeń wojennych, na zaprezentowaniu ich nam metodą reprezentacji, to w tym zawarta już była część końcowego sukcesu.

Pozostając przez cały prawie czas w czterech ścianach pomieszczeń sztabowych, czasem tylko wychodząc w plener (bardzo dobre zdjęcia filmowe Witolda Mickiewicza!), Kluba przypomina co pewien czas, że wszystkie dialogi sztabowe mają swoje bezpośrednie odniesienie w konkretnych działaniach bojowych. Te przypomnienia to wpuszczanie telekina z autentycznymi materiałami kronikalnymi. Każde takie intermedium dokumentarne trwa z woli reżysera zaledwie parę sekund, tyle że zdąży dotrzeć do naszej świadomości i już wygasa na ekranie, spełniwszy swoją rolę, a nie rozbijając ciągłości akcji głównej widowiska. Uważam sposób wykorzystania kronik filmowych w spektaklu za nienaganny.

Ewenementem widowiska poznańskiego jest nowe, sprawiedliwe ukazanie wybitnego wkładu polskich dowódców w kampanię wrześniową. Upływ czasu ma to do siebie, że obiektywizuje fakty i pozwala właściwiej je interpretować. Daleko odeszliśmy już od głoszenia tezy, że we wrześniu bohatersko walczył tylko szeregowy żołnierz polski, samotny, opuszczony przez dowódców...

Generał Kutrzeba jest pięknym przykładem dowódcy, który do końca, z wielkim talentem strategicznym i wiedzą fachową wypełnił swój żołnierski obowiązek. W bitwie nad Bzurą, wbrew załamującym się frontom, potrafił przejść do działań zaczepnych i poważnie zagrozić zwycięsko prącym do przodu pancernym kohortom niemieckim. Wprawdzie przegrał bitwę, musiał ją przegrać, ale przecież zapisał się trwale w historii Września 1939. A wiemy, że nie on jeden, że obowiązek swój wypełnili generałowie: Franciszek Kleeberg pod Kockiem, Walerian Czuma i Juliusz Rómmel w Warszawie, Wiktor Thommée w Modlinie, kontradmirał Józef Unrug na Helu, że wyliczę najważniejszych. Z wymienianych tylko w spektaklu telewizyjnym generałów dwóch — Mikołaj Bołtuć i Stefan Dąb-Biernacki — poległo w walce, a ofiar generalskich w kampanii wrześniowej było dużo więcej.

To oddanie sprawiedliwości tym, którzy na to zasłużyli, jest wielką zasługą widowiska „Armia Poznań". A przecież nawet tych, którzy zawiedli, jak marszałek Rydz-Śmigły, generał Stachiewicz, czy generał Bortnowski, ukazali nam autorzy bez zacietrzewienia, w ich ludzkim wymiarze, przeżywających swój osobisty dramat na tle ogólnej klęski.

Dla nas, patriotów lokalnych, spektakl „Armia Poznań" miał jeszcze jedną szczególną wartość. Otóż wydarzenia wojenne w nim ukazywane rozgrywały się głównie na naszym terenie, w Sieradzkiem, Piotrkowskiem, Skierniewickiem i Łódzkiem, a nawet w samej Łodzi (jeden ze sztabowców Kutrzeby dociera do dowództwa armii „Łódź", mieszczącego się w nie istniejącym już pałacyku w parku Julianowskim). Starsi łodzianie pamiętają jeszcze nadzieje, jakie przez kilka dni łączyli z echami bitwy nad Bzurą, kiedy to ofensywa polska zbliżyła się do okupowanej już przez Niemców Łodzi na odległość około dwudziestu kilometrów.

Odczuwam dotkliwie jak rzadko kiedy wąskość ram wyznaczonych memu felietonowi przez redakcję. Tyle byłoby jeszcze do powiedzenia! Nie mogę jednak nie poświęcić paru przynajmniej zdań dojrzałemu, sugestywnemu aktorstwu Zbigniewa Józefowicza. Ma on swój walny wkład w ostateczny kształt ekranowy widowiska, nasyca je swoją osobowością, tworzy pełny obraz wybitnego dowódcy i człowieka. To ważna rola w pięknej, stale rozwijającej się karierze tego aktora! Z partnerów jego na wspomnienie zasługują: Michał Pawlicki (gen. Bortnowski), Janusz Zakrzeński (gen. płk Johannes von Blaskowitz) i Michał Grudziński (płk Lityński).

NA 10 GODZIN PRZED AGRESJĄ

Na czterdziestą rocznicę wybuchu II wojny światowej Telewizja Polska przygotowała pełnometrażowy film „Operacja Himmler". Obraz ten powstawał w przyspieszonym tempie, gdyż na ile mi wiadomo jeszcze w czerwcu trwały zdjęcia plenerowe w Gliwicach. Kto zna choć trochę filmową kuchnię, skomplikowane procesy montażu, udźwiękowiania, postsynchronów, ten może sobie wyobrazić, w jakim obłędnym rytmie musiała pracować ekipa realizatorów, by w dniu 1 września film mógł być emitowany na małym ekranie.

Myślę jednak, że skracanie poszczególnych etapów produkcyjnych jest jedną z cech charakterystycznych, różniących film telewizyjny od kinowego. Obrazy przeznaczone na wielki ekran są wypieszczone, z wielką starannością dobiera się kadry i sekwencje, dbając o plastyczną formę dzieła. Równa staranność cechuje pracę nad ścieżką dźwiękową, nad jej poszczególnymi komponentami, jak efekty akustyczne, muzyka, dialogi. Mały ekran ma o wiele bardziej ograniczone możliwości przekazu tych wszystkich subtelności niż ekran kinowy. Dlatego film telewizyjny nie wymaga zapewne takiej precyzji wykonania.

Nie znaczy to jednak, że film telewizyjny we wszystkich aspektach ulega kinowemu. Właśnie w telewizji możliwa jest decyzja o szybkiej realizacji filmu, co umożliwia reagowanie na potrzebę chwili. „Operacja Himmler" wydaje się tego widomym dowodem.

Za temat filmu posłużyła słynna prowokacja gliwicka, która miała miejsce mniej więcej na 10 godzin przed atakiem militarnym hitlerowców na Polskę. Opanowanie niewielkiej radiostacji w Gliwicach przez grupę rzekomych powstańców, czy dywersantów polskich w dniu 31 sierpnia 1939 roku o godzinie 20 miało stanowić koronne uzasadnienie agresji na Polskę, a jednocześnie zwolnić Anglię z obowiązku udzielenia nam pomocy wojskowej. Układ sojuszniczy między Polską i Wielką Brytanią, podpisany 25 sierpnia 1939 roku, przewidywał bowiem pomoc jedynie w przypadku zaatakowania jednej ze stron przez Niemcy. Szyta grubymi nićmi operacja „Himmler" miała w oczach świata uczynić z Polski agresora.

Można by sam pomysł prowokacji uznać za niepoważny i z góry skazany na kompromitację. Nie należy jednak zapominać, że zajęcie radiostacji gliwickiej, podobnie jak i inne incydenty graniczne wywołane rzekomo przez Polaków, przewidziane były jako materiał dla goebbelsowskiej propagandy. Ta zaś w swoim załganiu nie przykładała wagi nawet do prawdopodobieństwa cytowanych przez siebie „faktów".

Film „Operacja Himmler" w zbeletryzowanej formie przedstawia przygotowania i realizację prowokacji hitlerowskich. Zgodność z historycznym przebiegiem wydarzeń weryfikują nazwiska autorów scenariusza, znanych historyków — Włodzimierza T. Kowalskiego i Eugeniusza Kozłowskiego. Oparli się oni w swej pracy na zachowanych dokumentach sprawy.

Reżyserię filmu powierzono łódzkiemu reżyserowi Zbigniewowi Chmielewskiemu, którego sprawność realizatorską mieliśmy szansę niejednokrotnie stwierdzić na małym ekranie, zwłaszcza w przypadku seriali telewizyjnych. Dialogi napisał także rutynowany fachman telewizyjny Andrzej Szypulski.

Na podkreślenie zasługuje również staranny dobór wykonawców, wśród których obok kilku znanych aktorów znalazło się sporo twarzy filmowo nie opatrzonych, co należy zapisać na plus filmu. Ryszard Pietruski ma do odnotowania znaczącą rolę Hitlera. Aktor podszedł do interpretacji tej postaci w sposób wystudiowany, tak jak tego wymagał dokumentarny charakter filmu. Osobiście wyżej postawiłbym kreację Pietruskiego w roli Hitlera niż Henryka Bisty, który przedstawiał fuehrera w cyklu telewizyjnym „Przed burzą". Bista poszedł chyba zanadto w kierunku karykaturalnych deformacji postaci.

Z innych wykonawców ról w „Operacji Himmler" wyróżniłbym Eugeniusza Kujawskiego jako szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, SS-obergruppenfuehrera Reinharda Heydricha, Stanisława Frąckowiaka jako bezpośredniego wykonawcę operacji „Himmler", SS-sturmbannfuehrera Alfreda Naujocksa i Wirgiliusza Grynia w roli komendanta szkoły szermierczej SS.

Film Chmielewskiego daje klarowny obraz historycznych wydarzeń, dozując odpowiednio napięcie, w czym niebłahą rolę odgrywa muzyka skomponowana przez Piotra Marczewskiego.

Nie oznacza to jednak, by „Operacja Himmler" ustrzegła się wszelkich niedostatków. Może właśnie zawinił tu nadmierny pośpiech? Główne moje zarzuty dotyczą dialogów. Miejscami przeładowane są one informacjami i przejawiają tendencje do stawiania kropek nad „i". Nie do końca chyba przemyślał reżyser sceny z udziałem więźniów obozów koncentracyjnych, użytych w prowokacji w charakterze „konserw". Zabrzmiały one (te sceny) sloganowo, nieprzekonywająco. Wreszcie powtórzyć należy niemal stały w stosunku do polskich filmów zarzut: nadmierna dowolność naszywek i epoletów przy uniformach hitlerowskich.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PARODIA W HOŁDZIE

Reżyser, scenarzysta i producent w jednej osobie, Mel Brooks, umieścił w czołówce filmu „Lęk wysokości" inskrypcję, z której wynika, że dzieło pomyślane jest jako hołd złożony mistrzowi suspensu, Alfredowi Hitchcockowi. Istotnie, „Lęk wysokości" jest antologią nieźle sparodiowanych wątków z wielu najsłynniejszych filmów wielkiego reżysera. Brooks nie poprzestał jednak na kopiowaniu pomysłów Hitchcocka dodał szereg własnych i w rezultacie powstał bardzo śmieszny film, który nie tylko bawi, ale daje widzowi satysfakcję odczytywania zawartych w nim aluzji.

Tak więc z uciechą widzimy, że bohater filmu, dyrektor zakładu psychiatrycznego „dla bardzo, bardzo nerwowych" (grany przez samego Brooksa), cierpi na taki sam lęk wysokości, jak bohater filmu „Zawrót głowy", środowisko medyczne nieodparcie przywodzi na myśl lekarzy z filmu „Urzeczona", znaki świetlne dawane dyrektorowi przez jednego z pacjentów ewokują „Okno na podwórze", zaś sekwencja ataku ptaków na bohatera jest naturalnie rodem z „Ptaków" (choć w „Lęku wysokości" ptaki posługują się inną niż u Hitchcocka, znacznie groźniejszą bronią).

Tylko rozwikłanie zagadki morderstwa, o które posądzony jest bohater, dokonane jest w sposób, jakim posłużył się Antonioni w „Powiększeniu", co może wywołać protesty koneserów, którzy w filmie poświęconym Hitchcockowi chcieliby widzieć Hitchcocka.

Satysfakcja zatem jest spora, ale niestety nie taka, jaką by być mogła, gdyby znane widzowi polskiemu były inne filmy Alfreda Hitchcocka, dotychczas u nas nie pokazywane.

I tak nazwisko bohatera „Lęku wysokości", Richarda H. Thorndyke, jest dziwnie podobne do nazwiska bohatera filmu „North by Northwest" („Północ ku północnemu zachodowi"), Rogera O. Thornhilla. Różnica środkowego inicjału nie jest zresztą przypadkowa i nieodparcie przywodzi na myśl Hitchcocka, chociaż Brooks skromnie twierdzi, nie chcąc stawiać kropki nad i, że chodzi tu o Harpo, jednego z braci Marx. Z „North by Northwest" pochodzi również kluczowy moment wątku sensacyjnego, kiedy Thorndyke zostaje obciążony zarzutem morderstwa, znalazłszy się na miejscu zbrodni z narzędziem tejże w ręku.

Z filmu „Psycho" („Psychoza") zaczerpnięta została scena napadu na bohatera pod prysznicem, tylko zamiast noża użytego w tamtym filmie napastnik posługuje się gazetą, z której spływają potem czarne smugi farby drukarskiej.

Metoda, którą stosuje bohater „Lęku wysokości" aby przejść przez kontrolę policyjną na lotnisku, jest rodem aż z dwóch filmów Hitchcocka, mianowicie z wspomnianego już „North by Northwest" i z „Torn Curtain" („Zerwana kurtyna"), chociaż wykorzystywana już była przez innych reżyserów i polskiemu widzowi znana jest choćby z filmu Hillera „Transamerican Express".

Abstrahując jednak od czytelności aluzji, wkład samego Brooksa w jego dzieło nie może pozostać niedoceniony. Reżyser ten specjalizujący się w parodiach, ma już na swoim koncie szereg filmów, które przyniosły mu zasłużony rozgłos. Widzieliśmy już jego „Nieme kino", zobaczymy niedługo (prawdopodobnie w październiku) „Młodego Frankensteina". Inne filmy Brooksa to „Producers" („Producenci"), „Twelve Chairs" („Dwanaście krzeseł"), i „Blazing Saddles" („Płonące siodła").

Skala jego środków wyrazu obejmuje zarówno cienkie aluzje jak czysto farsowe gagi. Nie cofa się nawet przed przeszarżowaniem. Tworzy to specyficzny klimat komiczny, dzięki któremu filmy Brooksa zyskały uznanie najszerszej widowni, także i tej wybrednej.

W filmie „Lęk wysokości" znajdujemy to wszystko w wykonaniu sadystycznej siostry miłosierdzia o nazwisku Diesel, masochistycznego lekarza psychiatry, mordercy-psychopaty, wiernego szofera ogarniętego manią fotografowania, komicznego starego profesora psychoanalityka, pacjenta zakładu psychiatrycznego, przekonanego że jest cocker-spanielem pięknej blondynki i wreszcie samego doktora Thorndyke, laureata nagrody Nobla.

Dla Brooksa nie ma nic świętego. Nie oszczędza nawet Franka Sinatry, którego parodiuje Thorndyke śpiewając tytułową piosenkę. Nawet operatorzy dostosowują się zatem do nastroju filmu i już to przy zbliżeniu tłuką obiektywem kamery szybę w drzwiach już to na końcu filmu cofając się rozwalają ściankę dekoracji, niewiele się tym przejmując, bo pewnie „nikt tego nie zauważy".

Ilustracja muzyczna, również w najlepszym Hitchcockowskim stylu, znakomicie uzupełnia klimat pozornej grozy.

W sumie zabawa jest doskonała i jeśli któryś z widzów nie wyjdzie z filmu „Lęk wysokości" w pełni usatysfakcjonowany, powinien pretensje kierować nie pod adresem reżysera, ale Centrali Rozpowszechniania Filmów, która zanim sprowadzi do Polski dobre filmy, pokazuje nam najpierw ich parodie.

BRONISŁAW PUŁASKI

SALON WYTRZEŹWIEŃ

Powieść Edmunda Niziurskiego „Salon wytrzeźwień", wbrew pozorom nie jest książką o izbie wytrzeźwień, chociaż jej ramowa konstrukcja zaczyna i kończy się właśnie tam, zdaje się to sugerować. Jest to bardzo gorzka książka o życiu, chociaż podana w formie nieco lekkiej. Bohaterem i jednocześnie narratorem jest młody, zdolny lekarz, który na skutek życiowych niepowodzeń pracuje w małym miasteczku i to z powodów bardzo wielu: zawód miłosny zbyt ciasne przepisy zawodowe wyznaczone mu przez przełożonych, brak odpowiedniego towarzystwa; zaczyna popijać. Z początku są to tylko okazjonalne popijawy ze znajomymi. Później alkohol zaczyna wciągać, staje się codziennym towarzyszem. Zaczynają się konflikty z przełożonymi, środowiskiem lekarskim, domowe. Traci jedną posadę po drugiej, pogłębiają się kłopoty pieniężne. W rezultacie postanawia opuścić miasteczko, wyjechać do Warszawy. Pragnie odnaleźć swoją dziewczynę sprzed lat, którą jeszcze kocha, a która owdowiała i próbować zacząć nowe życie. Wyjeżdża bez pieniędzy, w lichym ubranku, głodny i chudy. W Warszawie odnajduje dawnych przyjaciół. Na swój sposób jakoś starają się mu pomóc. Zaczyna pracować jako lekarz zakładowy w budującym się kombinacie ma nawet pewne osiągnięcia. Jest lubiany przez załogę. Ale fatalna opinia, jaką wyrobił o sobie w miasteczku dociera aż tutaj. Dyrektor waha się czy go zatrudnić. Poleca mu zjawić się na następny dzień, ale lekarzowi brakuje odporności. Napięcie jest zbyt wielkie. W barze spotyka przygodnych znajomych, pije i znów ląduje w izbie wytrzeźwień. Jego ogromny wysiłek żeby odmienić swoje życie, zerwać z nałogiem okazuje się mrzonką. Wraca skąd wyszedł. I tak już zostaje do końca. Już nie próbuje walczyć.

Edmund Niziurski: „Salon wytrzeźwień", Czytelnik, W-wa 1979, str. 342, cena zł 32,—

WIEŚ

Powieść Iwana Bunina „Wieś" dotyczy tak jak większość utworów tego pisarza problematyki wiejskiej. Tym razem autor pokazuje nam wieś po rewolucji 1905 roku, a przed Rewolucją Październikową. Bohaterami są dwaj bracia: Tichon i Kuźma. Pochodzą z biedoty wiejskiej. We wczesnym dzieciństwie drogi ich rozeszły się i każdy z nich próbował żyć na inny, dogodny dla siebie sposób. Tichon dbał tylko o to, żeby jak najwięcej zarobić. Otworzył zajazd, sklep, pożyczał pieniądze na procent. Oszukiwał i cisnął chłopów ile się tylko dało. Z czasem stał się dosyć bogatym człowiekiem. Ale wtedy zrozumiał, że w pogoni za pieniędzmi zgubił po drodze życzliwość ludzką i rodzinę, a już był za staray żeby odrobić straty.

Zupełnie inaczej żył Kuźma. Sam zdobył niewielkie wykształcenie. Dużo czytał, prenumerował gazety, pisał wiersze, bardzo cenił sobie przyjaźń i życzliwość ludzką. Pracował ciężko, ale pieniądze nigdy się go nie trzymały. Za oszczędności całego życia wydał zbiór swoich wierszy. Przez całe życie nie miał domu, nie potrafił przywiązać się do jednego miejsca. Przenosił się z miasta do miasta tak często, że nie zdążył w żadnym z nich założyć rodziny. Tak więc na starość podobnie jak Tichon został sam.

Na kanwie losów Tichona i Kuźmy Bunin pokazuje w powieści szeroką panoramę wsi rosyjskiej. Jej obraz jest surowy, nie pozbawiony drastycznych scen ciemnoty i okrucieństwa. Naród przyzwyczajony do biedy i wyzysku nagle zaczyna się budzić. Zaczyna domyślać się innego życia, ale nie ma jeszcze doświadczenia politycznego i społecznego, żeby działać konsekwentnie i wspólnie.

Iwan Bunin: „Wieś", przekł. Zofia Petersowa, Czytelnik, W-wa 1979, str. 210, cena zł 25,—

DZIEŃ NIEPOKOJU

Henryk Bardijewski (ur. w 1932 r. w Częstochowie) — dramaturg teatralny i radiowy, prozaik, satyryk. Studiował filologię polską na UW. Debiutował w 1955 r. Redaktor w Naczelnej Redakcji Programów Literackich Polskiego Radia, przez kilka lat kierownik Redakcji Słuchowisk Oryginalnych.

Jest autorem sztuk teatralnych (m.in. „Zacznijcie się śmiać", „Skrzydła", „O co pytać starego człowieka", „Misja", „Opresja"). Wydał opowiadania: „Rysunki na piasku", „Talizman i inne opowiadania", „Lustro", „Klawiatura", „Pochód Don Kichotów"; utwory satyryczne: „Alibi" Jak zostać monarchistą, a właściwie królem"; utwory dramatyczne: „Na małej scenie", wybór słuchowisk „Siła przyciągania". W roku 1971 otrzymał nagrodę Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za całokształt twórczości w dziedzinie dramaturgii radiowej.

Inspiracją do powstania „Dnia niepokoju" w formie książkowej było słuchowisko radiowe „Portret starszego pana z książką". Akcja rozgrywa się współcześnie w małym miasteczku w ciągu jednego dnia — dnia jubileuszowej uroczystości pięćdziesięciolecia pracy prowincjonalnego bibliotekarza. Bohater, spiesząc na własny jubileusz przywołuje przeszłość, ożywia miniony czas, sięga pamięcią do dawnych wydarzeń.

Ta opowieść o bardzo zwyczajnym, choć pełnym zasług życiu, nacechowana jest głębokim humanizmem i wiarą w człowieka oraz ciepłym humorem.

Henryk Bardijewski: „Dzień niepokoju", Wydawnictwa Radia i Telewizji, W-wa 1979, str. 143, cena zł 15,—.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

NIE BÓJMY SIĘ „PRODUKCYJNIAKÓW"

Zazdrość nie jest uczuciem zbyt chwalebnym, ale uważam, że naprawdę wstrętnym uczuciem jest dopiero zawiść. Zazdrość bowiem może być (choć nie zawsze jest) zjawiskiem mobilizującym. Zawiść natomiast demobilizuje. Ludzie zawistni sami już nic nie osiągną — całą swoją energię wyładowując na wściekłość wobec tych, którzy więcej umieją, lepiej pracują, odnoszą większe sukcesy...

Ten wstęp jest konieczny — to rozróżnienie jest nieodzowne gdyż ujawniam moją zazdrość (a nie zawiść) wobec społecznych walorów współczesnej kinematografii radzieckiej.

Wszyscy pamiętamy doskonale znakomitą **„Premię"** — ostrą, ale i dość gorzką opowieść o nieprawidłowościach. Jakże tu nie zazdrościć owej ostrości widzenia, bezkompromisowości w rysowaniu istotnych problemów naszego czasu.... Jakże nie zazdrościć, gdy nasza kinematografia potrafiła w tym kręgu tematycznym zdobyć się zaledwie na głośną **„Uszczelkę"** — film, który jest przysłowiową kaszką z mlekiem wobec dynamicznych, walczących filmów radzieckich.

Niedawno znów obejrzałem dwa filmy radzieckie mówiące o współczesności. Tej współczesności prawdziwej, a nie wymarzonej przez strażników socjalistycznej obyczajowości.

Oglądając **„Własne zdanie"** — opowieść o działaniu socjologa w dużej fabryce nie mogłem się opędzić myśli, jak zrealizowano by ten kapitalny temat w polskim filmie. Nie będę kpił, ale sądzę, że albo pokazano by socjologa jako pocieszną figurę, albo jako herosa walczącego ze zrutynizowanym kierownictwem fabryki przy pomocy miejscowej organizacji młodzieżowej.

W radzieckim filmie pokazano prawdziwego człowieka i prawdziwe problemy — bez szminki, bez lakieru, bez lipy. Jakże więc nie zazdrościć?

Inny film — **„Człowiek znikąd"**. Mniejsza o to, że jego oryginalny tytuł brzmi **„Tutaj jest nasz dom"** i pełni określoną funkcję w całej opowieści. Jest to zupełny drobiazg, wobec tego uczucia zazdrości jakie mnie ogarnia, gdy widzę obraz rzeczywistości i obyczajowości pokazany ostro, uczciwie i prawdziwie. Czyli w sposób nie spotykany w naszych filmach „produkcyjnych".

Chodzi mi bowiem głównie o filmy ochrzczone pogardliwym mianem „produkcyjniaków". Ten rodzaj filmów skazany jest na uproszczenia i szminkę — twierdzą krytycy i sami filmowcy. Okazuje się, że wcale nie! Przecież i **„Premia"** i **„Człowiek znikąd" i „Własne zdanie"** — to najczystszej wody „produkcyjniaki".

Ale jak zrobione! Są to znakomite „produkcyjniaki", pozbawione szminki i uproszczeń, nasycone rzeczywistymi, nieskłamanymi problemami współczesności.

Gra pozorów, fikcyjna sprawozdawczość, asekuranctwo — to wszystko co w przemyśle (i nie tylko w przemyśle) przynosi szkody zarówno materialne, przeliczalne na pieniądze — jak i szkody społeczne, których na pieniądze przeliczyć się nie da...

Mam temat do filmu, ale podejrzewam, że jest to propozycja „do odrzucenia". Oto moja redakcyjna koleżanka zbierając materiał do reportażu w pewnej fabryce, dowiedziała się, że zakład musi ograniczyć swoją produkcję eksportową, bo nie znalazł się na liście przydziału specjalnego rodzaju tkaniny potrzebnej do wykończenia owych eksportowych wyrobów. Nie pomogły interwencje w zjednoczeniu i ministerstwie — dyrekcja fabryki wyczerpała wszystkie możliwości załatwienia przydziału.

W jakiś czas potem dziennikarka udała się na reportaż do łódzkiej fabryki, która ową specjalną tkaninę produkuje. Zapytała dyrektora: „Czy naprawdę nie możecie dostarczyć do — powiedzmy — Pcimia 20 tysięcy metrów tkaniny?". Dyrektor pomyślał, zawołał zastępcę — pomedytowali i rzekli: „Dobrze, dostaną — jakoś to załatwimy".

I załatwili. Eksportowy producent otrzymał swoją tkaninę — może nadal funkcjonować na światowych rynkach.

Wbrew pozorom to nie jest temat na komedię. To może być film społeczny w którym padło by wiele bardzo istotnych pytań. To mógłby być pasjonujący „produkcyjniak".

Ale nie będzie. „Produkcyjniaków" wszyscy się boją. Filmowcy, krytycy, publiczność... i w ogóle.

WIDOK

Z GALERKI

WŁADYSŁAW MALCZEWSKI

Pan nas pięknie oszukuje,
Pan nie śpiewa, Pan maluje.

Rys: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

NIESZCZĘSNA ATLANTYDA

Stara teoria głosi, że wszelkie wiadomości o zaginionych lądach, o podwodnych potworach, Trójkącie Bermudzkim i innych dziwach zjawiają się w okresie kanikuły, a więc wtedy, kiedy nic się nie dzieje, kiedy w gazetach nie ma o czym pisać. Dziś doniesienia o UFO, o Atlantydzie, o innych dziwnych wydarzeniach pojawiają się niezależnie od pory roku. Gdzieś w marcu 1979 roku obiegła świat wiadomość, że radziecka ekspedycja naukowa odkryła na Atlantyku, w głębi wód — oczywiście, fragment schodów i muru.

Dopiero niedawno w radzieckim dzienniku „Izwiestia" oceanolog Andriej Aksienow wypowiedział się na ten temat, uznając, że owe wcześniejsze doniesienie było nieporozumieniem i że nikt nie upoważniał dziennikarzy do nadania takiej informacji. Profesor A. Aksienow nie zaprzeczył istnieniu takich zdjęć, ale też i nie potwierdził. Powiedział on bowiem, że zdjęcia te ukazują wierzchołek góry Amper należącą do podwodnego „Archipelagu Podkowa". Góra ta znajdowała się kiedyś na powierzchni i można przypuszczać, że była zamieszkała. I tak oto znów nic nie wiemy na temat sporu, jaki się toczy w sprawie tego, czy Atlantyda istniała kiedyś czy nie.

Prof. Andriej Aksienow uważa, że nadal trzeba badać ten rejon Atlantyku, może się znajdzie coś więcej i może trafi się na ślady jakiejś zaginionej cywilizacji. Jak do tej pory — jego zdaniem — nic nie wskazuje, aby Altantyda istniała, a wiadomości o tym posiadamy tylko od Platona, a ów starożytny Grek mógł sobie Atlantydę wymyślić, gdyż było mu to potrzebne dla popularyzacji idealnego państwa, jakie też zresztą wymyślił. Poza tym — twierdzi prof. A. Aksienow — dno Atlantyku przebadano już tak dokładnie, że trudno, aby nie trafiono do tej pory na ślady cywilizacji, która miała rzekomo kiedyś istnieć. A w ogóle, to nie jest możliwe, aby w tak odległych czasach mogła istnieć jakaś wysoko rozwinięta cywilizacja.

No i sprawę mamy z głowy. Pozornie tylko. Wcale nie jest bowiem powiedziane, że inny profesor, który ma inne zdanie w tej sprawie nie wystąpi z zupełnie inną hipotezą. Prawdą jest bowiem, że bezpośrednich dowodów na istnienie Atlantydy nie ma, ale jest też prawdą, że pośrednich dowodów, które dopuszczają taką możliwość jest sporo. Z tego też powodu spór o Atlantydę, choć często rozgrywa się między uczonymi, jest fascynujący i pobudza naszą wyobraźnię.

Wprawdzie wakacje mamy już za sobą i możemy spokojnie martwić się o zupełnie inne sprawy, a takich zmartwień jakoś nam nie brakuje, tym niemniej wielu ludzi interesuje się losem tej nieszczęsnej Altantydy. I nie jest to pytanie tylko o to, czy Atlantyda w ogóle istniała, czy nie? Jest to pytanie o naszą daleką przeszłość.

Jest przecież wiadome, że na naszym globie istniały różne cywilizacje, będące na różnym stopniu rozwoju, które bezpowrotnie zginęły. Ginęły one wprawdzie z różnych powodów, ale też działo się tak dlatego, że prowadziły do tego wewnętrzne sprzeczności. Zainteresowanie losami dawnych cywilizacji jest po części również pytaniem o los naszej cywilizacji, której wewnętrznych sprzeczności nie brakuje, a która też robi wszystko, aby te sprzeczności pogłębiać, działając dodatkowo jeszcze niekorzystnie na naturalne środowisko. Każdy z nas zadaje więc sobie po cichu pytanie, jaki też my sobie los gotujemy? A niektórzy pytanie to zadają głośno, wskazując na szkodliwość takich, czy innych naszych poczynań. I czasem odnosi to pozytywny skutek.

Sporów o zagadki przeszłości nam jakoś nie brakuje. Myślę, że jest to skutek rozwoju nauki i techniki. W świetle coraz to nowszych odkryć i osiągnięć patrzymy na przeszłość pod innym kątem, próbujmy ją wyjaśniać w pełniejszy sposób. Pojawiają się nowe interpretacje faktów, rodzą się nowe hipotezy. Czy to znaczy, że uda się nam wszystko do końca wyjaśnić? Nie ma takiej pewności, ale w badaniach nad przeszłością nie należy ustawać.

A co z Atlantydą? Pozostaje nadal w świecie hipotez. Hipotezy te dały powód do powstania obfitej literatury. Wiele książek i artykułów napisano o Atlantydzie i wiele jeszcze powstanie. Atlantyda — jak i inne zagadki przeszłości — nieustannie działa na naszą wyobraźnię. Pobudza ją. Atlantydą interesują się nie tylko ludzie poszukujący interesujących lektur o zagadkach przeszłości, interesują się nią też ludzie nauki. Być może któraś z kolejnych ekspedycji altantyckich przyniesie rozwiązanie. Byłoby to bardzo dobrze. Tym bardziej, że ilość takich zagadek wcale nie maleje. Jeśli wyjaśni się jedna z nich, to i tak będziemy jeszcze mieli czym się nadal pasjonować i interesować. Czego sobie i innym serdecznie życzę.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

TAJEMNICA PEWNEGO KABLA

Już nawet nie zazdroszczę mieszkańcom pięknego Sztokholmu, że w ich miescie na stu mieszkańców przypada sto piętnaście telefonów. Zazdroszczę im za to chorobliwie tego, że te wszystkie telefony o każdej porze dnia i nocy idealnie działają. Boże, jakież to błogie uczucie spokoju, porządku, wygody ogarnia człowieka, jak łatwo załatwia się setki tysięcy spraw z których każda u nas stanowi szarpiący nerwy problem...

Mój telefon domowy przestał działać w kwietniu bieżącego roku. Zawsze działał tak, że samo podejście do niego było męką sygnalizowaną z góry wszystkim komórkom organizmu, przeczuwaną przyspieszonym tętnem, dżeniem rąk i ściśnięciem gardła. A w kwietniu zamilkł zupełnie i zaczęło się.

Reklamację pod 04 trudno zgłosić, bo tam albo zajęte, albo nikt nie podnosi całe kwadranse słuchawki, albo podnosi i w połowie słowa rzuca z powrotem. Po paru dniach takiej zabawy zaczęliśmy dzwonić skąd się dało (oczywiście nie z automatów, bo automatów czynnych w Łodzi nie ma) do Urzędu Telefonów przy ul. Zachodniej. Parę razy obiecano nam najsolenniej: „za trzy dni". „Za pięć dni". „Za tydzień". Potem panienka powiedziała, że nie prędzej jak za miesiąc, bo kabel uszkodzony. Nie wiem jak może być uszkodzony kabel, skoro telefony u sąsiadów z tej samej klatki schodowej działają i w sąsiednich blokach też. Odczekaliśmy miesiąc i zaczęliśmy znowu: „za dwa tygodnie". „Za następne dwa tygodnie już na pewno"...

Ogrom cierpliwości zaczął się wyczerpywać. Mój dziennikarsko-literacki zawód absolutnie wymaga ciągłej łączności ze światem, z wieloma redakcjami itp., z którymi współpracuję. Bark telefonu powoduje po prostu konkretny, wymierny i niemały spadek zarobków, nie mówiąc o rozlicznych dolegliwościach bytowych. Wszyscy wiedzą, że mam telefon i liczą na to, a potem nie mają możności skontaktowania się.

Parokrotne wizyty osobiste w Urzędzie dawały ten sam skutek, plus skutek dodatkowy: bardzo rozśmieszały pracujące tam panie. Śmiech był tak prowokacyjny, że — było nie było — wpisaliśmy się do książki zażaleń. Niezależnie od wizyt — dalsze nękanie telefoniczne. „Za tydzień już na pewno". Prosimy jeszcze poczekać tydzień".

W połowie lipca przyszedł do domu technik i stwierdził, że aparat jest w porządku, tylko nie działa. „Coś musi być popsute na linii" — powiedział i poszedł.

W dniu 20 sierpnia usłyszałem nareszcie, że właśnie cała brygada specjalistów męczy się nad moim telefonem gdzieś w terenie i że na pewno dziś będzie o key. Dzwoniłem w trzy dni później i panienka się bardzo zdziwiła: „Jak to, przecież brygada twierdzi, że wszystko w porządku!". „Ale nie działa". „To w takim razie poślemy tam kierowników. Proszę zaczekać parę dni".

Dzwonię 30. VIII, że kierownicy nic nie pomogli i kiedy mój telefon przemówi. Panienka zaczyna się łączyć, każąc mi czekać przy słuchawce. Czekam i słyszę te rozmówki: „Nie mam takiej sprawy". „Aha, to ta. Przecież dawno załatwiona". „Nie działa?" „To ja zaraz zadzwonię."

I tak dalej. Niesłychany bałagan. Wreszcie odpowiedź wprost do mnie. Musimy zaczekać, aż k i e r o w n i k w r ó c i z u r l o p u, bo nie wiemy co się stało".

Tu muszę skończyć, bo mogę już tylko przeklinać. Do dyrektora Żurka dodzwonić się nie mogę. Bez telefonu pracować normalnie nie mogę. Myślę, że opisywana tu sprawa nie jest wyjątkowa, a więc że ma walor sprawy publicznej. Zgodnie z ustawą o krytyce prasowej proszę o odpowiedź:

— kiedy telefon mój będzie czynny,

— dlaczego był nieczynny pół roku,

— dlaczego reklamacje składane w normalnym trybie zbywane są byle jak, słowami bez pokrycia,

— dlaczego przysłano mi w sierpniu rachunek na trzydzieści trzy złote?

Chodzi o telefon numer 249-23 — przy ul. Rewolucji 1905 roku nr 49 m. 27.

ĆWIEK
(nazwisko znane redakcji)

NIE TYLKO HISTORIA

CZŁOWIEK, KTÓRY ZA DUŻO WIEDZIAŁ

Sprawa ta była niegdyś bardzo głośna: ostatecznie nie co dzień zdarza się, by w europejskim państwie zniknął nagle bez śladu, w nie wyjaśnionych okolicznościach, znany generał, który do niedawna pełnił odpowiedzialne funkcje wojskowe. Zniknięcie w pierwszych dniach sierpnia 1927 r. gen. bryg. Włodzimierza Zagórskiego jest jednak sprawą raczej śmierdzącą niż w pełni tajemnicza. Już dla wielu współczesnych było jasne, że kryje się za nim zwyczajny mord polityczny, dokonany przez prominentów pomajowych rządów na człowieku, który okazał się niewygodny. Nie ulega wątpliwości, że sprawców rzekomego zaginięcia należy szukać wśród osób blisko powiązanych z kołami belwederskimi, a kto wie, czy nici sprawy nie wiodą aż do osoby J. Piłsudskiego.

W tych okolicznościach trudno się dziwić temu, że prowadzone w warunkach pomajowej rzeczywistości śledztwo nie mogło dać zadowalających wyników i nie doszło do ostatecznego wyjaśnienia, co stało się z generałem oraz jaki udział w jego zniknięciu mieli ludzie, o których wiadomo, że byli w nie zamieszani: Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Aleksander Prystor, Zygmunt Wenda, Józef Beck i wielu innych, mniej już nam znanych z politycznej areny II Rzeczypospolitej.

Od tego czasu minęło ponad pół wieku i ani gen. Zagórski się nie odnalazł, ani nie natrafiono na ślad, który by wskazywał na możliwość przyjęcia innego wyjaśnienia jego zniknięcia, niż że został on zlikwidowany przez ludzi J. Piłsudskiego. Osoby, które z całą pewnością miały wiele do powiedzenia w tej sprawie, wzięły jej tajemnicę ze sobą do grobu, a tylko nieliczni pogrobowcy sanacji co jakiś czas wracają do niej, starając się przekonać, że generał po prostu uciekł i że sprawcami tego są wcale nie jego przeciwnicy — broń Boże przed takim pomówieniem — ale... bliżej nieokreśleni „wspólnicy". Tak przynajmniej twierdziła przed laty pani Aleksandra Piłsudska.

O sprawie gen. W. Zagórskiego pisano wiele i na różne sposoby: poważnie i niepoważnie, zazwyczaj w sposób nie pozbawiony emocjonalizmu. Jak dotąd nie doczekała się ona poważnej historyczno — prawnej analizy. Stało się tak zapewne dlatego, że nikt dotychczas nie zajął się zbadaniem akt śledztwa w sprawie zaginięcia generała, które dziwnym cudem ocalały i są dostępne dla zainteresowanych badaczy. Zadania tego podjął się dopiero Zbigniew C i e ś l i k o w s k i, autor pasjonującej książki pt.: „Tajemnice śledztwa KO — 1042/27. Sprawa generała Zagórskiego", ogłoszonej właśnie (1979) drukiem przez Wydawnictwo MON, w sporym, jak na dzisiejsze czasy, nakładzie ponad 20 tysięcy egzemplarzy. Mimo sensacyjnego tytułu mamy tu do czynienia z poważną rozprawą, której autor wykazał znaczne kompetencje historyka i prawnika, znającego się na skomplikowanej procedurze sądów wojskowych, obowiązującej w okresie międzywojennym.

Nie będę tu streszczał tej książki: zainteresowany nią Czytelnik niechybnie sam do niej sięgnie. Chciałbym wszakże zwrócić uwagę na kilka spraw, rzucających się w oczy każdemu, kto przeczyta opracowanie Z. Cieślikowskiego. Po pierwsze: jest niezmiernie charakterystyczne, że akta sprawy W. Zagórskiego świadczą niedwuznacznie, że „wyprowadzano" z nich raz po raz jakieś dokumenty, a dołączano nowe. Część dokumentów, które zostały usunięte, już dziś zaginęła. Po drugie: w dokumentach tych jest niezmiernie wiele sprzeczności, i to nie tylko pomiędzy aktami, pochodzącymi od różnych osób, ale i tych samych. Po trzecie: aż zbyt wyraźnie widać, że władze prokuratorskie nie przyjmowały do wiadomości informacji, które mogłyby się okazać niewygodne dla osób związanych z Belwederem, że nawet gdy takie wiadomości uzyskały, nie rozpatrywały ich w obawie, aby śledztwo nie poszło w niewygodnym kierunku. Materiały śledztwa wykazują zbyt wiele szwów dokonanych bardzo grubymi nićmi. I wreszcie — po czwarte — oficjalne enuncjacje nierzadko bywały sprzeczne z materiałami śledztwa. To chyba wystarczy. Czytelnik może się o tym przekonać z opublikowanych przez Z. Cieślikowskiego dokumentów.

„Niewątpliwie istniał spisek" — powiada autor tej książki — sprzysiężenie o prostej konstrukcji, mającej zapewnić ścisłą tajemnicę i bezkarność. Tajemnicy — mimo starań — utrzymać się nie dało i wiele niewygodnych dla sanacji informacji przeniknęło do opinii publicznej. Bezkarność zapewniły ówczesne rządzące koła polityczne. Nawet więcej: można sądzić, że dały wykonawcom „czarnej roboty" nagrodę. Wszyscy oni — rzecz jasna, że nie tylko za udział w sprawie Zagórskiego — doczekali się niebawem awansu. Tylko ci zbyt pryncypialni nie zrobili kariery: sędzia śledczy, który — jak wynika z akt — nie chciał pójść na wszystkie ustępstwa i rzeczywiście zmierzał do wyjaśnienia sprawy, został przeniesiony z Warszawy na podrzędne stanowisko do Brześcia nad Bugiem, a niebawem przeniesiony w stan spoczynku. Podobnie spławiono zastępcę kierownika garaży, który ujawnił, komu i kiedy udostępnił jeden z samochodów, którego rola w sprawie zaginięcia generała była więcej niż zagadkowa.

Fałszerstwa, przemilczenia, „niemożność" przesłuchania najważniejszych świadków — wszystko to rzuca wiele światła na atmosferę sprawy gen. Zagórskiego. Nie wystawiła ona sanacji pięknego świadectwa. Ale dlaczego to wszystko? Czy tylko dla usunięcia człowieka, będącego przeciwnikiem tego, który w maju 1926 r. sięgnął na drodze zamachu stanu po władzę w Polsce? Wątpliwe, czy chodziło tu tylko o osobiste animozje. Z. Cieślikowski sugeruje w swej książce, że korzeni sprawy należałoby szukać w odleglejszej przeszłości, sięgającej jeszcze czasów sprzed powstania odrodzonej polskiej państwowości, w czasach legionowych. Pierwszy kontakt między Zagórskim a Piłsudskim nastąpił wówczas, kiedy ówczesny kapitan Zagórski został przydzielony na szefa Sztabu Komendy Legionów w sierpniu 1914 r. I wówczas zaczęła się wzajemna nienawiść. Od 1911 r. W. Zagórski pracował w austriackiej służbie wywiadowczej. Nie odszedł z niej, kiedy obejmował swą funkcję w Legionach. Czyżby wiedział za dużo?

ANDRZEJ F. GRABSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 2031. A-2.

Załącznik nr. .....

411-170

HASŁO NUMERU: Zamiast grać na nerwach, zagraj w toto-lotka.

MARCIN SOBIESZCZAŃSKI

SPRAWA IBRAHIMA

Pani K., potężnej budowy Polka, mieszkająca w Afryce, prasowała bieliznę, a że dochodziło południe, ustawała w pracy i dla wytchnienia spoglądała na dojrzewające w ogrodzie kłąby owoców bananowca. Za którymś razem spostrzegła że za ścianą zieleni ktoś się porusza. Odłożyła żelazko i zaciekawiona wyszła przed kuchnię. Zza bananowca wolno wynurzył się ogromny Murzyn, steward Ibrahim, podszedł bliżej i przysiadł na piętach. Pani K. zawołała męża, który zażywał właśnie drzemki i tak zaczęła się sprawa Ibrahima, która przez miesiąc była utrapieniem państwa K.

A było tak: Ibrahim oświadczył, że nie przychodził do pracy, ponieważ jego żonie s k r a d z i o n o r o z u m. Przed dwoma dniami w pomieszczeniu dla stewardów urządzał przyjęcie dla kilku znajomych; żeby nie przeszkadzać żonie i dzieciom odgrodził ich zasłoną, a sam bawił gości. W pewnym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk i żona Ibrahima w wielkim pędzie wybiegła z pomieszczenia i zaczęła umykać w stronę bramy. Zebrani natychmiast domyślili się, o co chodzi i podążyli za nią. Pół naga kobieta i goniąca ją zgraja wykrzykujących Murzynów zwróciły na siebie uwagę uniwersyteckiej policji, która natychmiast w s z y s t k i c h zaaresztowała. Ale gdy się wyjaśniło, że chodzi o skradzenie rozumu, że nadzwyczajna sytuacja, itd., po kilku godzinach zwolniono ich, ale żona Ibrahima za nic nie chciała już wrócić do domu. No i w ogóle rzecz nie jest taka prosta, bo rozum niby skradziono, ale najgorsze jest to, że ten, co go ukradł wcale nie wie, że ukradł. Ponadto można jeszcze postąpić w ten sposób, że zwołuje się wszystkich na miejsce wypadku i ten, co ukradł rozum, może go w niektórych okolicznościach oddać z powrotem. Ale, niestety, nie było siły, żeby kobieta raz jeszcze zechciała wejść do domu.

— Więc gdzie ona teraz jest? — spytał pan K.

Ibrahim wyjaśnił, że szukał jakiegoś domu przez dwa dni i że nie znalazł i że teraz ona jest w garażu.

— W czyim garażu?

— W pana garażu.

Panu K. stanęły świeczki w oczach. Pobiegł do garażu, otworzył, i rzeczywiście: kobieta, dzieci, mata, odchody... Pan K. wyciągnął 80 naira i powiedział, żeby się wynosili.

Sprawa Ibrahima ucichła na dwa tygodnie i tylko ktoś z Polaków widział Ibrahima, jak ten jechał z jakąś kobietą i dziećmi w stronę Josu. Tymczasem państwo K. wszczęli starania o nowego stewarda. Pierwszego wyrzucili po paru godzinach bo nic nie umiał robić. Drugi zaś wypijał alkohole z domu i stanęło w końcu na tym, że steward sąsiadów przychodził do K. na dwie godziny dziennie. Pani K. zaczęła się w końcu martwić o Ibrahima. Ten nie dał na siebie długo czekać. Pojawił się po dwóch tygodniach i poprosił o pożyczkę, bo musi oddać czarownikowi pieniądze za kurację żony.

— Gdzie jest ten czarownik?

— W Josie.

— Co zrobił twojej żonie?

— No, leczył ją.

— Jak?

I tu nastąpiła opowieść, która przez dłuższy czas mroziła krew w żyłach wszystkich i była przedmiotem pamiętnego sporu.

Otóż czarownik związał chorą kobietę i trzymał ją w niewoli, bez wody, przez kilka dni, po czym związaną i oszalałą ze strachu nakłuwał metalowymi prętami w przeponę i inne miejsca, z których wyciskał krew. Obecnie Ibrahim zawiózł żonę do matki, gdzie ma odpoczywać.

Wszyscy byli wstrząśnięci i nie kryli swojego oburzenia, gdy usiłowałem im tłumaczyć swoistą mądrość czarownika, a jeżeli nie mądrość, to przynajmniej dobrą wolę i uczciwość. Czarownik przed kuracją powiedział Ibrahimowi, że wyleczy jego żonę „na pewien czas" i rozpoczął kurację, która jest anachroniczna w stosunku do medycyny europejskiej o... 30 lat. Spuszczanie „złej" krwi praktykowano do drugiej wojny światowej, a leczenie schorzeń umysłowych za pomocą wstrząsów psychicznych i fizycznych praktykuje się do dziś i tak samo jest to leczenie „na pewien czas".

Po kilku dniach Ibrahim wrócił do pracy i u państwa K. wszystko biegło po staremu. Ich znajomi natomiast oczekują dalszych wydarzeń, które znów wstrząsną ich monotonnym życiem, cicho płynącym pod upalnym słońcem Afryki, tak przecież od nich odległej, choć tam mieszkają.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKI TEATRALNE

J. SŁOWACKI — „BALLADYNA"

Nie od Słowackiego i nie
z Balladyny
znane są metody wpuszczania
w maliny

W. SZEKSPIR — „RYSZARD III"

Gdy pić mu się chciało, a nie
miał ni grona
barmance obiecał — Królestwo za
konia-k!

A. GRIBOJEDOW — „MĄDREMU BIADA"

I mądremu biada,
gdy za dużo gada!

S. MROŻEK — „RZEŹNIA"

Co mi po rzeźni,
kiedy nie dowieźli...

LOPE DE VEGA — „JAŚNIE PAN NIKT"

Choć grób całkiem świeży,
to nikt w nim nie leży.

J. GIRAUDOUX — „WOJNY TROJAŃSKIEJ NIE BĘDZIE"

Dzisiejsze Heleny
nie warte tej ceny.

Rys. Jan Zieliński

SHOW BUSSINES

Z okazji ukazania się książki „Kwadrans Śpiącej Królewny" Andrzej Makowiecki udzielił ostatnio paru wywiadów łódzkiej prasie stwierdzając m. in., że literatura powinna być showbussinesem. Zaniepokojonych przedstawicieli Estrady informujemy z pełną odpowiedzialnością, że pisarz nie dybie na fotele dyrektorów ani kierowników i zadowoli się fotelem na występie kabaretu Andrzeja Jóźwiaka. Miał przy tym na myśli najprawdopodobniej Irvinga Shawa, a bussines zrodził się przypadkowo, pod wpływem przejeżdżającego auto(busu).

ŻYCZLIWY

RYSZARD DOROBA

WRZEŚNIOWY APEL

**Kiedy cała młodzież nasza
znowu uczyć się zaczyna,
powinniśmy, stare konie,
też wziąć przykład z córki, z syna.**

**Bierzmy się więc za naukę
(będzie ciężko, nikt nie przeczy),
zaczynając od ABC,
od łatwiutkich, prostych rzeczy.**

**Uczmy się zamykać usta,
gdy się cisną słowa grube —
(gdy od razu się nie uda,
godzi się ponowić próbę).**

**Uczmy się na równi z szefem
traktować zwyczajnych ludzi —
(choćby nawet początkowo
mogło to nieufność budzić).**

**Gdy przebrniemy z powodzeniem
przez te łatwe lekcje wstępne,
weźmy się bez ociągania
za trudniejsze, lecz dostępne.**

**A więc jak wybaczać bliźnim
osiągnięcia i sukcesy —
(choć na razie powodzenie
cudze może nas nie cieszyć).**

**I jak nie obarczać losu
winą za swe błędy własne —
(chociaż byśmy się wzdragali
wyciągać z nich wnioski jasne).**

**I tak ucząc się wytrwale,
spokojniutko i bez złości,
zasłużymy może kiedyś
na świadectwo dojrzałości.**

A NAM JEST SZKODA LATA

W SPRAWIE MESJASZA

Polskie Nagrania wypuściły na rynek, a Muza wytłoczyła komplet czterech płyt oznaczonych numerem SXL 1691—1694 na których pomieszczone zostało głośne oratorium **Georga Friedricha Haendla** „Mesjasz". Nagranie to mogłoby być wydarzeniem artystycznym i handlowym jak był nim występ Filharmonii Narodowej w Warszawie pod kierownictwem **Kazimierza Korda**, który zaprosił wybitnych solistów zagranicznych o głośnych nazwiskach **Sally Le Sage** (sopran) **Bernadettę Greevy** (alt), **Richarda Mortona** (tenor), **Petera Knappa** (bas). Niestety na brak sukcesu płyty złożyło się kilka „ale". Po pierwsze nie najlepsza jest jakość tłoczenia. Po wtóre komplet płyt nie został umieszczony w kasecie (koperty są jednakowe i trudno zorientować się w kolejności odtwarzania płyt) tylko połączony tandetną papierową przepaską, która niczego nie łączy. Po trzecie do kompletu dołączono ulotkę zawierającą spis wykonawców, zamiast jak jest praktykowane we wszystkich wytwórniach płytowych pełny tekst oratorium. Mimo to cena kompletu jest wygórowana (meloman płaci zapewne za nie istniejącą tekturową kasetę). Dodajmy, że do Łodzi płyta dotarła z przeszło półrocznym opóźnieniem.

Wszystko to dowodzi, że nawet z okazji nagrania „Mesjasza" w Polskich Nagraniach nie znaleziono zbawiciela, który poprawiłby reputację firmy. Rozczarowani nie tylko polskich melomanów, zmarnowano także ogromną szansę eksportową. Cóż, musimy więc dalej wyglądać mesjasza, a tymczasem kupować płyty w Warszawie w ośrodkach kultury zaprzyjaźnionych krajów.

K. F.

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYŚLI PODPATRZONE

- **Nawet analfabeci wypisują recepty na uzdrowienie świata.**
- **Niektórzy zaciskają pięści, żeby nie zdradzić się, że przychodzą z pustymi rękami.**
- **Radio zbliża narody — ale oddala sąsiadów.**
- **Zdarza się, że po zerwaniu więzów trudno się z nich wyplątać.**

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 18

Człowiek miał jedenaście lat i bił się kapciami z rówieśnikiem. Usługi pocztowej podjął się chętnie, a cenę dwóch proporczyków z napisem „Mundial Wygramy!" uznał za godziwą. Wsunął pod drzwi niebieską kopertę, zadzwonił i uciekł.

Kopia listu znalazła się w aktach. Literka „ą" miała urwany ogonek, co pani Celinka dawno już zgłaszała konserwatorowi maszyn biurowych. — Urwany, bo tu się przerwało, o, widzi pani? — tłumaczył fachowo konserwator i szedł dalej. W na pół odsuniętej szufladzie starszy inspektor jeszcze raz studiował swe dzieło i nie znajdował błędu:

„Twojej M grozi niebezpieczeństwo stop może stracić urodę i w ogóle stop a także życie stop przygotuj dwieście rolek papieru higienicznego i tyleż banknotów z Kopernikiem stop mogą być drobniejsze decyduje suma stop we czwartek dalsze instrukcje wielka pchła".

Na razie najbardziej poszkodowany był synek kosmetyczki. Lokomotywa z przetrąconym grzbietem leżała pod sosenką, obok jeżyn splątanych z kablem, a mogła jeździć po ścieżce i straszyć fukaniem wróble, czekające na pasztetową kiszkę. Ta pani co teraz mieszka na górce przynosi cukierki, które z grzeczności trzeba zjadać. Synek jest grzeczny, dopiero raz w życiu gdzieś się na tydzień zapodział i dwa razy nazwał panią nauczycielkę.

Twarz Mariolki promieniała wdziękiem, wypracowanym przez tuzin coraz wymyślniejszych maseczek. — To przecież więcej warte, niż głupie dwieście tysięcy — mówiła dziewczyna do lustra, klepała się w policzek; Gzyms palił sporta i wypluwał źdźbła tytoniu.

— A może ten Kituś wcale ciebie nie kocha i cała robota na nic? — niepokoił się całkiem poważnie. — Jeszcze dzień, dwa a moja babka zacznie mnie szukać przez milicję.

— Mogę do niej zadzwonić i zażądać okupu, co? Zwrócę pani Gzymsa za... no, za ile? Ile jesteś wart? Za kilo polędwicy?

— Tylko uważaj!

— Nie, to za drogo. Za fajkę z jałowca. Kituś pali fajkę, nie takie tam...

— Ale cię bimba. Palcem nie kiwnie. A myśmy tak w niego wierzyli!

Dzisiaj będzie płukanie włosów z rozjaśnieniem. Kochanie to betka, ale wstyd wobec tego typa i wobec kosmetyczki, która zawsze twierdziła że chłopy to dranie, zwłaszcza kiedy pokazywała otrzymywane od nich upominki. — Tego też dostałam! — pokazywała śpiące dziecko. A tu nikt się o człowieka nie upomni, cisza, nic się nie stało. Może zapłakać?

— Najlepiej żebyś sobie poszła! — kończył dyskusję Gzyms.

Ale jakże tak — iść, przyznając się do klęski swej urody? Swego wpływu na pana Kitusia? Może jednak gazety wreszcie napiszą i coś się zacznie, jakiś

dalszy ciąg nastąpi...